

AUTOR «SYNA OTTONA»

Walter
Wager



Kontrakt

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

Solidne rzemiosło, precyzyjnie
zarysowana intryga,
zaskakujące zakończenie...

New York Daily News

Wager zajął się w *Kontrakcie* klasyczną
fabułą powieści sensacyjnej: samotnik
o rzadko spotykanych umiejętnościach
przetrwania staje do walki
z wszechmocną organizacją...

Publishers Weekly



Walter
Wager

Kontrakt

TLUMACZYLI

JAN ZAKRZEWSKI I EWA KRASNODEBSKA

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

WARSZAWA 1997

Tytuł oryginału Designated Hitter

Copyright © by Walter Wager

Redaktor

Wojciech Gadomski

Skład i łamanie

Wydawnictwo Adamski i Bieliński,

Andrzej Pytka

For the Polish edition Copyright © 1997 by Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Wydanie pierwsze

ISBN 83-85593-98-5

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1997

E-mail: aibpubli@pol.pl

ark. wyd. 13; ark. druk. 14

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca SA

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 5555/97

*Z przyjemnością dedykuję tę powieść roztropnemu
i obyczajnemu Perry'emu Knowitonowi, żeglarzowi,
absolwentowi Princetown, koneserowi cygar, koniaków etc,
a także wybitnemu agentowi literackiemu.*

W. W.

1

Wielki jeleń nie żył. Mimo że spoczywał teraz na dachu jasnoniebieskiego kombi, zboczony posoką, nadal roztaczał aurę królewskiej godności. Mniej godnie wyglądał doktor Alan Sarett, mężczyzna korpułentny, a w czerwonej kurtce sprawiający wrażenie wręcz otyłego. Na jego okrągłej twarzy widać było głębokie zadowolenie.

Podniecony, końcami łuf wskazywał łeb zwierzęcia.

- Patrzenie, dziesiątak!

Pozostali czterej myśliwi z podziwem kiwali głowami i przyglądali się okazowemu wieńcowi, który zdobył łeb byka, niczym wymyślny ornament na hełmie barbarzyńskiego wojownika wysokiego rodu.

- Dziesiątak pierwszego dnia sezonu! - Doktor Sarett, dentysta z Bostonu nie mógł wyjść z podziwu. Do Latham Falls odbył męczącą i długą drogę przez góry Vermont, w przenikliwym chłodzie ciemnej nocy końca listopada. Stał teraz przed jedynym sklepikiem spożywczym malutkiej miejscowości. Miał przekrwione oczy i czuł się znużony, ale bardzo szczęśliwy z powodu tak wielkiego sukcesu. Właśnie minęła dziewiąta trzydzieści tego rzeńskiego i słonecznego poranku. Gdzieś daleko istniał sobie świat zatłoczonych ulic, wypadających plomb i płaczących dzieci. Warto było tu przyjechać.

Ze sklepiku wyszedł szczupły, muskularny mężczyzna, dźwigając torbę pełną zakupów. Podszyta futrem brązowa kurtka i sztruksowe spodnie kontrastowały z jaskrawokolorowymi ubraniami myśliwych. Opalona twarz mężczyzny świadczyła o życiu na świeżym powietrzu, ale także o czymś jeszcze. Cokolwiek to było, Sarett postanowił podzielić się z obcym swoim sukcesem.

- Pierwszym strzałem z siedemdziesięciu metrów - obwieścił dentysta, poklepując czule kolbę swego *Remingtona 742 Deluxe*.

Mężczyzna z torbą nie odpowiedział. Stał wpatrzony w dubeltówkę, wstrząsany nie kontrolowanymi drgawkami.

- Czy coś się panu stało? - spytał Sarett pełnym współczucia głosem, którym zawsze przemawiał do rozhisteryzowanych pacjentów. Usiłował też nawiązać z nim kontakt wzrokowy. To zazwyczaj pomagało... ale nie tym razem. Rozdygotany mężczyzna nie odrywał wzroku od broni w rękach nieznajomego.

- Boi się pan dubeltówek? Tą może się pan nie przejmować. Ta kochaneczka w rękach doświadczonego myśliwego jest absolutnie bezpieczna - przekonywał dentysta.

Mężczyzna z torbą zakupów nie odezwał się ani słowem. Z widocznymi oporami ruszył w kierunku stojącego paręnaście metrów dalej dżipa Scout. Tam dopadł go chuderlawy właściciel sklepiku, dźwigając karton pełen rozmaitych puszek, który umieścił na tylnym siedzeniu. Mężczyzna miał wyraźne trudności z włożeniem kluczyka trzęsącą się dłonią do stacyjki. Wreszcie jednak uruchomił silnik i odjechał.

- Alkoholik? - dentysta spytał powracającego właściciela sklepiku.

Właściciel zaprzeczył ruchem głowy.

- Może tętniak w mózgu? - zastanawiał się na głos dentysta. - Od jak dawna tak się trzęsie?

- Nie wiem - odparł przezornie kupiec. Nie miał zamiaru zwierzać się obcemu, że Ted Colby miał już te objawy, kiedy zjawił się w Latham Falls przed blisko dwoma laty. Mieszkańcy Vermont nie udzielają chętnie podobnych informacji i tym bardziej nie zadają wścibskich pytań, tak jak myśliwi z innego stanu. Na tych rubieżach Nowej Anglii ludzie nadal respektują prawo sąsiadów do dyskrecji.

Dżip ujechał już prawie pięć kilometrów, zanim jego kierowca poczuł, że opuszcza go lęk. Wyrzucił sobie, że zupełnie niepotrzebnie wpadł w panikę na widok nowiutkiej dubeltówki w rękach opasłego głupola. Odetchnął z ulgą na myśl, że pozostało jeszcze tylko trzynaście dni sezonu polowań, po czym obcy przybysze znikną, a strzelani- na ustanie na jedenaście miesięcy. Czy także zniknie jego choroba? Lekarze powiedzieli, że w zasadzie powinna, ale cóż oni mogli wiedzieć!

Ted Colby zerknął we wsteczne lusterko. Ruch na szosie był minimalny, a prawdopodobieństwo pojawienia się policyjnego patrolu na tej wąskiej drodze - nikłe, niemniej częste zerkanie w lusterko weszło mu w krew. Po kilometrze zerknął ponownie, a kiedy zwolnił, by skręcić w szutrową alejkę dojazdową, uważnie spenetrował las po obu stronach. Nauczono go tego.

Kochał tutejsze lasy. Bujne soczystą zielenią w lecie, miały swój czar i teraz, gdy drzewa stały огоłocone już z liści. Jesienią Nowa

Anglia pełna była przybyszów z odległych miast, przyjeżdżających, by nacieszyć wzrok rudozłotym pięknem opadającego listowia. Jednakże rzadko kto zagłębiał się aż tu. Całe szczęście, pomyślał mężczyzna i niemal odruchowo przebiegł uważnie wzrokiem pobliskie zbocza.

Coś na chwilę rozbrzmiało - na samym szczycie pagórka. Promień słońca przemknął między bezlistnymi drzewami i od czegoś się odbił. Mężczyzna zastanowił się. Co to może być? Poprzedniego dnia tego nie było. Puszka po piwie? Turyści i zakochane pary tu nie docierali. Karabin? Jeśli tak, to strzelec miał doskonały widok na front domu. Tam właśnie Colby zaparkowałby dżipa, żeby wyjąć zakupy. Stanowiłby łatwy cel.

A więc snajper czy paranoiczne przeczulenie? Zatrzymał wóz, wyskoczył, pochylił się nisko i zaczął wspinać się na pagórek. Posuwał się wolno i bardzo ostrożnie, bacząc na to, gdzie stawia stopę, by zminimalizować szelest. W najmniejszym stopniu nie martwił się tym, że nie ma broni. Przystanął za pniem stuletniego drzewa i spojrzął na swe puste dłonie. Żadnego drżenia. Ciało też przestało dygotać.

Przezołgał się przez następne pięćdziesiąt metrów, wolniutko, centymetr po centymetrze. Najmniejszego szelestu! A więc umiejętności powracają, kiedy zachodzi potrzeba. Może nigdy ich nie utracił? Oddychał miarowo, był opanowany, umysł miał jasny. Jakby uczestniczył w poligonowych ćwiczeniach. Teraz już widział, co takiego zabłysło i jeszcze czasami połyskiwało. Karabin wyborowy z optycznym celownikiem. Nawet z tej odległości poznał *M40A1*, zabójczą broń z charakterystyczną grubą lufą pozbawioną muszki. Strzelec w popielatym kombinezonie leżał w odległości jakichś dwudziestu do dwudziestu pięciu metrów, kolbę karabinu wtulił w ramię i celował w dom.

Zasadzka. Snajper z pewnością nie jest sam. Najpierw trzeba obezwładnić snajpera i za pomocą jego broni wyeliminować partnera, względnie partnerów.

Colby zdjął prawy but i ściągnął skarpetkę. Kluczykiem zapłonu wygrzebał odpowiednią ilość stwardniałej ziemi i napełnił nią skarpetkę. Ale sucha ziemia nie ma odpowiedniej masy, by ogłuszyć. Wiedział o tym, więc nasusiał do skarpetki. Miał teraz skuteczną maczugę. „Błotna pałka” - dziesięć lat temu uczył tej sztuczki żołnierzy jednostek specjalnych w Fort Bragg. Nie przewidywał wtedy, że sam z tego skorzysta w tchnących spokojem górach Vermont.

Powoli podczołgiwał się na brzuchu do snajpera. Ten sukinsyn miał na głowie farmerską czapkę z daszkiem przekreślonym do tyłu,

na ziemi obok stał brązowy pojemnik. Wojskowa manierka w brunatnym pokrowcu. Wszelkie domowe wygody, psiakrew! Przebycie dwudziestu pięciu metrów zajęło Colby'emu siedem minut.

Pierwszy cios w tył głowy pozbawił napastnika przytomności, ale Colby nie miał zamiaru ryzykować. Trzepnął go po raz drugi, wyrwał karabin z bezwładnych palców i obrócił mężczyznę na plecy. Biały, trzydziestka z hakiem i wielkie jego szczęście, że jeszcze żyje. Związał mu ręce na plecach pasem, ściągnął buty i wełniane skarpetki, którymi zakneblował usta. Sukinsyn może się udusi, ale na pewno nie ostrzeże krzykiem pozostałych.

Colby ruszył na ich poszukiwanie. Podczołgał się na odległy skraj wzgórza i spojrzął w dół. Gdzie są te bydlaki? Ilu ich jest? Dopiero po dwudziestu sekundach wypatrzył w odległości stu parudziesięciu metrów furgonetkę Forda na pokrytej koleinami drodze, z której przed laty korzystali drwale przy wywózce bali. Samochód było ledwo widać przez konary drzew. Interesowali go ludzie, a nie maszyna. To ich musiał zlokalizować. Zsunął się ze wzgórza tak, że od furgonetki mogło go teraz dzielić sześćdziesiąt metrów. Złożył się do strzału i zaczął ustawiać ostrość celownika optycznego o dwukrotnym powiększeniu. Widać, że snajper znał się na broni: celownik zamiast tradycyjnego krzyża miał krąg celowniczy, znakomicie ułatwiający szybkie celowanie. Wreszcie, po krótkim poszukiwaniu, trafił na kierowcę.

Miał go teraz w samym środku kręgu, mógł lekko nacisnąć spust i patrzeć, jak kawałki czaszki opryskują wnętrze kabiny samochodu. Kierowca zarazem ubezpieczał snajpera i miał go odwieźć po wykonaniu roboty. Może na siedzeniu obok niego leży drugi karabin albo pistolet maszynowy. A jeśli nawet nie, to gość ma z pewnością osobistą broń. Zabicie go teraz z broni odebranej snajperowi było łatwe, ale nie do pomyślenia. Usłyszeliby pozostali. Oczywiście, jeśli są tacy. Mogliby zacząć strzelać albo uciec. Ani jedno, ani drugie nie odpowiadało Colby'emu. Zarówno potrzeba, jak i zasady narzucały inne rozwiązanie: musi zgarnąć wszystkich! Zawsze tego przestrzegał.

Wolno mijały minuty. W pewnej chwili kierowca ziewnął. Nie był znudzony. Do obowiązków kierowcy dowożącego i odwożącego snajperów należy także cierpliwe wyczekiwanie w dusznych pojazdach, masowanie zdętwiałych nóg i poruszanie stopami, by ich nie chwycił skurcz. Kierowca nie był znudzony, ale raczej zdziwiony, dlaczego to trwa tak długo. Spojrzął też w dół, w kierunku szosy, następnie na szczyt wzgórza, gdzie czatował Jean z okiem przy celowniku. Jean był doskonałym strzelcem. Nie spusłuję.

Tylko drzewa. Żadnego śladu człowieka. Kierowca powtórnie ziewnął, a po chwili usłyszał jakiś szelest. Wyjął z kabury pod pachą rewolwer .38 *Special*, otworzył drzwiczki i wyslizgnął się na zewnątrz. Colby szybko wyskoczył spod furgonetki i kolbą karabinu snajpera uderzył kierowcę w grdykę. Mężczyzna wypuścił broń z ręki i złapał się za gardło. Nawet nie krzyknął. Po prostu nie mógł. Z ust wydobywały mu się urywane jęki. One też ucichły, gdy otrzymał cios kolbą w brzuch. Zwinął się, a gdy padał, oberwał morderczy cios w podbródek.

Colby usłyszał chrzęst łamanej kości. Najprawdopodobniej żuchwa, ale nie było czasu na stawianie lekarskich diagnoz. Odebrał powalonemu rewolwer i wyruszył na poszukiwanie pozostałych. Przez pół godziny przeszukiwał okolicę, nim nabrał pewności, że nikogo więcej nie ma. Wrócił na pagórek, by ściągnąć na dół wciąż nieprzytomnego snajpera. Rzucił go obok kierowcy i przeprowadził kolejną analizę.

Teren czasowo zabezpieczony. Wroga ekipa uderzeniowa zneutralizowana, niemniej ten, który przysłał tych dwóch, wyśle następnych. Tylko jeden człowiek w odległej metropolii wiedział o domu Colby'ego w górach Vermont. Człowiek ten zajmował wysokie stanowisko w pewnej agencji rządowej i miał bardzo skomplikowaną osobowość, a umysł błyskotliwy i pokrętny. Był też uparty. W przeszłości nakazał wiele egzekucji, chociaż logicznie biorąc nie było powodów, dla których teraz miałyby zabijać Colby'ego. Jeśli jednak on za tym stoi, to rozwiązanie jest proste i rzeczowe: Colby dopadnie go pierwszy.

2

Sindbad zaginął gdzieś na Ukrainie.

Kolejny frachtowiec libijski przeładowany amunicją wpłynął na Adriatyk.

Prezydent nadal był wściekły z powodu niepowodzenia operacji INDYK, natomiast Stephen Barringer zdawał sobie sprawę, że Rada Bezpieczeństwa Narodowego na swoim cotygodniowym posiedzeniu w dniu jutrzejszym najprawdopodobniej odrzuci plan pod kryptonimem MIKSER.

Padło, gdy Barringer ostrożnie wyjeżdżał z podziemnego garażu w Kennedy Center. Barringer, jako zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych, wszystko robił ostrożnie. Nie był miłośnikiem opery, ale kupił dwa bilety po sto dolarów na wieczorne przedstawienie, ponieważ dochód ze spektaklu był przeznaczony na cel dobroczynny, bliski sercu samego dyrektora. Koszt biletów można było odliczyć od podatku, a ich kupno z pewnością nie zaszkodzi. W przyszłym roku Fitzgerald przechodzi na emeryturę, pojawiła się więc szansa awansu.

W ciągu trzydziestu pięciu minut Barringer odjechał dwadzieścia kilometrów od waszyngtońskiego kompleksu kulturalnego, znanego pod nazwą Kennedy Center. Nadal padało. Bardzo ostrożnie prowadził wóz po mokrym asfalcie uliczek eleganckiej podmiejskiej dzielnicy willowej. Od parunastu lat tu mieszkał. W Chevy Chase. Miał dom - trzy sypialnie! - na środku wypielęgowanego półhektarowego trawnika, cieszył się dobrą opinią w waszyngtońskim światku służb specjalnych, miał atrakcyjną i bardzo rozsądną żonę, głęboko zainteresowaną rozwojem amerykańskiej sceny i estrady. Siedziała teraz w samochodzie obok niego, bardzo zadowolona, że włożyła na ten wieczór niebieską suknię i perły, i że jej mąż tak doskonale wygląda w smokingu.

- Pavarotti był wspaniały, prawda? - spytała.

- Nie widziałem go w lepszej formie - odparł lekko. Właściwie ledwo słuchał, gdyż myśli miał zajęte Sindbadem, libijskim frachtowcem

i innymi problemami. Podczas gdy jego żona analizowała i komentowała przedstawienie, nadal rozmyślał o tych sprawach, wtrącając od czasu do czasu jakąś uwagę, która miała dowodzić, że uczestniczy w rozmowie, ale naprawdę myślał o Charliem. Dlaczego Charlie nie odpowiedział na dwa telegramy? Wciąż zadawał sobie to pytanie, gdy wreszcie z deszczowej zasłony wyłonił się ich dom.

- Strasznie leje, kochanie - powiedział. - Wysadzę cię przed drzwiami i potem wstawię wóz do garażu.

Uniosła rąbek sukni i zgrabnie wyskoczyła z wozu. Barringer podjechał do garażu, ze skrytki wyjął elektronicznego pilota i nacisnął guzik. Drzwi garażu nie podniosły się. Nacisnął raz jeszcze. Bez najmniejszego skutku. Właśnie podczas takiej pogody urządzenie się zepsuło, zmuszając go do wyjścia z samochodu!

A w dodatku żona zabrała parasolkę. Barringer z rezygnacją wzruszył ramionami, wziął głęboki oddech i, wyskoczywszy z wozu, pobiegł do drzwi garażowych, by je unieść ręcznie. Otworzył szybko zamek przy ziemi i szarpnął aluminiową roletę do góry. Wjechała gładko na szyny pod sufitem. Wszedł i stanął jak wryty. W garażu stała furgonetka. Barringer nie miał furgonetki.

Poczuł nagle dotyk zimnego metalu przy lewym uchu.

- Ani drgnij! - rozkazał głos, ale osoby nie mógł dostrzec. Szept wydawał się znajomy.

- Charlie? - spytał na wszelki wypadek.

Jeśli to Charlie Dunn, dotyk metalu może okazać się końcem wszystkiego, przemknęło mu przez głowę.

- Zamykam drzwi - odezwał się głos. - Spróbuj tylko się ruszyć, a zginiesz na miejscu.

Tak, to mógł być Charlie Dunn. To do niego podobne.

Niewidoczny mężczyzna opuścił garażowe drzwi, pchnął Barringera parę kroków w kierunku wyłącznika i zapalił światło. Barringer zauważył natychmiast, że furgonetka ma kanadyjskie tablice rejestracyjne prowincji Quebec. Zastanawiał się, czy odwrócić głowę. Byłby to poważny błąd, gdyby za nim stał rzeczywiście Charlie Dunn.

- Czy to ty, Charlie? - spytał ponownie.

- Oczywiście. A przy uchu masz *Smith & Wessona* kalibru 0.38 ca. Zachowałeś się bardzo brzydko.

- Czy byłbyś łaskaw zabrać to z mojego ucha? Bardzo proszę - powiedział grzecznie Barringer.

- Kiedy mam właśnie ochotę przepchnąć zawartość mojej zabawki przez twój łeb, bydlaku! - odparł nieproszonego gość.

To był bez wątpienia Dunn.

- O co ci chodzi, Charlie?

- Właśnie przyjechałem z Vermont, żeby od ciebie dowiedzieć się, co tutaj jest grane. Dlaczego nasłałeś na mnie ekipę?

- Ja kogoś na ciebie naslałem? Co ty bredzisz? Ja tylko wysłałem do ciebie dwa telegramy, na które nie otrzymałem odpowiedzi. Dostałeś je?

- Dostałem. A w postaci załącznika, twoich cholernych morderców.

Barringer chciał gwałtownie zaprzeczyć ruchem głowy, i aż skrzył się z bólu, gdy lufa rewolweru wbiła mu się w ucho.

- To nie moi ludzie! - wykrzyknął.

- I niezbyt dobrzy, Stephen. Trzecia klasa - stwierdził pełnym pogardy tonem Dunn i otworzył tylne drzwi furgonetki. - Cuchną - dodał. Nie była to przenośnia. Na podłodze leżeli dwaj nadzy mężczyźni, zakneblowani i w tak przemyślny sposób powiązani nylonową rybaczką żyłką, że musieli trzymać nogi i ręce szeroko rozłożone. Taka sama żyłka obwiązywała im gardła. Udusiliby się przy pierwszej próbie podniesienia głowy. Smród uryny i kału wskazywał, że od dłuższego czasu nie mieli dostępu do ubikacji. Rzeczywiście cuchnęli.

- Nie znam tych ludzi - oświadczył Barringer, nie żywiąc wielkiej nadziei, by Dunn mu uwierzył.

- Wobec tego przedstawię ci ich. Ten po lewej to kierowca i ubezpieczenie. Przy uchu masz właśnie jego rewolwer. Zgodnie z posiadanymi dokumentami nazywa się Pierre Dubois i pracuje dla dealera Toyoty w Quebecu.

- Charlie, weź to żelastwo, ucho mnie boli. I źle cię przez to słyszę.

Dunn nie cofnął lufy.

- Wobec tego będę mówił głośniejszym głosem. Sprzedawca samochodów. Stary kawał. Zużyty. Zgadzasz się ze mną, Stephen? Zgadzasz się, że śmierdzi?

- Zgadzam się w stu procentach, Charlie. Oklepana sztuczka. Czy moglibyśmy pomówić teraz o moich telegramach? Sprawa jest raczej pilna.

- Ten drugi ma papiery na nazwisko Louis Courville z Montrealu. Czatował na mnie na wzgórzu z karabinem wyborowym wycelowanym w mój wakacyjny domek. Ludwik Morderca czekał, aż wrócę do domu, żeby mnie przed drzwiami ubić. Wiesz, jak on zarabia na życie?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Jest doradcą małżeńskim! Ktoś ma doskonale poczucie humoru. Prawda, że to bardzo śmieszne?

Barringer widział śmiertelne przerażenie w oczach obu związanych nagich mężczyzn. Kierowca miał opuchniętą zuchwę. Najprawdopodobniej złamaną. Obaj mężczyźni mieli wysuszone i popękane wargi, co sugerowało poważne odwodnienie. Nie wiadomo, kiedy po raz ostatni jedli i pili. Nie wiadomo też, kiedy umrą. Charles Dunn był najlepszym likwidatorem, jakiego kiedykolwiek miała CIA. Znał wszystkie sztuczki, opanował wszystkie posunięcia. Był szybki, przebiegły, inteligentny. Ci, którzy chcieli go zabić, nie żyli długo. Tak było do czasu, kiedy przed dwoma i pół laty Charlie Dunn wycofał się z powodu załamania nerwowego i zaczął prowadzić spokojne życie w Vermont. Pod nowym nazwiskiem.

- To wcale nie jest śmieszne - odparł Barringer.

- Nigdy nie odznaczałeś się wielkim poczuciem humoru, Stephen. No, ale jak z twoją pamięcią? Przypominasz sobie tych dwóch?

- Nie.

- Więc nic cię nie obchodzi, co z nimi zrobię?

- Jeśli o mnie idzie, możesz ich przekazać na twój ulubiony fundusz dobroczynny - odparł Barringer ze złością.

- Nie lubię dobroczynności - stwierdził Dunn, zamykając drzwi furgonetki. - Chyba ich otruję spalinami.

Pchnął Barringera w kierunku szoferki.

- Tu zapuścimy silnik, a o telegramach pójdziemy porozmawiać do twojego samochodu. Przez ten czas tlenek węgla ich tu załatwi. Czysta robota, bez żadnej krwi. Odpowiada ci to, Stephen?

Zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych poczuł, że ze strachu uginają mu się kolana.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestował.

- Chcesz się założyć? Oczywiście potem podpalę też dom.

Dunn mówił śmiertelnie poważnie. Zawodowo trudnił się unieczyszczeniem ludzi, samochodów i domów. Dwa trupy więcej i jeden dom nie robiły mu najmniejszej różnicy.

- W domu jest moja żona, Charlie!

Na dworze dwukrotnie zagrzmiało: odpowiednie tło dźwiękowe do sytuacji. Dunn przez chwilę myślał.

- Chyba ma płaszcz nieprzemakalny? - spytał w końcu.

- Charlie! Na miłość boską!

- Kiedy zapuścisz silnik i zapalę świeczkę w misce z benzyną, zamkniemy za sobą drzwi garażowe, pójdziemy do samochodu, a wtedy twoja żona może do nas dołączyć. Jeśli chcesz, odjedziemy kawałek,

żeby nam nic się nie stało, kiedy dom wyleci w powietrze - o ile pamiętam masz ogrzewanie gazowe. Bo przecież ja nie mam nic przeciwko twojej żonie, Stephen. To nie ona nasłała na mnie tych dwóch.

- Nie rób tego. To głupie - przekonywał Barringer.

- Nawet nie znam twojej żony - ciągnął Dunn. - Z pewnością zawsze ją chroniłeś przed takimi wstępnymi typami jak ja. Założyłem się, że nie ma nawet pojęcia, w jakie przedziwne sprawy jesteś zamieszany i z jak dziwnymi ludźmi masz do czynienia. Ona spokojnie sobie zbiera datki na somalijskie sieroty i nadal gra świetnie w tenisa. Wysoce cywilizowana dama z zasadami. I zbyt rozsądna, by zadawać pytania na temat twojej pracy.

Ponownie zagrzmiało.

- Na pewno będzie nieco poruszona, kiedy znajdzie w garażu dwa trupy - oczywiście, o ile wcześniej nie wypali się świeczka. Jak jej to wytłumaczysz, Stephen?

Nastąpiła kolejna salwa grzmotów i w interkomie na ścianie rozległ się kobiecy głos: - Stephen! Znowu zostawiłeś zapalone reflektory samochodu. Czy mnie słyszysz?

Barringer skrzywił się jakby z bólu.

- Lepiej odpowiedz. Nie chciałbyś przecież, żeby się zaniepokoiła.

Obaj mężczyźni byli już przy interkomie, kiedy znowu rozległ się kobiecy głos:

- Co ty właściwie robisz? Już północ. Bez względu na to, co to jest, może poczekać do rana. Przestań marudzić i chodź spać.

- Ona boi się błyskawic. Zawsze się bała - wyjaśnił z troską Barringer. Przełączył interkom i zapewnił żonę, że wszystko jest w porządku i że za parę minut do niej przyjdzie. Po czym wyłączył interkom i głęboko westchnął w momencie, gdy Dunn go popchnął w kierunku wyjścia z garażu. Zdał też sobie sprawę, że ma w tej chwili ostatnią szansę.

- Chyba wiem, kto nasłał tych dwóch - obwieścił.

- Jestem pewien, że wiesz. Dlatego tu przyjechałem.

Dunn zatrzymał się przy lewych drzwiczkach szoferki i powiedział: - Chętnie posłucham. Daję ci dwie minuty, Stephen, ani sekundy dłużej i żadnych głupot.

- Kiedy przed dwoma laty zachorowałeś...

- Kiedy doznałem załamania nerwowego - poprawił go Dunn.

- Oczywiście. Więc kiedy lekarze powiedzieli nam, że być może przez dłuższy czas będziesz... niedysponowany i nie będziemy mogli korzystać z twoich usług...

- Z moich umiejętności zabijania, Stephen! Byłem cholernym pierwszym katem w służbie najwspanialszej demokracji na świecie, jak to mawiają ludzie. Jego lordowska mość kat, to właśnie ja.

- Byłeś najlepszy, Charlie... - zgodził się Barringer.

- Najlepszy do wysyłania kulek, co? A teraz do ich zatrzymywania własnym ciałem.

- Nie, nie. No więc kiedy zach... kiedy miałeś to załamanie, to zostali nam dwaj wyszkoleni przez ciebie likwidatorzy. Victor Spalding i Ken Perry. Pamiętasz ich?

- Mnie interesują tylko ci dwaj w furgonetce.

- Właśnie o tym chcę mówić, Charlie. Spalding zniknął przed mniej więcej piętnastoma miesiącami. Zaczął pracować na własny rachunek. Wolny strzelec. Za grube pieniądze. Zabija ważne osobistości za gotówkę. Niektóre z jego ofiar należą do kategorii, którą wolelibyśmy utrzymać przy życiu. Panuje powszechne przekonanie, że on nadal pracuje dla nas. Powstała bardzo nieprzyjemna i kłopotliwa sytuacja. Trzeba go za wszelką cenę powstrzymać.

- To nie mój stolik, jak powiadają kelnerzy. Wyślij do tej roboty Perry'ego.

- Wysłaliśmy. Spalding go zabił. Przed czterema dniami postanowiliśmy skontaktować się z tobą. Chcieliśmy wiedzieć, czy pozbyłeś się swoich... dolegliwości, no wiesz, drżenia rąk, i czy gotów jesteś przyjąć sześćdziesięciodniowy kontrakt, najwyższa stawka, by rozwiązać problem...

- Zdmuchnąć go, powiadasz. Podciąć mu gardło, spalić albo zastrzelić? Unicestwić go na amen, jak robiła w reklamach insektycydów? Już dawno takich rzeczy nie robiłem - wyznał Dunn.

Barringer przez chwilę zastanawiał się, czy już jest odpowiedni moment, by poprosić o zabranie lufy z ucha. Jeszcze chyba nie. Postanowił poczekać. Z Charliem Dunnem należało obchodzić się w rękawiczkach, delikatnie i ostrożnie. Przez dwadzieścia jeden lat pracy w operacjach specjalnych Stephen Barringer nie spotkał równie niebezpiecznego człowieka, jak Charlie Dunn. Dzisiejsze wydarzenie i ci dwaj w furgonetce dowodzą, że jest nim nadal.

- Mógłbyś to śmiało zrobić - zachęcał Barringer.

Ucisk lufy zelżał.

- Chcę, żebyś mnie posłuchał i coś zobaczył. Obróć się.

Barringer obrócił się. Dunn był opalony i wyglądał jak okaz zdrowia. Twarz o zdecydowanych rysach wyrażała pewność siebie i nieufność. Żadnego podobieństwa do bladego i roztrzęsionego człowieka, którego przed dwoma laty odprawiono jako niezdolnego do służby.

- Od kiedy spojrzalem przez celownik snajperskiego karabinu, nie zdrzala mi ruka. W jednej chwili roztrzesciony Ted Colby przemienil sie w starego dobrego Charlie'ego Dunna. Przepraszam: w starego, bardzo zlego Charlie'ego Dunna.

- Moje gratulacje.

Dunn pogrozil mu lufa rewolweru.

- To jest chore, co mowisz, Stephen. A w ogole to jestes bardziej chory, niz ja bylem kiedykolwiek. Moglbym cie uwolnic od Spaldinga, ale tego nie zrobiu. Skonczyłem z tym. Powiedzialem ci: to nie mój stolik.

Barringer potarl obolale ucho. Zastanawial sie teraz, czym zachęcić Dunna. Moze to jest jedna z owych niezwyklych sytuacji, kiedy najbardziej skuteczne bedzie nie owijanie sprawy w bawelne.

- A moim zdaniem, Charlie, to jest wlasnie twój stolik. Obawiam sie, ze...

- Twoje dwie minuty uplynely.

- Daje ci slowo, Charlie, ze to nie my wyslalismy tych dwuch...!

Dunn wycelowal rewolwer w brzuch Barringera.

- Twoje slowo nie jest warte funta klakow, Stephen. Ty zaczynasz klamac jeszcze przed porannym umyciem zebow.

- To musial byc Spalding - upieral sie Barringer. - Ktorys z jego klientow albo on sam dowiedzial sie, ze zamierzamy wynajac ciebie, zeby polozyc kres jego dzialalnosci. Pomyśl tylko! Ty go szkoliles i znasz go lepiej niz ktokolwiek inny.

Dunn przez kilka sekund zastanawial sie, wreszcie skinal glowa.

- Victor jest do tego zdolny - przyznal.

- A wiec to twój stolik, twój problem, Charlie...

- Twój takze. Ktos was spenetrowal, panie Barringer. W twojej supertajnej i slawnej w swiecie organizacji jest przeciek. Moze nawet w twoim wydziale... Mozesz zaplacic za to wlasnym tykiem.

Dunn mial racje. Nie da sie od tego uciec: koszmar, który pracownikom Firmy spedzal sen z powiek, stal sie faktem. W wielkim kompleksie CIA jest zdrajca lub agent obcego wywiadu. No i bezpieczenstwo narodowe zostalo zagrozone. Od dwudziestu pieciu lat ludzie z kontrwywiadu obsesyjnie sie tego bali. Wszedzie dopatrywali sie zdrady. I wreszcie ci paranoicy beda mogli triumfowac.

- Sytuacja wydaje sie nieslychanie powazna - przyznal Barringer. - Z samego rana pomowie o tym z dyrektorem do spraw kontrwywiadu.

- Trafi go szlag - oswiadczyl wesoło Dunn. - I dyrektora calego burdelu takze.

- Spójrzmy na całą sprawę perspektywicznie. Spróbujmy rozważyć sytuację w ogólnym kontekście - rozpoczął Barringer tonem przełożonego, który chce pokazać podwładnym, jak świetnym jest fachowcem. - Incydent z tymi dwoma w furgonetce mógł cię bardzo zboleć, niemniej może okazać się bardzo pożyteczny, stanowiąc pierwszy trop prowadzący do zdrajcy. Czy rozmawiałeś z nimi? - spytał Barringer.

Trzydziestkaósemka była przez cały czas wycelowana w jego brzuch. Dunn nigdy nie ryzykował.

- Pierwsze, co zrobiłem, to związałem oba prosiaki w furgonetce, a drugie, czym prędzej odjechałem. Te głupole mogły mieć w okolicy koleżków. Kiedy już byłem o sto pięćdziesiąt kilometrów od Latham Falls, zatelefonowałem w parę miejsc... Dealer Toyoty w Quebecu, który rzekomo zatrudniał przyjemniaczka za kierownicą, nie istnieje. A w książce telefonicznej Montrealu nie ma numeru domowego ani biurowego tego wcale niewyborowego strzelca. Spytałem chłopaków, jak to jest z tym ich zatrudnieniem, ale mi wiele nie powiedzieli. Może twoi ludzie lepiej sobie z nimi poradzą.

- Możesz być pewien, że będą dokładnie przesłuchani. Ten rewolwer trochę mnie martwi, Charlie. Sposób, w jaki go trzymasz, dowodzi, że niezupełnie mi ufasz. Jeśli chcesz być obecny podczas przesłuchania...

Dunn pogardliwie machnął rewolwerem.

- Chyba zwariowałeś? Jeśli się pokażę w okolicy Langley, to twoja wtyka czym prędzej zmobilizuje sześciu dalszych snajperów. Z pewnością mają moje zdjęcie. Dzięki tobie jestem żywym celem, Stephen.

W tym momencie rozległy się kolejne grzmoty - Barringer mógł zebrać myśli i zastanowić się nad odpowiednią repliką: - Zapewniam cię, Charlie, że twoje osobiste bezpieczeństwo...

- Nie pieprz. Moje osobiste bezpieczeństwo równa się zeru. Z pewnością te dwa przyjemniaczki miały już wiele godzin temu zawiadomić o wykonaniu zlecenia. Ich szefowie dobrze wiedzą, że coś nie wyszło. I już się pewno za mną rozglądają.

- Szybko ich znajdziemy. Ci dwaj puszczą farbę.

- Spróbuj się z nimi zaprzyjaźnić. Na moje groźby nie zareagowali.

- Dunn spokojnie patrzył na Barringera szeroko otwartymi brązowymi oczami. Odnosiło się wrażenie, że intensywnie myśli.

- Potrzebna ci kryjówka - podsunął Barringer.

- Żadna z zaproponowanych przez ciebie. Potrzebna mi gotówka. Daj mi swój portfel.

Zaskoczony Barringer chciał protestować, ale rewolwer w dłoni Dunna przemawiał za tym, by wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni smokingowej marynarki.

- Aż mi w to trudno uwierzyć - mruknął.

- Masz szczęście, że nie zabieram ci także zegarka. No, wyjmuj pieniądze. Grzecznie i bez żadnych kawałów. Jeden gwałtowny ruch może cię drogo kosztować. Kto wie, czy nie zrujnuje ci kariery...

Barringer obrzucił Dunna złym spojrzeniem, ale pieniądze wyjął co do ostatniego banknotu.

- Doskonale. Połóż je na zderzaku, a na wierzchu zostaw klucze od samochodu.

- Ja chyba śnię - powiedział rozwścieczony Barringer. Posłuchał jednak polecenia.

- Nie śnisz, kochasiu. Musisz tylko przypomnieć sobie, że zabijałem ludzi i że w podobny sposób mógłbym sprzątnąć i ciebie. Teraz dołącz do panów w furgonetce.

I to polecenie Barringer wykonał. Natychmiast też zaczął się krztusić w przeraźliwym smrodzie. Przybysz z Latham Falls zatrzasnęła drzwiczki, pozostawiając rozdygotaną ze strachu ofiarę w ciemnościach. Barringer był w pełni świadomy, że Dunn może lada chwila włączyć silnik i uśmiercić całą trójkę. Charlie Dunn był zdolny do wszystkiego.

Słyszał odgłosy, których nie mógł zidentyfikować. Co Dunn robi? Czuł ściskanie w dołku, zaczął się pocić.

Był już cały mokry, kiedy drzwiczki furgonetki otworzyła, bardzo zdenerwowana i zaniepokojona, jego własna żona. Chociaż Aline Barringer należała do na wskroś nowoczesnych kobiet i znała życie, doznała szoku odnajdując męża w cuchnącym wozie w towarzystwie zakneblowanych i związanych nagich mężczyzn.

- Kim oni są? - wyjąkała.

- Pojęcia nie mam - odparł zgodnie z prawdą Barringer. Wyskoczył z furgonetki i, znalazłszy w kieszeni chustkę, otarł czoło pokryte kroplami potu. Jeszcze nigdy, w ciągu dwudziestu trzech lat małżeństwa, Aline Barringer nie widziała na twarzy męża wyrazu takiej rozpacz i zagubienia.

- Co tu się dzieje, Stephen?

- Absolutnie nic się nie dzieje. Niczego nie widziałś, nie było cię tu. I nie było tu żadnej furgonetki.

- Co ty bredzisz?

- To nigdy się nie wydarzyło, więc nigdy nikomu nie piśniesz ani słowa! Nikomu! Czy to jasne?

Skinęła głową zupełnie oniemiała.

- Stało się coś aż tak niedobrego? - spytała po chwili.

- Gorzej niż niedobrego - odparł, zatrzasnąwszy drzwiczki furgonetki. - Mogę ci tyle powiedzieć, że to sprawa CIA i że nie spodziewałem się, że coś podobnego może się wydarzyć. A w każdym razie nie tu, nie u mnie w domu.

Wskazując głową na furgonetkę, spytała: - Tyś ich tak urządził?

Zapewnił ją, że do jego obowiązków należy wyznaczanie zza biurka ogólnych kierunków działania. Odpowiedź ją chyba nieco uspokoiła. Nie protestowała, gdy powiedział, że musi gdzieś pojechać.

- Naszego wozu nie ma - poinformowała męża.

- Pojadę furgonetką - odparł.

Po pół minucie patrzyła, jak wyjeżdża z garażu, prosto w lejący deszcz. Głośniejszy od innych grzmot i oślepiająca błyskawica sprawiły, że zadrżała, na chwilę odwracając uwagę od oddalających się świateł pojazdu. Gdy ponownie spojrzała na ulicę, furgonetki już nie było.

3

- Watson - odezwał się do słuchawki oficer dyżurny siedziby CIA.
- Mówi Stephen Barringer. Mam przesyłkę.
- Proszę chwilę poczekać.

W podziemnym bunkrze łączności kompleksu Langley Watson nacisnął kilka guzików, żeby sprawdzić, czy nagrany przed paroma sekundami głos w słuchawce zgadza się z przechowywanym wzorcem akustycznym. Póki się tego nie zrobi, rozmowa nie będzie dalej prowadzona. Barringer czekał cierpliwie w przydrożnej kabinie telefonicznej, patrząc na spływający potokami deszcz i zastanawiając się, czy tej nocy jego żona choć na chwilę zmruży oko.

- Słucham, panie Barringer - odezwał się wreszcie oficer dyżurny.
- Przesyłka priorytetowa. Zawartość przesyłki może ulec zepsuciu.
- Czy przesyłka wymaga zamrożenia? - spytał ostrożnie Watson.
- Bezwzględnie tak. I troskliwego obejścia się z zawartością.
- Chwileczkę!

Teraz komputer usiłował ustalić numer, z którego dzwoniło, i lokalizację aparatu.

- Przepraszam za zwłokę, panie Barringer. Czy przesyłkę mamy odebrać, czy dostarczy ją pan do magazynu w Silver Spring?

- Przywiozę ją. - Barringer odwiesił słuchawkę, przez parę sekund wpatrywał się w numer na aparacie, a następnie wrócił do furgonetki. W gęstym deszczu prowadził bardzo ostrożnie. Nie był to odpowiedni wieczór na wypadek drogowy lub spotkanie nadgorliwego policjanta, pragnącego odrobić zaległości w wystawianiu mandatów. Pojazdów na szosie była znikoma liczba, niemniej dopiero po czterdziestu minutach dotarł do potężnego budynku firmy przewozowej Ajax. Stał przed wielką bramą i wybiegł w deszcz, by nacisnąć guzik dzwonka. Po dwudziestu sekundach potężne wrota rozwarły się z przeraźliwym

zgrzytem. Wszedł do hali co najmniej trzydzieści metrów długiej i piętnaście szerokiej. Stała tam furgonetka z napisem AJAX, za nią wznosiły się stosy skrzyń i mniejszych kartonów, z pomiędzy których wyszli dwaj mężczyźni w popielatych kombinezonach.

- W czym możemy panu pomóc? - zapytał jeden z nich śpiewnym akcentem z Wirginii.

- Mam przesyłkę. Do przeladunku i chłodziarki. Jestem Barringer.

- A tak. Zapowiedziano pański przyjazd. Niech pan wprowadzi furgonetkę, panie Barringer.

Świadomy, że jest monitorowany przez ukryte kamery i czujnie obserwowany przez równie dobrze ukrytych strzelców wyborowych, zastępca dyrektora do spraw operacji wrócił wolnym krokiem do furgonetki i wprowadził ją do hali. Chciał właśnie wysiąść, kiedy podszedł ten sam mężczyzna w szarym kombinezonie. Niósł tabliczkę z przypiętymi do niej kartkami.

- Przepraszam, że pana zanudzam, panie Barringer, ale nasza rachunkowość musi mieć numer pańskiego konta u nas.

Barringer urodził się czwartego września 1941 roku. 4-9-41. Jego „numer konta” składał się z tych samych cyfr w odwróconej kolejności.

- Jeden cztery dziewięć cztery - odparł bez wahania.

- Dziękuję panu. - „Magazynier” uśmiechnął się. - Może pan wjechać. Hej tam, w porządku! - podnosząc kciuk zasygnalizował niewidzialnemu koledze. Tylna ściana magazynu rozstała się, odsłaniając spore pomieszczenie pomalowane rażąco bielą. Mężczyzna w kombinezonie wskazał palcem w kierunku magazynu i Barringer wjechał do środka. Ostre oświetlenie jeszcze bardziej męczyło oczy. Wyłączył silnik i wyszedł z szoferki.

- Jeszcze jedna drobna formalność, panie Barringer - odezwał się wirginijski, gdy zamknęła się za nim ruchoma ściana. - Numer?

Barringer wyrecytował numer telefonu, z którego dzwonił przed niespełną godziną, kończąc tym samym procedurę sprawdzania tożsamości. Przetarł oczy.

- Za silne światło. Przygaś je tam trochę, Harrey! - zawołał Wirginijski do kolegi.

Jaskrawość bieli osłabła. Barringer dostrzegł teraz ludzi na metalowych galeryjkach nad głową. Byli też w kombinezonach i mierzyli do niego z karabinów M-16.

- Przepraszamy za wszystkie niedogodności, panie Barringer. Przepisy. Gdzie jest przesyłka?

Barringer wskazał na furgonetkę. Tryskający humorem „magazynier” otworzył tylne drzwiczki po paru sekundach. Patrzył długo na związanych i cuchnących nagusów, a potem baczny spojrzeniem obrzucił Barringera i jego smoking.

- Musiała być fajna zabawa...

Barringer wyjaśnił lodowatym tonem, że nie było żadnej zabawy i że obaj ludzie mają być natychmiast zbadani przez lekarzy i bezwzględnie przekazani do zespołu przesłuchującego.

- Czy to są swoi, czy obcy, sir? - spytał mężczyzna w kombinezonie.

- Obcy i bardzo groźni. Z tego, co wiem, specjalizują się w zabijaniu ludzi. - Barringer zadygotał i po raz pierwszy uświadomił sobie, jak niska temperatura panuje w magazynie.

- Do przesyłki pasują jakieś nazwiska? - otrzymał kolejne pytanie.

Podanie nazwisk wspomnianych przez Dunna byłoby nierozważne i zbędne.

- Flip i Flap - odparł ze złością Barringer. - I powiedz swoim koleżkom tam w górze, żeby przestali trzymać mnie na muszce.

- Rany boskie, chłopaki, skierujcie swoje pukawki w inną stronę!

Strażnicy chwilę się wahali, ale potem wykonali polecenie.

- Zaraz zabierzemy z wozu Flipa i Flapa. Może pan spokojnie wracać do domu, sir.

- To nie mój wóz. Trefny. Ich koledzy mogą go szukać, niech nasi ludzie dokładnie go obejrzą. Milimetr po milimetrze. Chcę mieć na biurku raport przed czwartą po południu.

„Magazynier” uśmiechnął się.

- Zaraz zorganizuję panu jakiś środek transportu. Może być nasz wóz dostawczy?

- Wszystko mi jedno, byle szybciej. Dlaczego tu jest tak cholernie zimno?

- Pojęcia nie mam. Tam dalej nie mamy wstępu.

A więc jeszcze są tu jakieś pomieszczenia. Może ukryte w podziemiach. Mogło ich być wiele, ale Barringer wiedział, że nie należy o to pytać. Mężczyzna w kombinezonie dał znak do zawieszanej pod galeryjką kamery telewizyjnej i ściana ponownie się rozstała, umożliwiając Barringerowi powrót do pierwszej hali.

- Miło mi było pana poznać - powiedział „magazynier”, wskazując na samochód dostawczy. Drugi „magazynier” zajął miejsce za kierownicą. Nie odezwał się słowem, kiedy Barringer usiadł obok niego i podał adres w Chevy Chase. I nie otworzył ust podczas drogi.

Kiedy już dojeżdżali na miejsce, Barringer pomyślał, że być może ma do czynienia z niemową. Deszcz padał znacznie mniejszy. Gdy wóz zatrzymał się trzydzieści metrów od domu, Barringer powiedział:

- Dziękuję za odwiezienie, Jose!

- Nie mam na imię Jose - usłyszał w odpowiedzi.

Barringer wzruszył ramionami i wysiadł. Samochód odjechał.

Barringer poczuł się nagle, jakby miał sto lat. Pozbył się furgonetki, pozbył się chwilowo Dunna, ale miał teraz na głowie wtyczkę. Może nawet w jego własnym biurze. Mimo wypitych trzech lampek koniaku Remy Martin zasnął dopiero o czwartej nad ranem. I spał bardzo źle.

4

- Komu jeszcze o tym powiedziałaś?

- Tylko dyrektorowi - odparł Barringer.

Siwy mężczyzna za biurkiem miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i krawat w pastelowych barwach. Był to jego codzienny roboczy strój, a pracował siedem dni w tygodniu, przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku. Od czterech lat nie miał urlopu. Jedni mówili, że zbyt natrętnie zagląda przez ramię podwładnym, inni, że Martin McGhee po prostu bardzo poważnie traktuje obowiązki odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Firmy szefa kontrwywiadu CIA. Chociaż jego gust w dziedzinie ubioru był raczej mierny, a umiejętności w sprawach stosunków międzyludzkich nikłe, wszyscy - z wyjątkiem paru uważających, że cierpi na depresję maniacką - zgadzali się, że dobrze wykonuje swą pracę.

- Kiedy? - spytał McGhee swym przedziwnie bezbarwnym głosem.

Barringer spojrział na zegar będący jedyną ozdobą ścian gabinetu. Nie wisiał tu nawet reklamowy kalendarz, który mógłby świadczyć o preferencjach estetycznych lokatora tego pomieszczenia. McGhee chciał być niewiadomą, enigmą, aby nikt nie mógł go rozszyfrować i próbować nań wpływać.

- Teraz jest dziesiąta dwadzieścia - odparł Barringer. - Rozmawiałem z Fanellim dwadzieścia pięć minut temu, czyli za pięć dziesiąta.

- I co powiedział?

- Że sprawa jest niezwykle poważna... Że natychmiast powinienem cię zawiadomić... i zapewnić, że nasz wydział deklaruje pełną współpracę. Przyniosłem listę pracowników, którzy uczestniczyli w podejmowaniu decyzji o zatrudnieniu Dunna lub też mogli mieć dostęp do informacji w tej sprawie. - Położył teczkę na biurku dyrektora kontrwywiadu.

- Czyi to są pracownicy?

- Wydziału do spraw operacji. Jedenaście nazwisk łącznie z sekretarkami i maszynistkami.

- Jasne - odparł McGhee, nie wyjaśniając, co ma na myśli.
- Lista jest odręczna. Nie chciałem, by ktokolwiek oprócz mnie, Fanellego i ciebie wiedział o jej istnieniu.

McGhee niemal niedostrzegalnie skinął głową i splótł krótkie grube palce.

- Wtyczka może pracować poza wywiadem - dodał Barringer.

- Jeśli w ogóle istnieje - zauważył McGhee. - Możliwe, że domniemany zamach na życie Dunna wiąże się z misjami, jakie mu powierzono w latach czynnej służby. Z tego, co wiem, wyjątkowo... czynnej.

- Taką miał pracę. Był przez nas dobrze wyszkolony i dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków.

McGhee rozplatał i splatał palce.

- Ilu ludzi wyeliminował?

- To już nie twoja sprawa - odparł cierpko Barringer. - Jego misje nie zazębiały się ze sprawami twojego biura. A co, do diabła, miało znaczyć „domniemany zamach”?

- Mamy tylko wersję Dunna. Nie wiemy, co wydarzyło się w Vermont i dlaczego. Twój człowiek przeżył ciężką chorobę. Załamanie. Może nadal ma problemy?

- Owszem, ma. Z naszymi przeciekami, McGhee - obruszył się Barringer. Ale szef kontrwywiadu był zbyt doświadczonym urzędnikiem, aby dać się wciągnąć w taką rozmowę. Za wcześniej. Przyjdzie na to czas, kiedy ustali się fakty, przesłucha nagrania i uzyska inne dowody, które pozwolą na otwartą konfrontację z zastępcą dyrektora do spraw wywiadu.

- Może masz i rację - odparł pojednawczo McGhee. - Ale proponuję, abyśmy zaczęli od przebadania Dunna przez naszych lekarzy.

Barringer nagle wstał.

- To chyba nie będzie możliwe - odparł. - Wątpię, aby udało nam się go odnaleźć. Przez ponad dwanaście lat Dunn pracował praktycznie we wszystkich policyjnych państwach świata. Operował skutecznie w łonie doskonale zorganizowanych dyktatur, dysponujących bardzo sprawnymi służbami wewnętrznego bezpieczeństwa i posiadających rozbudowane systemy kontroli terenowej: przepustek, zezwoleń, świadectw oraz zaświadczeń. Poruszał się bez trudu, pokonywał wszystkie przeszkody, nigdy nie dał się schwytać. Sądziś, że nie potrafi ukryć się w Stanach? W tej chwili może przebywać w górach Południowej Dakoty albo na którejś z hawajskich wyseppek, czy też na Karaibach. A może na Alasce.

Zna bez liku niekontrolowanych przejść do Kanady...

- Nie miałem nigdy przyjemności spotkać pana Dunna, ale wierzę ci na słowo odparł łagodnie McGhee.

- Nie musisz. Możesz spytać Rosjan albo Chińczyków, a także kilka arabskich rządów oraz parę terrorystycznych organizacji. Możesz porozmawiać z Kubańczykami na Kubie. Oni mu wystawią referencje. Skoro o świadczenie sprawności mowa i ja mogę czymś służyć: kiedy go teraz zobaczyłem, stwierdziłem, że całkowicie wyzdrowiał. Ręce mu się nie trzęsą i w pełni kontroluje sytuację. Jest czujny, silny i... uzbrojony.

- Może całe to załamanie było tylko udawaniem?

Barringer energicznie zaprzeczył i jednocześnie ostrzegł:

- Lepiej trzymaj się z daleka od Dunna, McGhee!

- Czy usiłujesz mi rozkazywać?

- Tylko radzę. Jeśli ruszysz za nim, on... wyeliminuje twoich ludzi. Zapewniam, że tak się stanie. I będziesz osobiście odpowiedzialny za skutki. Za ofiary w ludziach. A poza tym rozwalisz ważną operację. Naszym zadaniem jest zneutralizowanie Spaldinga.

- I w tak ważnej sprawie liczysz wyłącznie na Dunna?

- Jest najlepszym z najlepszych. Zostaw nam Dunna, a sam zajmij się wtyczką.

W oczach dyrektora McGhee rozbłysł nieprzyjemny ognik.

- Jak chcesz go znaleźć?

- On nas znajdzie. Kiedy będzie gotów. Muszę już wracać do siebie. Spodziewam się lada moment informacji z Montrealu.

Przewidywanie to okazało się zbyt optymistyczne. Dopiero o drugiej dwadzieścia po południu Barringer otrzymał teleks od przedstawiciela placówki CIA. Czytał go po raz trzeci, kiedy sekretarka zawiadomiła, że dzwoni żona.

- Miałam telefon od jakiegoś mężczyzny, który powiedział, że nasz samochód stoi przed „Hiltonem” na Connecticut Avenue.

- Przedstawił się?

- Możesz go w każdej chwili zabrać. Co za ulga!

- W istocie. Czy powiedział, jak się nazywa, kochanie?

- Dobry Boże, Stephen! Czy to ważne? Ale tak... powiedział. Stoltz... czy coś takiego.

- Dziękuję - odparł i szybko odwiesił słuchawkę, zanim Aline mogła mu zadać więcej pytań. Kiedy miało się do czynienia z Dunnem, każdy szczegół nabierał specjalnego znaczenia. Charlie Dunn był najbardziej efektywnym w działaniu agentem, jakiego znał. Żadnego zbędnego ruchu, zbędnego efekciarskiego posunięcia, żadnych ozdobników. Barringer zamknął oczy i zaczął w myślach przebiegać listę wszystkich pseudonimów, jakich Dunn kiedykolwiek używał.

Nie, żadnego Stoltza sobie nie przypominał. Może tak nazywa się po prostu jakiś pracownik hotelowy, który znalazł nieprawidłowo zaparkowany samochód.

Wszystko wydawało się normalne, kiedy tego wieczoru Barringer wrócił do domu kwadrans po siódmej. Żonę zastał w sukience w delikatne kwiaty - kupił ją w uroczym butik na wyspie Barbados - a na kredensie czekała karafeczka wytrawnego martini na dżinie Beefeatera, obok stały zimne waterfordowskie szklaneczki, jeszcze oszronione po schłodzeniu w lodówce. Aline Barringer opowiadała o minionym dniu i o liście od córki przebywającej na Hawajach, nie czyniąc najmniejszej aluzji do wydarzeń poprzedniego wieczoru. Dopiero po pierwszym koktajlu zadała pytanie:

- Samochód w porządku?

- Oczywiście.

Nie powiedział jej, że kiedy zjawił się w „Hiltonie”, dowiedział się, że nie ma pracownika hotelu o nazwisku Stoltz. Nie mógł jej tego powiedzieć. Przepisy były pod tym względem jasne: żony nie należą do osób, które „muszą wiedzieć”. Zresztą po wydarzeniach poprzedniego dnia Aline z pewnością nawet wiedzieć nie chciała. Barringer dopełnił szklanki resztą martini i jednym uchem słuchał jej sprawozdania z lunchu zorganizowanego przez komitet do walki z głodem na świecie. Jego myśli krążyły wokół informacji, którą otrzymał późnym popołudniem: Victor Spalding był widziany w Tangerze. Gdzie, do diabła, jest Dunn?

Wczesnym popołudniem następnego dnia Stephena Barringera męczył okropny ból głowy. Chyba najgorszy od czasów Zatoki Świń. Znerwicowani paniczycy z Departamentu Stanu podnieśli gwałt na temat politycznego ryzyka zatrzymania cholernego libijskiego frachtowca, a pierwszy raport z przesłuchania Flipa i Flapa nic właściwie nie wnosił. Na dodatek Barringer zaczął się poważnie martwić, że Dunn nie ma najmniejszego zamiaru odezwać się i chce tylko gdzieś się dobrze schować. Właśnie szukał w szufladzie flakonu z tabletkami aspiryny, kiedy zapukała i weszła sekretarka.

- Priorytetowa wiadomość z Bangkoku - powiedziała i położyła na biurku zapieczętowaną zieloną kopertę, następnie zerknęła na trzymany w dłoni druczek, przeznaczony do zapisywania odebranych w czasie nieobecności Barringera wiadomości telefonicznych.

- Był telefon w sprawie biletów na piątkowy koncert - powiedziała.
- Dzwonił pan Brodney, kiedy był pan u dyrektora. Są do odebrania dziś o szóstej w kasie biletowej w Kennedy Center.

- Brodney?

- Tak, przepraszam, że nie powiedziałam wcześniej... Po prostu zapomniałam.

- Rozumiem. W porządku.

Teraz sobie przypomniał. Gdy sekretarka wyszła, przerzucił przełącznik ryglujący drzwi i podszedł do szafy pancерnej wbudowanej w boczną ścianę gabinetu. Ustawił szyfr na tarczy i po chwili mógł już otworzyć ciężkie stalowe drzwi.

- Stoltz i Brodney. Willi Stoltz i Peter Josef Brodney - recytował do siebie, pochylony nad ekranem komputerowego terminalu.

Na przestrzeni ostatnich paru tygodni wielokrotnie przeglądał te akta, a mimo to umknęły mu oba nazwiska. Jego terminal był podłączony bezpośrednio do głównego banku danych CIA i encyklopedii wydarzeń - potężnej maszyny chronionej przez tajne kody i skomplikowaną procedurę dostępu. Tylko znikomy procent pracowników Firmy miał prawo korzystania z tego urządzenia, którego zainstalowanie i eksploatacja kosztowały niezliczone miliony dolarów. A jeszcze mniej upoważnionych pracowników znało kody, otwierające drogę do najtajniejszych danych. Barringer wystukał trzy zestawy cyfr i odczekał kilka sekund, aż na ekranie pojawiła się akceptacja dostępu. Dopiero wtedy wystukał oba nazwiska.

Napęd twardego dysku zawarczał i na monitorze pojawiły się fotografie obu osobników. Barringer coś mruknął i z kolei wystukał żądanie podania mu obecnych funkcji i miejsca pobytu. W obu wypadkach otrzymał identyczną odpowiedź: Wyeliminowani... Excalibur.

Excalibur był kryptonimem Charlesa Jeffersona Dunna, a obaj mężczyźni byli pierwszymi agentami nieprzyjacielskimi, których miał za zadanie zabić. Charlie Dunn kontaktował się z Stephenem Barringerem, stosując jak zwykle swoją osobliwą metodę. Wyraźnie miał coś do zakomunikowania w kasie biletowej Kennedy Center, dokładnie za dziewięćdziesiąt siedem minut.

Ból głowy zaczął ustępować. Stephen Barringer uśmiechał się, ostrożnie prowadząc wóz w kierunku zapchanych ulic waszyngtońskiego śródmieścia. Nie miał pojęcia, że jest śledzony.

5

Kompleks Centrum im. Kennedy'ego dla Żywej Sztuki Scenicznej - jak brzmi pełna nazwa - powstał nad rzeką Potomak w odległości karabinowego strzału od zespołu mieszkalno-hotelowo-biurowego Watergate. Centrum zostało wyposażone we wszystko, czego wymagają dzisiejsze standardy. Ponadto potężny prostokątny gmach otrzymał nie tylko imię zamordowanego prezydenta i jest obłożony białym karraryjskim marmurem, ale korzysta z federalnych funduszy i posiada wspinały podziemny garaż.

Barringer zjechał więc do podziemia, zaparkował samochód i ruszył ku windom, aby podjechać do głównego holu, gdzie znajdują się wszystkie kasy biletowe. Nie oglądał się za siebie, gdyż nigdy nie pracował w terenie i procedury dotyczące ochrony własnego bezpieczeństwa znał tylko z podręczników. Był w zasadzie „oficerem sztabowym” i nadzorował ludzi, którzy kierowali zespołami agentów terenowych i odpowiadali za konkretne misje. Dlatego też trudno się dziwić, że nie zauważył popielatej limuzyny, która zatrzymała się trzydzieści metrów od jego wozu, ani mężczyzny w cielistym płaszczu nieprzemakalnym, który wysiadł z popielatego auta i poszedł za wicedyrektorem do spraw operacji.

Barringer lubił lustrzany wystrój holu na parterze, chociaż wielu architektonicznych krytyków zarzucało temu miejscu zbyt wielki przepych jak na ludzkie potrzeby. Chyba najbardziej podobały mu się potężne kryształowe świeczniki, które w liczbie osiemnastu połyskiwały nad głowami odwiedzających. Tego dnia jednak Barringer nie zadarł głowy, by cieszyć wzrok ich widokiem. Poszedł szybko do kasowego okienka, chcąc odebrać swoje bilety.

- Sto dwadzieścia dolarów - powiedziała miłym głosem czarująca kasjerka.

Tylko Charlie Dunn miał podobne poczucie humoru: kazał płacić sto dwadzieścia dolarów za nawiązanie kontaktu. I to nawet nie sobie płacić. Stephen Barringer uścił żądaną kwotę, podziękował kasjerce i odszedł na bok, by otworzyć kopertę i obejrzeć bilety.

Zazgrzytał zębami. Kupił parterowe miejsca na koncert pięciu sławnych sitarowców z Bombaju! Można było spodziewać się tego po Charlie'em, który należał do nielicznej garstki ludzi wiedzących, że Stephen organicznie nie znosi hinduskiej muzyki. Z udawaną obojętnością obrzucił spojrzaniem wyłożony marmurem hol. Nie dostrzegł nigdzie Dunna.

Raz jeszcze zajrzał do koperty. Niczego w niej nie znalazł, a kiedy koniuszkami palców przeciągnął po kopercie, nie wyczuł nawet kropki mikrofilmu. Może Dunn nie przesyła żadnej wiadomości? Może zamierza skontaktować się z nim podczas sitarowego koncertu? Niczego nie można było być pewnym, kiedy chodziło o Charlie'ego. Nigdy nie postępował tak samo dwa razy. I nikt nigdy nie wiedział, gdzie się znajduje. Może jest tu właśnie w tej chwili i kpiąco mu się przygląda w jakimś ekscentrycznym przebraniu?

Barringer się mylił. Człowiek obdarzony kryptonimem Excalibur nie przyglądał się Barringerowi, ale ukryty za słupem w podziemnym garażu obserwował łysiejącego kierowcę popielatej limuzyny. Dunn widział przyjazd samochodu, widział też mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, który poszedł na górę za Barringerem. Dunn planował akcję. Zaraz nadejdzie na nią czas. Lada chwila może pojawić się Barringer i śledzący go człowiek.

Kierowca limuzyny rozejrzał się po garażu, nie zauważył niczego niepokojącego i poprawił kaburę pod lewą pachą. Dunn, skulony za Volvo, w odległości zaledwie ośmiu metrów, podciągnął prawą nogawkę i wyjął stalowy szpikulec przylepiony plastrami do łydki. Ostry koniec szpikulca, służącego do łupania lodu, zabezpieczony był korkiem. Dunn zdjął korek i ruszył w stronę szarej limuzyny.

Okolo trzech minut później z windy wyszedł Barringer. Był w połowie drogi do zaparkowanego samochodu, kiedy pojawił się mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu. Barringer wszedł do wozu, włożył kluczyk do stacyjki, ale cofnął dłoń, chcąc raz jeszcze obejrzeć bilety. Sięgał do kieszeni marynarki, lecz nagle zastygł słysząc znajomy głos:

- Ruszaj, Steve!

Spojrzał w lusterko, ale niczego i nikogo nie dostrzegł.

- Ruszaj wreszcie, Stephen. Chyba poznajesz głos twojego Charlie'ego? Jeśli zrobisz coś głupiego, mogę cię rozłupać.

Barringer zaczął obracać głowę...

- Patrz prosto przed siebie, głupku! Jesteś pod obserwacją. To te dwa typy w popielatym Dodge'u. Zapuść ten cholerny silnik i odjeżdżaj.

Barringer spełnił szybko polecenie i przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów. Gardło mu wyszło i czuł ucisk w dołku. Miał nadzieję, że wszystkie lęki pozostawił w białej sali wraz z furgonetką i dwoma związanymi mordercami, ale oto powrócili. Co gorsza, Dunn być może podejrzewa, że Dodge i jego załoga to świadomie zastawiono pułapka.

- Jedź w kierunku skrzyżowania Piętnastej i M - polecił Dunn.

Zaledwie kilka kroków od redakcji „Washington Post”, przemknęło przez głowę Bamngerowi.

- Masz rację, chcę kupić gazetę - powiedział Dunn, jakby czytał w jego myślach.

Z pewnością kłamał, ale Barringera mało to obchodziło. Najważniejsze, że nawiązał kontakt z Dunnem. Jechali na zachód, popielaty Dodge trzymał się trzy wozy za nimi.

- Przyniosłem trochę gotówki, Charlie. Dwa tysiące w dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Chwilowo nie mogłem uszczknąć więcej bez wzbudzania podejrzeń...

- Podejrzeń McGhee.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

- On chciał z tobą rozmawiać, Charlie. Ale ja...

- McGhee chce przede wszystkim wiedzieć, o czym rozmawiasz w samochodzie. Naszpikował go jak należy.

Barringer był wstrząśnięty. Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na czerwone. Nacisnął na pedał hamulca.

- Masz przepiękny mikronadajnik pod deską rozdzielczą. Ale nic się nie martw. Odłączyłem, co potrzeba. Nie uszkodziłem cudeńka. Niszczenie sprzętu federalnego jest przestępstwem - zakpił Dunn.

- A ci w Dodge'u? - spytał Barringer.

- Może ci powie twój koleżka McGhee. Chociaż wątpię. Najwyraźniej nie ma do ciebie zaufania. Ciekawe dlaczego.

Barringer pokręcił głową, nieco tym wszystkim oszołomiony. Chociaż właściwie przewidywał podobny rozwój wypadków. McGhee nie popuszczał swoim ofiarom. Poza tym dysponował wprost nieograniczonymi środkami. Trudno powiedzieć, jak daleko gotów się posunąć, by pochwycić Charlie'ego. Telefony biurowe i domowe Barringera z pewnością są również na podsłuchu. I być może agenci obstawili już dom w Chevy Chase, a może łążą też za Aline. Najpierw incydent w garażu, a teraz to spotkanie. Osłony, które przez tyle lat wznosił wokół żony, przestały być cokolwiek warte. A Bóg świadkiem, robił wszystko, by ją chronić.

- To chyba jakieś nieporozumienie - powiedział w końcu.

- Nie ma żadnego nieporozumienia. Dla mnie sprawa jest jasna. McGhee chce mnie zgarnąć. Nie podoba mi się to. Bardzo nie podoba.

- Powiem mu o tym - obiecał Barringer. - A co do tych dwóch, których dostarczyłeś mi w furgonetce, to wiele nie wiedzą. Zawodowcy, którzy działają na własny rachunek. Przyjmują zlecenia od unii korsykańskiej w Montrealu. Ktoś im dał twoją fotografię, pięć tysięcy dolarów i adres w Vermont. Po wykonaniu zadania mieli dostać drugie pięć tysięcy. Nawet nie znają twojego nazwiska.

Zapaliło się zielone światło, sznur samochodów ruszył.

- Policja kanadyjska sprawdza teraz Korsykanów - ciągnął Barringer.

- Powiedz mi lepiej co z Dodge'em?

Barringer przez kilka sekund poszukiwał we wstecznym lusterku popielatego samochodu.

- Ciągle jedzie za nami.

- Długo nie będzie. Kiedy czekałem na ciebie, przedziurawiłem im tylną oponę. To powinno być odpowiednim sygnałem dla McGhee.

- Świetnie zrobiłeś - odparł z satysfakcją Barringer.

- Na pewno są inni. Obserwację samochodową robi się parami.

Czy naprawdę tak mało wiesz o pracy w terenie?

- Nie przyjechałem, żebyś mnie krytykował. Chcę ci pomóc.

- Przywoziłeś broń?

Barringer zakaszłał zakłopotany, chcąc zyskać na czasie, by odpowiednio sformułować odpowiedź.

- Rozumiem. Tak daleko twoja pomoc nie sięga. Nie będzie pistoletu, póki nie powiem, że gram według twoich reguł, tak? Wiesz co? Chyba niezbyt cię lubię.

- Nigdy nie lubiłeś - prychnął Barringer. Dunn był błyskotliwy, ale jednocześnie zawsze okazywał się trudny do nadzorowania. Nigdy nie było łatwo z nim pertraktować.

- I słusznie - mruknął Dunn.

Barringer z trudem opanowywał złość. Ostro szarpnął kierownicą - ledwo uniknął zderzenia z potężnym Cadillakiem na dyplomatycznych numerach. Cadillac bez uprzedzenia zmienił nagle pas. Barringer spojrział w lusterko i zobaczył, że Dodge zjeżdża do krawężnika.

- No, pozbyliśmy się popielatego wozu - obwieścił i natychmiast zmienił temat: - Spalding bierze czterysta tysięcy od kontraktu. Przekonał potencjalnych klientów, że jest najlepszy.

Dunn nie zareagował.

- Wszystko to mamy w raporcie - dokończył Barringer.
Do siedziby „Washington Post” pozostały cztery skrzyżowania.
- Wiesz, co możesz zrobić ze swoim raportem? - usłyszał w odpowiedzi.

- Sześć zrealizowanych kontraktów w ciągu czternastu miesięcy - ciągnął Barringer. - W Europie, Ameryce Południowej, Afryce, na Bliskim Wschodzie... Staje się sławny. Dwa kontrakty dla Libii, jeden dla francuskiego syndykatu bankowego, jeden dla generała Sorriano oraz...

- Możesz sobie dać spokój, Stephen. Spalding nic dla mnie nie znaczy. To ty nadałeś mu kryptonim Topór. Ty wmówiłeś mu, że jest wspaniały. Dla mnie był i jest gówniarzem.

Jeszcze trzy skrzyżowania.

- Ty wyszkoliłeś Kena Sperry'ego, Charlie. Vic zabił go strzałem w plecy i wyrzucił z restauracji na szczycie wieży telewizyjnej w Berlinie. Z twarzy nie pozostało ani śladu. Nie mogliśmy go nawet pokazać przed pogrzebem jego własnej żonie.

- Widzę, że zaczynasz robić w portki, Stephen. Przycisnęło cię.

- To prawda. I ciebie też to powinno poruszyć. On przecież poluje na ciebie. Wiesz dobrze, że nie spocznie, póki cię nie dopadnie.

Jeszcze dwie przecznice.

Dunn przyznawał w duchu, że ten drań Barringer ma rację. Sytuację można było porównać do dnia po japońskiej napaści na Pearl Harbor. Japończykom nie udało się unicestwić wroga podczas pierwszej batalii. Utracili też na przyszłość element zaskoczenia. Spalding musi wiedzieć, że czeka go poważna walka. Wie również, że Dunn jest sprawny i groźny jak nigdyś. Załamanie minęło, a to, co zrobił z Kanadyjczykami, stanowi przestrożę, której nie można ignorować. Charlie Dunn jest teraz czujny jak nigdy i gotów do walki.

- Poradzę sobie z nim - mruknął. - Możesz być tego pewien, Stephen.

- Tak sędzę. Jego też ty wyszkoliłeś. I to wcale nieźle. Możesz być dumny z ucznia - Barringer nie przestawał drażnić Dunna.

- Chcesz mnie uczynić odpowiedzialnym za Spaldinga? Nigdzie cię to nie zaprowadzi. Wy go wynajęliście i eksploatowaliście przez sześć lat, nim go poznałem. To potworek z waszej próbówki, Stephen.

Pozostała jedna przecznica.

- No dobrze. Pomówmy o najważniejszym - zgodził się Barringer. - Żadnego odwoływania się do wyrzutów sumienia, patriotyzmu,

osobistej dumy. Fakt jest faktem, że albo ty go załatwisz pierwszy, albo on ciebie. Nie planowaliśmy tego w ten sposób, ale tak wyszło. Chyba mówię dość otwarcie?

- A skąd ja mogę wiedzieć, co zaplanowaliście albo dlaczego?

- Nasze interesy są zbieżne, Charlie. Mamy wspólnego wroga. Wcześniej czy później, sami dopadlibyśmy go. Będzie to jednak wcześniej, jeśli połączymy nasze siły.

- Dla mnie może być później. Co ci się tak śpieszy?

Barringer się zawahał. Widział już budynek „Washington Post”.

- Mamy podstawy sądzić, że... - zaczął ostrożnie - następną jego ofiarą... może być ktoś... o wielkim znaczeniu. Bardzo wielkim...

- Ale nie możesz mi powiedzieć, kto taki? Wspaniale, ja też nie mam do was zaufania. Włóż te pieniądze pod siedzenie i szybko postaraj się o więcej. Przygotuj na pojutrze piętnaście tysięcy. I żadnej dyskusji - dokończył Dunn.

Barringer niemal fizycznie odczuwał wrogie fluidy emanujące z siedzenia z tyłu. Wyjął z kieszeni kopertę i wykonał polecenie Dunna. Dunn prawie natychmiast sięgnął po nią i otworzył.

- A co to jest, do cholery? - spytał ostro.

- Mikrofilm raportu. Sądziłem, że sto osiemdziesiąt osiem stron tekstu będzie dla ciebie zbyt ciężkie do noszenia. Jesteśmy pod redakcją „Postu”, Charlie. - Barringer zaczął hamować.

- Zapomnij o redakcji. Widzisz garaż po tej stronie ulicy? Paręnaście metrów przed „Madisonem”? Zjedź do niego.

Przy Piętnastej Ulicy, prawie na wprost budynku redakcji gazety, wznosił się „Madison”, jeden z najelegantszych hoteli Waszyngtonu. Barringer dobrze znał zarówno hotel, jak i garaż. Zjechał w podziemie, wyłączył silnik i spojrzął dokoła, czy ktoś inny nie pojawia się za nim.

- Nikogo - powiedział.

- Nie bądź taki pewny. Cała ich gromada może warować na górze. Co ja mam, do cholery, zrobić z tym mikrofilmem?

- Zapoznać się dobrze z jego treścią - odparł Barringer, udając, że czegoś szuka w skrytce na rękawiczki. - Znajdź sobie czytnik w ten sam sposób, w jaki z pewnością znajdziesz broń i wszystko inne, co ci będzie potrzebne. Jesteś profesjonalistą, Charlie. Tajne operacje są twoją specjalnością. Dobrze wiesz, jak improwizować, jak zdobyć broń, materiały wybuchowe, trucizny i wszystko inne. I dlatego jeszcze żyjesz. Udawało ci się to w miejscach znacznie niebezpieczniejszych niż nasza kochana stolica, prawda?

Dunn schował kopertę do kieszeni, nim odpowiedział: - Skąd taka pewność, że mnie przekonałeś do całego przedsięwzięcia?

- Bo jesteś między młotem a kowadłem, drogi Charlie. Co innego ci pozostało?

- Mogę iść na drugą stronę ulicy i powiedzieć dziennikarzom, że pewien wyższej rangi funkcjonariusz CIA chce zwerbować obywatela Stanów Zjednoczonych, żeby zabił innego obywatela. I wtedy wszystkie gazety, wszystkie agencje prasowe i ci przystojni reporterzy telewizyjni rozerwą cię na strzępy i pożrą jeszcze przed najbliższą niedzielą. Staniesz się sławny i bezrobotny.

- Nie sądzę, żebyś to zrobił.

Dunn cicho się roześmiał.

- Jeśli miałbym wybór między przeżyciem a twoją karierą, to zrobiłbym to bez chwili wahania. I może mam tylko taki wybór. Może więc jeszcze ujrzysz swoje zdjęcie na pierwszych stronach gazet od Waszyngtonu do Tokio i będziesz mógł wytapetować sobie cały salon wezwaniami na przesłuchania do różnych komisji kongresowych. Połowa mieszkańców tego kraju i trzy czwarte prasy i tak już jest zdania, że CIA to banda maniakałnych morderców. Będziesz znany jako Morderca Numer Jeden. Będą cię wyklinali pastorzy i rabini od Atlantyku do Pacyfiku, a młodzież uniwersytecka ustawi pikiety wokół twojego domu.

- To jest wcale dowcipne.

- Nie zamierzałem być dowcipny. Pomyśl o tym, co ci grozi, Barringer. Jeśli zaczniesz mnie zanedbnie przypierać do muru, to mogę usunąć cię z boiska. Mogę zniszczyć twoją karierę, wpływy, pozycję w środowisku. Zajmie mi to dokładnie dziewięć minut. Nie legniesz samotnie, jeśli to może być pocieszeniem. Powiem, że McGhee był z tobą w spółce.

- Nikt ci nie uwierzy!

- Może chcesz się założyć? Teraz uważnie słuchaj: za chwilę podam ci zza fotela kartkę. Będzie na niej dokładne położenie budki telefonicznej, do której zadzwonię do ciebie pojutrze o szóstej dwadzieścia po południu. Mówię to szeptem, ponieważ ten bydlak McGhee mógł sprytnie założyć w twoim samochodzie drugi nadajniczek. Przeczytaj, zapamiętaj dobrze adres i spal w męskiej ubikacji.

- Jakiej znowu ubikacji?

- W „Madisonie” na parterze przy holu. Zaraz potem wjedź na ósme piętro i idź do pokoju 803. Za pięć minut spotkamy się na korytarzu przed drzwiami.

- Coś ty znowu wymyślił? - spytał zaniepokojony Barringer.

- Mam dobrą radę dla pana McGhee. Możesz mu powiedzieć, że wiem, gdzie, mieszka. Niech wyciągnie z tego wnioski dla własnego zdrowia.

- Jezus Maria, Charlie!

- I nie zapomnij, że wiem, gdzie ty mieszkasz. Więc żadnych kawałów, Stephen. To nie jest żadna groźba, to obietnica.

Barringer z hałasem zatrzasnęła samochodową skrytkę, głośno przełknęła i wyjąkała:

- Tyś chyba zwariował, Charlie!

- Dlaczegoż bym nie miał zwariować? Żyjemy przecież w zwariowanych czasach. Między innymi dzięki takim jak ty. Wsiadaj!

Barringer wziął z ręki Charlie'ego karteczkę, schował ją do kieszeni i wysiadł. Pochylił rampą wyszedł na Piętnastą Ulicę i skręcił w prawo do hotelu. Z trudem powstrzymywał się od zerkania za siebie. Jeden z portierów w efektownej liberii otworzył przed nim wielkie skrzydło drzwi wejściowych.

Szybkim krokiem przemierzył hol, wszedł do męskiej toalety i zamknął się w kabinie. Dopiero wtedy wyjął z kieszeni otrzymaną od Charlie'ego kartkę.

To wszystko razem było idiotyczne. Zastępca dyrektora CIA czyta kartkę od mordercy - powiedzmy, że mordercy na emeryturze - za zaryglowanymi drzwiami ubikacyjnej kabiny! Scenariusz filmowy klasy C. Barringer wrzucił ramionami, powtórzył w myślach podany przez Dunna adres budki telefonicznej i podpalił kartkę zapalniczką. Gdy spaliła się w trzech czwartych, wrzucił ją do klozetu i spuścił wodę.

Wrócił następnie do holu, podszedł do rzędu kabin telefonicznych i wykręcił numer 936-1212. Kobięcy głos był melodyjny, ale informacje przygnębiające: nazajutrz prawie przez cały dzień będzie padało w stolicy i na jej obrzeżach. Zanim przydługi komunikat pogodowy skończył się, Barringer myślał już o wielu innych sprawach, ale nie odkładał słuchawki, gdyż chciał doczekać czasu swego rendez-vous na ósmym piętrze.

A prawdopodobnie był teraz pod obserwacją.

Wszystko to wydawało się bardzo dziwne, nieco podniecające i okropne zarazem. Z tego, co wiedział lub raczej mógł przypuszczać, nie był inwigilowany od czasu kursu przygotowawczego po studiach, przed trzydziestu laty. Spojrzał na zegarek. Czas ruszać! Wsiadł do windy i pojechał na ósme piętro.

Dunna nigdzie nie było. Barringer nerwowo przespacerował się tam i z powrotem korytarzem, kilkakrotnie mijając drzwi numer 803. Znowu spojrzął na zegarek. Odbył jeszcze jedną rundę, potem parę następnych. Po dziewięciu minutach od czasu umówionego spotkania, dotarło do niego, że Dunn najprawdopodobniej się nie

pojawi i nigdy nie miał tego zamiaru. Po prostu wykorzystał Barringera jako przynętę dla ekipy śledzącej, by łatwiej mu było samemu zniknąć.

Barringer zjechał więc na dół i poszedł do garażu po swój samochód. Dunna oczywiście nie zastał. Uśmiechnął się do siebie, w głębi duszy zadowolony, że ludziom McGhee polowanie się nie udało.

W połowie drogi do domu zaczął się nagle niepokoić. Spojrzał we wsteczne lusterko.

A jeśli śledzący nie są ludźmi z kontrwywiadu CIA?

Jeśli to ludzie Spaldinga?

Może są tam w rządzie podążających za jego limuzyną samochodów? Co powinien teraz zrobić? A oni, kimkolwiek są, co zamierzają zrobić? I kiedy?

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy tak właśnie wyglądało przez lata życie Dunna? Jeśli tak, to Barringerowi bardzo się nie podobało.

6

Tancerka wijąca się w tańcu brzucha miała wydatne piersi i jeszcze masywniejsze biodra, co Alanowi Whaleyowi bynajmniej nie imponowało. Podczas czterech lat pobytu w Maroku naoglądał się tańców w wykonaniu wielu utalentowanych rodzimych tancerek i tancerzy. Choćby *ahouach* kobiet plemion z Wysokiego Atlasu czy rytualny *tissint* kobiet i mężczyzn w błękitnych szatach. Zachwycał się tańcem z bronią Ghiatów i w Larache baletem symbolizującym zbiory pól. Bardzo ekscytująca była męska *haha* przy akompaniamencie przytupywania i klaskania... Wszystko to przyszło mu teraz na myśl.

Tanger. To portowe miasto miało jeszcze co nieco do zaoferowania, mimo upadającej reputacji stolicy grzechu. Właściciele nocnych lokali typu „Palais des Amoureux” byli przekonani, że taneczne kontorsje mocno tłustawych niewiast są właśnie tym, czego pragną turyści.

Falujące kobiece ciało wydawało się jednak podniecać zamożnych Niemców, którym kierownictwo lokalu było też gotowe zapewnić bardziej intymną rozrywkę w dźwiękoszczelnych indywidualnych pomieszczeniach na piętrze. Przed pięćdziesięcioma minutami Whaley widział, jak po schodach na górę poszedł Victor Spalding w towarzystwie przystojnej młodej pary. Poprzednio kelner przyprowadził oboje do stolika Spaldinga. Przez chwilę Whaley zastanawiał się, co też ci troje mogą robić na górze. Porzucił jednak rozmyślenia na temat seksualnej geometrii i zajął się ważniejszą sprawą: kiedy Spalding powróci do hotelu „El Minzah” przy Rue de la Liberté?

Była już pierwsza w nocy. Whaley czuł się zmęczony. Był jednym z agentów, którzy od trzech dni dreptali po piętach Spaldingowi. CIA nie miała w Tangerze wielu ludzi. Niewiele się tu działo. Tylko przemyt broni i okazjonalne spotkania wędrownych grupek terrorystów. Zapowiedź przyjazdu człowieka, określanego mianem arcyprzebiegłego i wyjątkowo groźnego, obiecywała chwilową ucieczkę od rutynowych obowiązków.

Jednakże pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny nadzoru nad przybysem upłynęły bez emocjonujących wydarzeń. Spalding spędził wiele czasu w hotelu, pływając i opalając się, kolacje jadał w najlepszych restauracjach, takich jak „Hamadi” przy Rue de la Kasbah i „Chez Gagarine” przy Rue Victor Hugo. Odwiedził również dwa luksusowe burdele. Kupił sobie skórzany pas na straganie na placu Grand Socco i jedwabny krawat w butik przy bazarze Mohammeda V. Raz poszedł do biura Marokańskich Królewskich Linii Lotniczych i zarezerwował jedno miejsce na sobotni lot do Rzymu. Poza tym dwukrotnie dzwonił lokalnie z budki telefonicznej w pobliżu Hiszpańskiego Centrum Kulturalnego przy ulicy Pasteura. W sumie poruszał się po mieście jak każdy inny przeciętny turysta, nieświadomy jakiegokolwiek dozoru, bądź też nań obojętny.

I teraz schodził powoli ze schodów z przedziwnym zagadkowym uśmiechem na ustach. Uśmiech ten był częścią jego osobowości, podobnie jak blond włosy, wspaniałe białe zęby i muskularna sylwetka sporo powyżej metra osiemdziesięciu. Whaley widział, jak gestem prosi kelnera o rachunek. Agent CIA wypił ostatni łyk wody mineralnej Sidi Harazem, położył na barowej ladzie pięćdziesięciodirhamowy banknot i szybko opuścił lokal, kierując się do pozostawionego za skrzyżowaniem samochodu. Chociaż był zmęczony, zajrzał pod maskę, nim jeszcze otworzył drzwiczki. Żadnej wybuchowej pułapki przy starterze. Usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki.

Czekał w ciemnościach. Miał ochotę zapalić, lecz żar papierosa zdradziłby jego obecność. Nic nie szkodzi, długo nie będzie czekał. Za siedem, może osiem minut Spalding znajdzie się z powrotem w hotelu „El Minzah” i pójdzie spać. Curtis, który czeka w hotelu, przejmie nadzór i Adam Whaley będzie mógł spokojnie zapalić, pojechać do domu, wziąć prysznic i też iść spać. Miał za sobą bardzo długi dzień.

Spalding wyszedł z lokalu i skierował się prosto do najbliższej z trzech taksówek, czekających przy chodniku. Taksówka ruszyła w kierunku „El Minzah” i Whaley podążył za nią w odległości około stu metrów. Siedzący na tylnym siedzeniu Spalding wyjął z kieszeni przedmiot podobny do skórzanej papierošnicy. W chwili, gdy kierowca taksówki skręcał w przecznicę w lewo, Spalding nacisnął czerwony guzik znajdujący się pod klapą „papierošnicy”. Whaley jeszcze widział początek skrętu taksówki. Potem już niczego nie zobaczył. Pod zbiornikiem paliwa Peugeota wybuchła bomba, zabijając na miejscu Adama Whaleya i zamieniając jego pojazd w ognistą kulę. Płonące szczątki trysnęły łukiem w niebo, a opadając

zapaliły trzy zaparkowane samochody. W okolicznych domach ludzie zostali wyrwani ze snu. Rozległy się krzyki. Straż pożarna przyjechała, jak na Tanger, bardzo szybko, ale Whaleyowi nic już nie mogło pomóc.

W parę minut później Spalding zapłacił przed hotelem taksówkarzowi i wszedł do wspaniale umeblowanego holu. Zamiast do wind skierował kroki w korytarz, do kuchni i przez kuchnię w uliczkę za hotelem.

O pierwszej dwadzieścia pięć poderżnął gardło agentowi CIA obserwującemu hotel od zaplecza.

O pierwszej czterdzieści uścił rachunek i opuścił hotel „El Minzah”.

W trzy i pół godziny potem zszedł z pokładu przemytniczej motorówki i stanął na molo hiszpańskiego portu rybackiego Tarifa.

Hertz na pewno nie.

Avis także nie. Ani żadna inna duża firma wypożyczająca samochody.

Dunn szukał małej agencji, która nie byłaby włączona w komputerową sieć wielkich firm. Potrzebował lokalnego przedsiębiorstwa, do którego ktoś, kto poszukiwał Dunna, nie mógłby łatwo trafić. McGhee był zdolny do wszystkiego. Mógł na przykład wysłać sfabrykowany list gończy, oskarżając Dunna o umyślne podpalenie albo napad z bronią w rękę. Zaczęłyby go szukać cała policja waszyngtońska. I dlatego właśnie Dunn pojechał do Baltimore.

O ósmej pięć rano zjawił się w biurze wynajmu samochodów, cztery przecznice od dworca kolejowego. Ludzie McGhee monitorują też bez wątpienia komputery systemów VISA, MasterCard i American Express, pomyślał. Wynajął więc na dwa dni beżową Hondę i powiedział urzędnikowi, że karty kredytowe zostawił w domu w Vermont, wobec czego pozostawia tysiąc dolarowy depozyt. Wyjaśnienie zostało przyjęte, propozycja zaakceptowana.

O dziesiątej dwadzieścia wjechał na długoterminowy parking przed terminalem lotniska Dullesa i postawił wóz w miejscu, którego nie mogła widzieć obsługa przy bramie. Wysiadł z Hondy, odkręcił tablice rejestracyjne ze stojącego obok zielonego Chevroleta i schował je pod siedzeniem swego wozu. Wsiadł do Hondy i wyjechał z parkingu. Płacąc w bramie kręcił z niezadowoleniem głową. Pracownik w firmowym kombinezonie spytał:

- Zmienił pan zamiar?

- Kobiety - odparł enigmatycznie Dunn.

Pracownik cmoknął ze współczuciem. Dunn pojechał na południe do Bailey's Crossroads, miasteczka o niespełna dziewięciu tysiącach mieszkańców, już w stanie Wirginia, o paręnaście kilometrów od Waszyngtonu. Wielu mieszkańców jeździło stąd codziennie do pracy w którymś z federalnych urzędów stolicy, ale w tej jednej z licznych

podmiejskich „sypialni” Dystryktu Columbia mieściło się także kilka rządowych agencji i biur. Jednym z nich był stanowy oddział Biura Ruchu Drogowego. Dunn wszedł do niego o dziesiątej czterdzieści pięć i skierował kroki do okienka z szyldem PRAWA JAZDY. Uśmiechnął się miło do tęgiej urzędniczki.

- Słucham pana - odezwała się.

- Właśnie przeprowadziłem się do Wirginii. Chciałbym wymienić prawo jazdy na miejscowe.

Cała sprawa zajęła mu dwadzieścia osiem minut. Najpierw musiał wypełnić żółty kartonik z parunastoma rubrykami. Jako miejscowy adres wpisał 1212 Courthouse Road w Arlington. Nie miał pojęcia, czy nadal to jest jedna z kryjówek CIA. Nic go to zresztą nie obchodziło. Następnie zrobiono mu zdjęcie i poddano pisemnemu egzaminowi. Musiał odpowiedzieć na kilkanaście prostych pytań z zasad ruchu drogowego i prowadzenia pojazdu. Urzędniczka szybko sprawdziła odpowiedzi, zerknęła na wypełniony żółty kartonik i powiedziała:

- Placi pan dziewięć dolarów, panie McGhee.

Nowo kreowany Martin McGhee zapłacił, odebrał prawo jazdy i podziękował pulchnej urzędniczce, po czym wrócił do wynajętego samochodu. Nucił pod nosem jadąc szosą 29-211, która przecinała faliste pagórki okręgu Prince William. Tuż przed dwunastą ujrzał neon, którego oczekiwał i zjechał na parking przed parterowym szarym budynkiem firmy Glasgow i Synowie.

Broń - długa i krótka - setki pistoletów i karabinów. Rzędy za rzędami dubeltówek, sztucerów, śrutówek, dziesiątki rozmaitych rewolwerów i pistoletów od lekkich dwudziestekdwójek do ciężkich *Magnum* kalibru 0.44 cala. Dunn obejrzał dokładnie parę dziewięćmilimetrowych pistoletów *Beretta M-1951*, używanych we włoskich i w izraelskich siłach zbrojnych, ośmiomilimetrowe japońskie *Nambu 94*, oraz brazylijskiego *Taurusa* kalibru 0.38 cala.

- Poszukuje pan konkretnego modelu, sir? - spytał J. F. Glasgow.

- Macie może francuskie *P-15*?

- To rzeczywiście coś bardzo specjalnego. Olbrzymia siła rażenia.

- Jestem kolekcjonerem - wyjaśnił Dunn. - Interesują mnie bardzo specjalne modele.

- Ma pan szczęście. Akurat to mamy.

P-15 miał dwie cechy, które bardzo odpowiadały Dunnowi. Strzelał dziewięćmilimetroowymi pociskami i mógł bardzo wiele ich wypluć praktycznie w ciągu sekundy. Magazynek mieścił bowiem

piętnaście naboju, dwakroć więcej niż standardowe pistolety.

- Mieszka pan w Wirginii? - zapytał Glasgow.

Dunn przedstawił nowiutkie prawo jazdy. Glasgow rzucił na nie okiem i spod lady wyciągnął formularz F 4473, którego wypełnienia przez potencjalnych nabywców wymagało Federalne Biuro Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Zawarte w formularzu pytania nie przedstawiały dla Dunna trudności, gdyż nie był ani narkomanem, ani uciekinierem przed wymiarem sprawiedliwości, nie znajdował się też w rejestrze skazanych i nie cierpiał na schorzenia psychiczne. Podpisał się, zapłacił 283 dolary i 50 centów, zabrał *P-15* z czterema zapasowymi magazynkami i wrócił do samochodu. Odwiedził jeszcze trzy sklepy z bronią i stracił dwie i pół godziny, nim znalazł i kupił drugi *P-15* z sześcioma magazynkami.

Ruszył z powrotem na północ. W połowie drogi do Waszyngtonu doszedł do wniosku, że ma czas, by zatrzymać się przy sklepie na Erskine Road w Fairfax. Nowoczesny Osprzęt był nieco enigmatyczną nazwą dla przybytku zajmującego się handlem kuloodpornymi ubiorami. Kupił tam kamizelkę nazywaną eufemistycznie podkoszulkiem i nieprzemakalny płaszcz. Jedno i drugie było uszyte z dwudziestu dwu warstw teflonu, dodatkowo podszyte cienutkimi łuskami lexguardu, zabezpieczającego ciało przed siniakami przy zbyt silnym uderzeniu pocisku. Kamizelka kosztowała 252 dolary, płaszcz 638. Z pieniędzy otrzymanych od Barringera zostało mu tylko 190 dolarów.

Czas zadzwonić do Terry'ego. Tuż po czwartej zaparkował Hondę w garażu przy Siedemnastej Ulicy, w czarnej dzielnicy Waszyngtonu. Wchodząc do budki telefonicznej postanowił zachować w rozmowie rutynową ostrożność. Zawsze istniała możliwość, że jakaś policyjna jednostka do walki z narkotykami umieściła aparat na podsłuchu, aby wiedzieć, o czym rozmawiają lokalni handlarze. Wykręcił numer. Po sześciu dzwonek usłyszał ostrożne: - Tak?

- Terry?

- Kto mówi?

- Bob Marco - odparł Dunn.

- Miło cię słyszeć. Jak tam siostra?

- Znowu w szpitalu.

Hasło i odzew. Terry zawsze przestrzegał reguł ostrożności.

- Myślałem, że już ma to za sobą.

- Ja też tak myślałem.

- Wysoka gorączka?

- Bardzo. - Dunn zasignalizował, że sytuacja jest napięta.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Możesz. - Umówili się na trzecia po południu następnego dnia u „Smitty'ego”. Było to jedno z bezpieczniejszych miejsc w Waszyngtonie. Zwłaszcza na tego typu spotkania. Hordy turystów odwiedzających sale wystawowe Instytutu Smithsona stanowiły doskonałą osłonę. Wychodząc z budki telefonicznej Dunn spojrzął na zegarek. Do spotkania z Stephenem Barringerem zostało mu dwadzieścia minut.

8

Barringer skrzywił się, gdy zobaczył budkę telefoniczną. Stała tuż przy wejściu do sexshopu, którego witryny były wyładowane pornograficzną literaturą i ultrapornograficznymi kasetami wideo pod tytułem „Szwedzkie nimfomanki w akcji”. Szylid na drzwiach obiecywał „gorące chwile w indywidualnych kabinach tylko za dwadzieścia pięć centów”, oparta zaś o telefoniczną budkę kobieta o tandetnie wymalowanej twarzy nie była warta ani centa więcej. Uśmiechnęła się załotnie do Barringera i oblizwała jaskrawoczerwone wargi w sposób mający, w jej mniemaniu, rozniecić w nim pożądanie.

Ale roznieciła tylko złość. Wybór tego miejsca przez Dunna był jeszcze jedną świadomą prowokacją. Barringer warknął na prostytutkę i, omijając ją, wszedł do budki.

Była szósta osiemnaście.

Dunn powinien zadzwonić za dwie minuty. prostytutka znów się uśmiechnęła, dociskając obfitą pierś do szyby na wysokości głowy Barringera, w którym wzbierała coraz większa wściekłość. Jakże będzie rozmawiał z Dunnem przy tej personie o kilkanaście centymetrów od jego ust? Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, gestem nakazał jej odejść. Wzruszyła ramionami, rzuciła obraźliwe „pedał” i odsunęła się na swoje stanowisko pod ścianą budynku.

Barringer spojrział w dół i w górę ulicy. Idąc tu z miejsca, gdzie pozostawił samochód o cztery przecznice niżej, parę razy zawracał i często stawał, żeby zerknąć na boki, czy nie jest śledzony. Nie zauważył nikogo podejrzanego. Mimo to czuł się bardzo nieswojo.

Prostytutka konferowała teraz z dobrze ubranym mężczyzną, trzymającym pod pachą teczkę. Mógł mieć około czterdziestki i wyglądał na adwokata lub urzędnika jakiejś poważnej firmy. A może to człowiek McGhee? I czy to tylko przypadek, że ta dziwka akurat tu stoi? Zadzwonił telefon. Barringer chwycił słuchawkę.

- Bez nazwisk - odezwał się głos.

- Jasne - odparł Barringer.
- Data urodzin twojej żony? - spytał Dunn.
- Dziewiętnasty marca.
- Zgadza się. A teraz słuchaj uważnie: skręć w lewo w ulicę E. Przejdź dwa skrzyżowania do garażu „Jo-Mar”. Tam weź wóz i wyjedź tylną rampą na ulicę F. Może uda ci się zgubić helikopter.
- Helikopter? Jaki helikopter?
- Helikopter, który cię pilnuje na zlecenie McGhee, głupku. Wisi teraz o trzy przecznice od ciebie.
Barringera aż zatkało, gdy to usłyszał.
- Wierz mi, nie miałem pojęcia... Słuchaj, ja...
- Ty słuchaj. Pojedziesz tym samochodem na długoterminowy parking lotniska National. Zostaw go tam i szukaj mnie w terminalu przy stanowisku Pan-Am. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem, ale skąd mam wziąć ten samochód?
Usłyszał w słuchawce śmiech.
- Myślałem, że już nigdy nie zapytasz. Sięgnij pod aparat.
Barringer spełnił polecenie i znalazł przyklejony plastrzem kwit parkingowy.
- Znalazłem. Jeszcze coś?
- Jedź ostrożnie - odparł Dunn i przerwał połączenie.
Po dwunastu minutach Barringer jechał brązowym Fordem przez most na Potomaku i zastanawiał się, jakie jeszcze sztuczki ma w zanadrzu Dunn. Na pewno całą plejadę. To była jego metoda. Nigdy nie robił tego, co zapowiadał. Nigdy nie pojawiał się tam, gdzie go oczekiwano. Wszystko, co mówił, miało podwójne znaczenie.
Oczywiście, nie spotkał się z Dunnem przy kontuarze Pan-Am. Ledwo zamknął drzwi samochodu na lotniskowym parkingu, ujrzał Dunna, kiedy wychynał zza półciężarówki. Miał na sobie zimowe umundurowanie sierżanta Armii USA. Barringer mógł tylko podziwiać prostotę rozwiązania problemu przebrania. Nikt tu nigdy nie zwracał uwagi na podoficerów. Pentagon i inne wojskowe instytucje znajdowały się niespełna osiem kilometrów od lotniska. I w tym promieniu krążyły przez cały czas tysiące sierżantów.
- W porządku, Charlie?
Odpowiedzią Dunna było włożenie rąk do kieszeni płaszcza i pokazanie zarysów obu pistoletów.
- Przyniosłem ci pieniądze - obwieścił Barringer.
- Świetnie.
Barringer wyciągnął spod płaszcza trzy wypchane koperty.
- Po pięć tysięcy w każdej - poinformował.

Dunn dokładnie się rozejrzył, nim podszedł i wziął koperty lewą ręką. Schował je do kieszeni munduru pod płaszczem. W prawej dłoni trzymał przez cały czas *P-15*.

- Więc masz, coś chciał.

Dunn przecząco pokręcił głową. - To była tylko wstępna zaliczka. Jesteś mi obecnie winien sto osiemdziesiąt pięć tysięcy, gdyż właściwa zaliczka wynosi dwieście. Drugie tyle po wykonaniu zadania.

- Żądasz czterystu tysięcy? - zapytał Barringer.

- Plus jeden dolar. Spalding bierze za kontrakt czterysta tysięcy, a ja jestem lepszy od niego. Masz pół minuty na podjęcie decyzji.

Z kolei Barringer pokręcił przecząco głową.

- Zwariowałeś! - powiedział.

- Uważaj na dobór czasowników! Za dwadzieścia sekund cena wzrośnie o pięćdziesiąt tysięcy - zawiadomił Dunn i spojrzął na stalową Omegę na prawym przegubie.

- Chyba żartujesz!

- Jeszcze dziesięć sekund.

Barringer nie miał czasu i nie miał wyboru.

- Umowa stoi! - warknął.

Dunn podał mu kartkę w linie, wyrwaną ze szkolnego zeszytu. Zawierała listę sporządzoną ładnym drukowanym pismem - przedmioty, których potrzebował Dunn: cztery paszporty amerykańskie i dwa kanadyjskie, pistolet maszynowy *MAC-11* z tłumikiem i dziesięć magazynków trzydziestosześcionabojowych. Dalej: para radiotelefonów *R23*, kuloodporna kamizelka zewnętrzna, snajperski karabin z celownikiem na podczerwień oraz sto nabojów. Ostatnią pozycją było dwa i pół kilograma plastiku oraz trzy detonatory czasowe *DX*.

- Nie chcesz zdalnie sterowanych detonatorów? - spytał cierpko Barringer. - Spalding właśnie jeden wczoraj wypróbował na naszym człowieku w Tangerze.

- A jak załatwił drugiego?

- Kto ci powiedział?

- Poderżnął mu gardło?

- Skąd wiedziałeś?

Dunn wyciągnął cygaro, odgryzł koniec i zapalił.

- Nikt mi nie powiedział, Stephen. Domyśliłem się, ponieważ znam Spaldinga. On chce być koniecznie ode mnie lepszy. Ja przyłapałem dwóch jego ludzi, więc on się zrewanżował eliminując dwóch moich. Właściwie twoich, Stephen, ale on tego nie rozumie.

- Mówisz, jakby to był jakiś mecz.

Dunn skinął głową, zaciągając się cygarem.

- Dla niego to mecz. On to widzi w kategoriach konkurencji. Jest chorobliwie ambitny. Kto wie, czy nie dlatego, że go matka porzuciła, kiedy miał dwa dni. A potem sam musiał brnąć przez życie. Nie wiem. Spytaj swoich psychiatrów, którzy robili jego portret psychologiczny.

- Czytałem cały, od deski do deski - odparł Barringer i wzdygnął się, gdyż podmuch lodowatego wiatru przemknął przez parking. Zona miała rację nalegając, by włożył płaszcz.

- Skoro tak, to wiesz, że lubi przecinać gardła skalpelem. Od ucha do ucha. Popisuje się. Nosi zawsze skalpel w futerale na wieczne pióro.

Barringer otworzył usta i zamknął bez wypowiedzenia słowa.

- Nie musisz mi przypominać, Stephen. Sam wiem, że go tego nauczyłem.

- A teraz masz go oduczyć. Raz na zawsze. Chciałbym, żebyś się z kimś spotkał. Ten ktoś mógłby dużo pomóc. Myśleliśmy o następnej ofercie Spaldinga i doszliśmy do wniosku...

- Czy to ma być dowcip?

- Przepraszam. Nie myślałem o tobie, ale o jego następnym kontrakcie. Posadziliśmy do roboty batalion ludzi, przeprowadziliśmy komputerowe poszukiwania na całym świecie, czterech najwyższej klasy analityków przesiało cały materiał... Mamy teraz trzy nazwiska na liście potencjalnych ofiar...

- Na mojej liście jest tylko jedno nazwisko: Spalding. - Dunn strzepnął popiół z cygara.

- Posłuchaj, Charlie. Osoba, o której myślałem...

- Nie, dziękuję. W poniedziałek w południe przynieś mi tu sto osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Główny terminal, kontuar Eastern Airways. Będzie tam telefon do pana Lee Strouse'a. To właśnie jesteś ty.

Barringer ponownie zadygotał z zimna i skinął głową na znak akceptacji. Negocjując z Dunnem trzeba było mieć anielską cierpliwość. Następnym razem porozmawia z nim jednak o trzech nazwiskach na liście i o kobiecie.

- Jedziemy, Stephen - powiedział Dunn, wskazując końcem cygara stojącą nie opodal Hondę.

- A wóz, którym przyjechałem?

- Ukradłem go przed godziną. Gdyby cię gliny złapały w tym Fordzie, poszedłbyś do pudła. To by nie wyglądało dobrze w twoim życiorysie.

Barringer bez słowa poszedł za Dunnem do Hondy. W aktach CIA wyczytał, że Dunn ma metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, trzydzieści

dziewięć lat i że jest miłośnikiem jazzu, a także potrafi zarówno prawą, jak i lewą ręką skutecznie trafić nożem do odległego o piętnaście metrów celu. Szczegółowych informacji były jeszcze setki. O rodzinie, wykształceniu, najrozmaitszych umiejętnościach i przebiegu kariery w CIA. Ale czy mówiło to cokolwiek o Dunnie, istocie ludzkiej? Kiedy wsiadali do wozu, Barringer usiłował sobie przypomnieć, dlaczego zajmujący koło niego miejsce człowiek został likwidatorem. Kim właściwie jest Charles Jefferson Dunn?

- Gdzie mam ci dostarczyć cały sprzęt, Charlie? - spytał.

- Dam ci znać - odparł Dunn i milczał do chwili, gdy zobaczył sznur taksówek na postoju. - Do widzenia, Stephen - powiedział wtedy i zatrzymał Hondę.

- Charlie?

- Co takiego?

- Czy już masz... czy opracowałeś już jakiś plan działania?

- Wsiadaj!

- Naciskają na mnie z góry... - tłumaczył Barringer.

- No dobrze. Powiedz dyrektorowi, że mam dwa plany. Jeden dotyczy Spaldinga, drugi McGhee.

- McGhee?

- Nie mogę zabrać się do Spaldinga, póki McGhee nie zostanie zneutralizowany.

Barringerowi zrobiło się zimno na dźwięk słowa „zneutralizowany”. Mogło to oznaczać wszystko: od negatywnego wpisu w aktach personalnych do garoty z fortepianowej struny. Nim zdołał wydobyć z siebie słowo protestu, Dunn pochylił się nad nim i otworzył drzwiczki wozu.

- Jazda, Stephen, wsiadaj! - powiedział.

Barringer wysiadł i patrzył za odjeżdżającą Hondą, póki ta nie zniknęła w ożywionym ruchu pojazdów z portu lotniczego. Myślał o dziesiątkach ludzi, których Dunn w swoim czasie „zneutralizował”. Lodowaty wiatr hulał jeszcze bardziej niż przedtem, ale teraz Stephen Barringer nawet tego nie zauważył. Cały się spocił. Gdy po godzinie wrócił do domu, miał jeszcze mokrą koszulę.

9

Od razu po wejściu do przestronnego gabinetu McGhee wyczuł, że szykują się kłopoty. Wskazywał na to wyraz oczu generała Williama R. Hartleya. Hartley był pierwszym czarnym prymusem rocznika Akademii West Point, pierwszym czarnym szefem wywiadu wojskowego i pierwszym czarnym dyrektorem CIA. Chwalono go za profesjonalizm i opanowanie, okazał się też błyskotliwym przełożonym, którego starzy pracownicy z pełnym szacunkiem, choć mało pieszczotliwie, nazywali między sobą „Bryłą Lodu”. Wściekłość w jego spojrzeniu była czymś niezwykłym.

Dlaczego jest taki zły? - zadawał sobie pytanie McGhee. Idąc po niebieskim dywanie rozglądał się po gabinecie w poszukiwaniu klucza do zagadki. Dostrzegł tylko Barringera siedzącego na sofie. Z jego twarzy nie mógł niczego odczytać. Na biurku generała zauważył niewielkie kartonowe pudełko - dziesięć centymetrów wysokości i może piętnaście długości - a obok papier, w który pudełko było najprawdopodobniej wcześniej opakowane.

- Wnioskuje, że to należy do pana - powiedział Hartley, gdy McGhee usiadł na krześle przed biurkiem.

Zanim McGhee zdążył pochylić się nad pudełkiem i zbadać jego zawartość, generał zapytał: - Może chciałby pan wiedzieć, gdzie to znalazłem? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Pod moim łóżkiem, psiakrew! Niech pan się przyjrzy opakowaniu. Paczka była adresowana do pana.

Szef kontrwywiadu odczytał na nalepce swoje nazwisko starannie wypisane dużymi literami. Na brązowym papierze opakowania widniało także nazwisko nadawcy: Charles J. Dunn. Ze zdumienia McGhee otworzył szeroko usta.

- Niech pan zamknie buzię, McGhee. To jeszcze nie wszystko. Czy wie pan, kiedy to znalazłem?

McGhee zaprzeczył ruchem głowy.

- Wtedy, kiedy to cholerstwo zadzwoniło o czwartej rano. Budzik! Ale to mogła być bomba, czyż nie?

Słowa dyrektora padały jak smagnięcia biczem.

- Tak jest, sir - odparł McGhee chrapliwym szeptem.

- Barringer poinformował mnie, że Dunn, który, jak widzimy, potrafi przejść obok pańskich agentów pilnujących domu dyrektora CIA, jakby byli naiwnymi harcerzykami, jest sam niesłychanie niebezpiecznym i bezwzględny agentem, który wie wszystko, co można wiedzieć o bombach. Może i panu coś na ten temat napomknął?

- Tak, powiedział mi o tym.

- Może też przy okazji wspomniał, że zastępca dyrektora do spraw planowania i szef operacji zdecydowali, że Dunn jest najbardziej kwalifikowaną osobą, której powierza się ultraspecjalną i ultrapilną misję? Czy szef operacji nie prosił pana, by zostawił pan Dunna w spokoju?

- Przedstawił swój problem, sir, ale...

- A co pan powie o tym problemie? - Dyrektor CIA wskazał palcem kartonowe pudełko. - Dla mnie jest to prosty problem. Zwykły list z prośbą: niech pan się ode mnie odczepi, panie McGhee, albo rozwałę na strzępy pańskiego dyrektora i jego żonę.

- On by tego nie zrobił, sir.

- A skąd pan wie, psiakrew, że on by tego nie zrobił i jeszcze nie zrobi? Jest pan wróżką? Czy pan sobie wyobraża, jak przeraził moją żonę? Czy pan sobie zdaje sprawę, z kim pan zadziera?

Koniec miłych słówek i wzajemnych uprzejmości obowiązujących w gronie ścisłego kierownictwa. McGhee, doświadczony urzędnik, wiedział, że wszedł na drogę konfrontacji ze wściekłym szefem niebaczącym na reguły gry.

- Chyba wie, sir - odparł odważnie, postanawiając się bronić. - Chciałbym jednak powiedzieć dwie rzeczy, panie generale. Po pierwsze, mam poważne wątpliwości, czy opowiadka Dunna na temat zamachu na jego osobę jest prawdziwa. W celu usunięcia tych wątpliwości lub ich potwierdzenia chciałbym spotkać Dunna i poddać go przesłuchaniu z użyciem poligrafu.

- A podwójny agent? Wtyczka?

- Co do tego też nie mam pewności. I to jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym badania poligraficznego Dunna. Oczywiście, sprawdzamy też teorię penetracji...

- A ta druga sprawa, o której chciał pan wspomnieć?

- Droga służbowa, sir. Barringer i jego ludzie nie mogą mi rozkazywać, co mam robić. Mogą prosić, ale nie żądać.

- Ja natomiast mogę żądać.

- Pan bez wątpienia może, panie generale. Pan jest dyrektorem.

- Wobec tego żądam. - Czekoladowy palec celował w gardło McGhee. - Otrzyma pan to na piśmie, przez gońca, za dziesięć minut, z dwiema kopiami: niech pan zapomni o Dinnie i skoncentruje się na poszukiwaniu podwójnego agenta. Koniec, kropka. Wystarczy panu?

- Jeśli tylko jest jakiś podwójny agent, sir, to go złapię.

Hartley nacisnął guzik interkomu. Gdy po piętnastu sekundach weszła sekretarka z notesem do stenografii, podyktował jej odpowiedni tekst i polecił natychmiast doręczyć do biura McGhee.

- I wziąć od niego pokwitowanie na kopii, panno Seigenhaller! - dodał.

Gdy sekretarka wyszła, dyrektor ponownie zwrócił się do szefa kontrwywiadu.

- Jeśli zaś idzie o tak zwanych agentów ochrony pod moim domem...

- W ciągu godziny będą zastąpieni, sir - zapewnił McGhee przez zaciśnięte zęby. - I podwoimy ich liczbę...

- Wobec tego nie zatrzymuję pana - powiedział generał.

- Do widzenia, sir. Życzę miłego dnia.

Hartley tylko wzruszył ramionami i zagłębił się w dokument na biurku. Nie podniósł głowy, póki McGhee nie zamknął za sobą drzwi gabinetu.

- No i co? - spytał wówczas Barringera.

- Myślę, że świetnie sobie pan z nim poradził, generale.

Hartley pokręcił głową. - Nie o to mi chodzi. Mamy wtyczkę czy nie?

- Najprawdopodobniej mamy. Wcześniej czy później, to musiało przyjść. Wcześniej czy później ktoś się zawsze przemknie przez najmniejsze oczko sieci. I pokona wszystkie przeszkody. Szanuję oczywiście McGhee jako specjalistę w dziedzinie kontrwywiadu. Ma wielkie doświadczenie i odniósł liczne sukcesy.

- Do rzeczy! Do czego pan prowadzi?

- Chcę powiedzieć, że chociaż jest niezbyt miły w rozmowie, niemniej posiada wielkie umiejętności wywąchiwania wszystkiego, co należy wywąchać, i jest wytrzymały. Moim zdaniem McGhee dopadnie wtyczkę.

- Chyba że sam nią jest - odparł generał. - Może Dunn ma rację nie ufając mu.

- Charlie Dunn nie ufa nikomu, generale. Jeśli nawet kiedykolwiek ufał, to obecnie już nie.

Hartley studiował asygnatę na 185 tysięcy dolarów.

- A my mamy zaufać mu i dać takie pieniądze za ustną obietnicę?

- Jego ustne obietnice nigdy nie były słowami rzuconymi na wiatr. Dunn jest jednym z najsolidniejszych ludzi, jakich znam. I to po części tłumaczy, dlaczego tak trudno jest z nim dojść do porozumienia.

- Zabija, ale nie kradnie?

- Cała jego przeszłość o tym świadczy. Byłbym wdzięczny za podpisanie tej asygnaty, generale.

Hartley spoglądał na kartkę, zastanawiając się nad końcem własnej kariery, gdyby dokument dostał się w niepowołane ręce jakiegoś dziennikarza albo mało przyjaznego senatora. Wyrażenie zgody na wypłacenie podobnej sumy zakontraktowanemu zabójcy wywołałoby nie lada poruszenie w wielu kołach. Postanowił, że jeśli stanie się najgorsze, to zrobi to, co robili inni funkcjonariusze federalni i dostojnicy wielu rządów na świecie, i co zawsze będą robić, zapędzeni w kąt i przyparci do muru: przybierze godną postawę, powie o narodowym bezpieczeństwie i z wielką szczerością skłamię. Hartley podpisał asygnatę.

- Pan też może być tą wtyczką - powiedział po chwili do Barringera.

- Oczywiście - zgodził się bez chwili wahania szef operacji. Pożegnał się i umknął z asygnatą, aby ją przepuścić przez biurokratyczny magiel.

General William R. Hartley spojrział na dzienny kalendarz rozłożony na biurku. Za siedemdziesiąt pięć minut miał być w Kongresie, aby przed komisją nadzoru budżetowego bronić finansów CIA. Przewodniczącym komisji był gładki sukinsyn, który nienawidził Murzynów jako takich, a Hartleya szczególnie.

General z góry cieszył się na słowny pojedynek.

Tego dnia promenadą lewego brzegu Sekwany nie spacerowali przytuleni do siebie zakochani. Był na to zbyt szary i zbyt zimny. Minęła już czwarta po południu ponurego poniedziałku dwudziestego dziewiątego listopada. Spalding nie zauważył ani jednego turysty, gdy jego taksówka skręciła na Quai Voltaire, zmierzając w kierunku Hôtel des Invalides i grobowca Napoleona.

Sławna rzeka po prawej ręce była mu obojętna. Spoglądał prosto przed siebie. Paryż i Sekwana nie miały najmniejszego znaczenia dla tego najemnego mordercy. Romantyzm był mu równie obcy jak patriotyzm. Puste słowa. Quai Voltaire przeszło w Quai D'Orsay i po pół minucie wzrok Spaldinga spoczął na kopule, pod którą znajdowała się krypta.

Kopuła i krypta były częścią wspaniałego kompleksu budynków, który Francuzi nazywali Hôtel des Invalides. Żaden z nich nie był hotelem, chociaż pierwszy z wzniesionych w siedemnastym wieku gmachów służył jako wojskowe schronisko dla inwalidów wojennych. Obecnie kompleks obejmował pałac, dwa wspaniałe kościoły i presteronne muzeum wojskowe, w którym znaleźć można było, wśród tysięcy innych memorabiliów, zdobyte na wrogach sztandary, kusze i muszkiety, oraz jedną ze sławnych taksówek zarekwirowanych w celu podwiezienia posiłków na front nad Marną w 1914 roku, kiedy to groziło przebicie się Niemców na Paryż.

W krypcie kościoła Świętego Ludwika znajdują się groby słynnych wodzów i genialnych dowódców, ale największy z nich spoczywa w grobowcu Świętyni Pod Kopułą.

Spalding zapłacił taksówkarzowi i wszedł po schodach do okrągłej, dwunastometrowej średnicy krypty, sięgającej siedem metrów w głąb, gdzie znajduje się grobowiec Napoleona Bonaparte.

Wszystko dokoła przerastało zwykłe normy ludzkie. Chociaż cesarz był niskiego wzrostu i niepozornej postawy, honor Francji wymagał wielkiego hołdu jego chwale. Leży pochowany nie w jednej trumnie, lecz w sześciu, a ostatnia szósta jest zabezpieczona

sarkofagiem wykutym z jednego bloku czerwonego porfiru, o wadze sześćdziesięciu ton, cztery metry długiego, dwa szerokiego i pięć wysokiego. Kryptę zdobi dwanaście wykutych w kamieniu posągów.

Spalding ledwo cokolwiek dostrzegał, mając od pierwszej chwili wzrok utkwiony w krępej budowy Azjacie w tweedowym płaszczu. Spalding nie miał pojęcia, czy ów korpulentny mężczyzna jest Chińczykiem, Japończykiem, Koreańczykiem czy Mongołem. I prawdę powiedziawszy, nic go to nie obchodziło. Azjata był tylko posłańcem.

- Wspaniale, prawda? - spytał Azjata, obrzucając wzrokiem kryptę.

- Może dla tych, którzy interesują się umarlakami - odparł morderca. - O co chodzi?

Azjata podał mu złożony egzemplarz dziennika „Le Monde”.

- O przekazanie panu kalendarza jego tras przez najbliższe siedem tygodni. Materiał przyklejony plastrem do piątej strony gazety. I jest pytanie: czy może pan wykonać zadanie do połowy stycznia?

- No i dobrze, zadał pan pytanie.

- A więc?

- Nie lubię przynaglania. Zwłaszcza przy zadaniu tak poważnym.

- W zasadzie ma pan rację - odparł Azjata. - Ale pojawił się równie poważny kontrargument.

Umundurowana przewodniczka wprowadziła do krypty wycieczkę młodzieży szkolnej i rozpoczęła śpiewną recytację. Spalding w myślach przebiegał swój harmonogram i finansowe korzyści związane z owym poważnym kontrargumentem.

- Jak poważny jest ów kontrargument? - spytał.

- Dodatkowo sto tysięcy - usłyszał w odpowiedzi.

Jeszcze nikt nigdy nie zapłacił pół miliona dolarów za kontrakt. Muszą być jakieś specjalne powody podobnej ekstrawagancji. Odpowiedź znajduje się być może w kalendarzu tras obiektu włożonym do gazety.

- Sześć tygodni to mało, ale może się udać - odparł ostrożnie.

- Doskonale - skomentował Azjata.

- Muszę jednak najpierw załatwić tę sprawę w Szwecji - uzupełnił Spalding, a widząc ściągnięte w dezaprobach brwi rozmówcy dodał: - I nie ma żadnej dyskusji. Wszystko jest zaplanowane i musi być wykonane określonego dnia.

Mówił głosem twardym, niedopuszczającym sprzeciwu, a w oczach jego widać było obsesyjny upór. Azjata pomyślał, że musi o tym wspomnieć generałowi, kiedy będzie zdawał raport. Generał zacznie się oczywiście wściekać, kiedy usłyszy o Szwecji, ale może

gniew jego złagodzi informacja o pełnym determinacji uporze Spaldinga.

- Ale jeśli w Szwecji coś nie wyjdzie?

- Tak jak wam nie wyszło w Vermont? - zadrwił Spalding. - Nie kłopotcz się niczym, grubasku, w Szwecji wszystko wyjdzie.

Tłuścioch z trudem nad sobą zapanował. - Dunna wyeliminujemy z gry. Nie ma obawy.

- A gdzie on teraz jest?

- Nikt nie wie, ale go znajdziemy. Albo wkrótce znajdą go nam jego byli pracodawcy.

- Wkrótce, to znaczy kiedy? - zapytał Spalding.

- Bardzo szybko. Człowiek bez pieniędzy i bez sojuszników nie ukryje się długo przed dwiema największymi na świecie organizacjami wywiadowczymi. Można go już w tej chwili uważać za trupa.

Spalding przez chwilę się zastanawiał. - Mógłbym go załatwić... Dajcie tylko sygnał. W każdej chwili jestem gotów...

- Wiemy o tym, ale na pańskich barkach spoczywają ważniejsze zadania, proszę więc zapomnieć o Dunnie.

Spalding skinął głową i opuścił kryptę. Nieco później tego samego popołudnia siedział już w samolocie SAS, lecącym do Sztokholmu i z pełnym zadowolenia uśmiechem przyglądał się piersiom pochylonej nad nim stewardesy, która nalewała mu zgrabnie whisky. Był w doskonałym humorze, po raz któryś z rzędu wspominając, jak to przed trzema dniami upokorzył w Tangerze CIA i Dunna. Następny krok teoretycznie należał do Dunna. Szkoda tylko, że Dunn nie pożyje dostatecznie długo, by go zrobić.

Spalding nigdy nie lubił Charlie'ego Dunna. Był wściekły, że Firma przecenia jego talenty. Dunn nie stanowi poważnego zagrożenia dla Victora Spaldinga. Wyeliminowanie go jest tylko rutynowym zabiegiem, ot na wszelki wypadek.

Spaldingowi sprawi wielką przyjemność dokonanie tego zabiegu.

Z kolei przeniósł myśli na Sztokholm, gdzie miał wylądować za trzydzieści pięć minut. Przez kilka sekund wspominał dwie szesnastoletnie prostytutki, które poznał przed dziesięcioma dniami. Bliźniaczki, na ramionach ślady po igłach, ale całkiem ładne i gorliwie starające się zaspokoić każde życzenie klienta. Szkoda, że nie ma czasu tego wieczoru. Tym razem jest to wypad w interesach. Podczas poprzedniej wizyty mógł sobie pozwolić na osobiste przyjemności, ponieważ chodziło o rozpoznanie domu i obyczajów ofiary. Teraz natomiast, już przy realizacji planu, niezbędna była pełna koncentracja. Wymagało jej wywiązanie się z kontraktu.

Telefon zadzwonił dopiero dziewięć minut po dwunastej. Barringer był pewien, że opóźnienie było przez Dunna zamierzone i miało na celu uniknięcie ewentualnych pułapek. Kiedy telefon zadzwonił, Barringer udawał, że pilnie studiuje afisz zachwalający loty Eastern Airways do Meksyku. Rudowłosa hostessa za kontuarem podniosła słuchawkę.

- Czy jest tu pan Lee Strouse? - zaczęła po chwili z profesjonalną radością.

Barringer zasygnalizował ręką i ruszył w stronę lady.

- Ten pan zaraz podejdzie - obwieściła hostessa wesoło do słuchawki, którą następnie podała Barringerowi, mobilizującemu się psychicznie do dialogu z Charlesem Jeffersonem Dunnem.

- Mówi Strouse!

- Przykro mi, ale dziś nic z tego - usłyszał. - Będę w kontakcie.

Nim Barringer zdołał otworzyć usta, by wyrazić dezaprobatę, i usiłować zmienić decyzję rozmówcy, ten przerwał połączenie. I co ma teraz zrobić z przewieszoną przez ramię lotniczą torbą ze stu osiemdziesięcioma pięcioma tysiącami dolarów? Kiedy Dunn nawiąże kontakt? Gdzie i jak? Dlaczego, do diabła, anulował spotkanie? Czy wydarzyło się coś złego? A może Dunn ma nawrót choroby?

- Jezu drogi! - powiedział głośno i uświadamiając sobie, że rudowłosa hostessa na niego patrzy, dodał: - Rozumiem cię. Dobrze, w porządku. - Dopiero wtedy oddał słuchawkę i przyoblekł twarz w wymuszony uśmiech.

Co ma teraz zrobić? Co powinien zrobić? Co ma powiedzieć ludziom z operacji specjalnych i dyrektorowi? Niezadowolony przepychał się przez zbity tłum pasażerów. Ktoś na niego wpadł, ktoś inny boleśnie uderzył walizką w lewe kolano, a jakaś tleniona blondynka zaczęła mu wymyślać po hiszpańsku, gdy niemal rozdeptał jej miniaturowego pudła. Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie wy dostał się z terminalu.

- Cześć, Stephen!

Dunn. Za kierownicą tego samego wozu, ale z innymi tablicami rejestracyjnymi. Dunn prawdopodobnie zmieniał tablice równie często jak koszule. Tłumiąc złość Barringer wsiadł do samochodu. Dunn natychmiast ruszył.

- Po co te wszystkie wygłupy, Charlie?

- Żeby jak najdłużej pozostać przy życiu. Jak się czuje kolega McGhee?

- Dyszy z wściekłości. Dyrektor na piśmie nakazał mu zostawić cię w spokoju. A jeśli prowadzisz kronikę nastrojów w kierownictwie, to zanotuj, że dyrektor też syczy słysząc twoje nazwisko.

- A powinien być mi wdzięczny. Jestem jednym z niewielu, którzy składają mu wizyty domowe.

- Nie musiałeś tego robić, Charlie.

- Musiałem. Jedyne sposob, żeby ten paranoik McGhee odczepił się ode mnie.

Barringer uznał, że nadeszła odpowiednia chwila. Poklepał trzymaną na kolanach torbę.

- Mam dla ciebie pieniądze - obwieścił. - I trzy nazwiska prawdopodobnych ofiar. Czy możesz mnie teraz uważnie posłuchać?

- Ależ oczywiście - odparł Charlie z kurtuazją.

Skąd ta uprzejmość? Co znowu nastąpiło?

- Pierwszym z trójki domniemyanych ofiar jest handlarz bronią, George Stamos. Operuje z Lizbony. Oskubał juntę z Costa Verde na dziewięć milionów dolarów. Lipny kontrakt na dostawę amunicji. Junta z kolei zakontraktowała likwidację Stamosa.

- Kto na drugim miejscu? - spytał Dunn.

- Emerytowany pułkownik szwedzki. Nazywa się Morelius. Przez dwa lata sprzedawał Rosjanom informacje wojskowe, a potem spalił całą ich siatkę. Najprawdopodobniej nigdy nie przestał być agentem szwedzkiego kontrwywiadu. Moskwa się pieni i naszym zdaniem może wynająć wolnego strzelca, żeby się porachować. Sami Rosjanie nie mogą tego zrobić ze względu na zbyt złożone wzajemne stosunki.

Dunn pozornie nie wykazywał najmniejszego zainteresowania. Twarz jego była nieprzeniknioną maską, ale Barringer wiedział, że każde jego słowo jest analizowane i odnotowywane w pamięci. Ciągnął dalej:

- Trzecim jest prezydent republiki Twanzi, Ndugu. Znacjonalizował kopalnie uranu, wykopsał komunistycznych doradców, których sprowadził jego poprzednik, i wpakował do więzienia czterech

niemieckich bankierów za próbę przekupstwa. W ubiegłym roku przeżył dwa zamachy na swoją osobę. Wykonypował sobie, że to CIA dybie na jego życie.

- A dybie?

- Bzdura! - odparł z oburzeniem Barringer.

Barringer może kłamać, pomyślał Dunn. Kto wie, czy cała operacja nie została zmontowana po to, aby ukryć coś zupełnie innego.

- I ten trzeci wydaje mi się najbardziej prawdopodobny - ciągnął Barringer, niespieszony spojrzeniem Dunna. - Bardzo wielu go nie nawidzi i któryś z nich mógł wynająć Spaldinga, żeby go zlikwidował. A nam zależy na zachowaniu go przy życiu.

- Dlaczego?

- Jest uczciwy. Naszym zdaniem mógłby odegrać stabilizującą rolę w całym regionie...

- Pieprzysz! - odparł Dunn. - Powiedz po prostu, że jest wygodniejszy od swego poprzednika, który był zwykłym złodziejem i kombinował z Ruskimi, a wam zależy na jego uranie.

- Naszym zdaniem warto go ocalić, Charlie. W porównaniu z innymi typkami, które rządzą afrykańskimi państwami, ten facet jest jak święty. Nieco porywczy święty, ale... Słuchaj, Charlie, chcę, żebyś porozmawiał z pewną osobą nazwiskiem James. Wychowaną w Twanzi, kiedy jeszcze było brytyjską kolonią. Od dzieciństwa wielka przyjaźń łączyła ją z Ndugu, który choć nie ufa Amerykanom, jej bardzo ufa. Mówię ci, z taką osobą warto pogadać...

Już dawno wyjechali z obszaru lotniska. Barringer zastanawiał się przez chwilę, dokąd jada, a następnie powrócił do tematu:

- James załatwi ci dotarcie do Ndugu. Pojedzie z tobą.

- Człowiek Firmy?

- Skąd! Osoba prywatna. Nigdy nie pracowała dla żadnej rządowej agencji. Bardzo porządna, bardzo sprytna. Zgadza się spotkać z tobą - zapewnił Barringer. - Mieszka niedaleko. Może jutro? Pojutrze? Wybieraj. Ze względu na Ndugu jest pod naszą ochroną.

Dunn w kilka sekund dokonał analizy sytuacji i podjął decyzję.

- Teraz.

- Teraz? W tej chwili? - zdziwił się Barringer.

- Czy coś stoi na przeszkodzie? - spytał podejrzliwie Dunn.

- Nie. Chociaż byłoby dobrze zatelefonować i uprzedzić. Żeby ochrona wiedziała...

- Wcale nie byłoby dobrze. Byłoby bardzo źle. Lepiej oszczędź podatnikom dziesięć centów, które wydałbyś na telefon.

Pojawienie się tam, gdzie nie był oczekiwany, należało do arsenału metod Dunna. Pomagało przeżyć. Barringer podał mu adres w Falls

Church. Kiedy po dwudziestu minutach dotarli do starego domu przy obsadzonej drzewami ulicy, Dunn nie zatrzymał się, ale objechał dwukrotnie kwadrat ulic, następnie odbił od całej dzielnicy, zrobił jeszcze większe koło i dopiero wtedy powrócił w okolice starego domu. Mimo że były miejsca do parkowania przed dwupiętrowym kolonialnym domem, będącym celem ich wizyty, wjechał na pusty placyk trzydzieści metrów dalej i po drugiej stronie ulicy.

- Przyzwyczajenie, Stephen. Nie miej mi za złe, że nie chcę niepotrzebnie umierać - mruknął. Wyszedł z wozu, rozejrzał się dokoła i sprawdził, czy pistolety w kieszeniach płaszcza dają się łatwo wyciągać. Dunn nie miał już na sobie munduru sierżanta Armii, ale garnitur biznesmena, który staż do swej życiowej roli odbył niewątpliwie na Harvardzie: bezbłędnie skrojona popielata flanela, jasnoniebieska koszula z najlepszej popeliny i półbuty z wytłaczanej kozłej skóry. Kiedy szli w stronę domu, Barringer przygotowywał się wewnętrznie na reakcję Dunna, gdy ten ujrzy tabliczkę wbitą na paliku w trawnik przed wejściem.

- Doktor H. James - odczytał Dunn. - Doktor od czego?

- Spróbujmy od tyłu - mruknął Barringer udając, że nie słyszał pytania. Dunn i tak się zaraz dowie. Będzie wściekły. Chwilowo posłusznie poszedł za Barringerem. Barringer dwa razy zapukał do tylnych drzwi, chwilę odczekał, zapukał raz i po sekundzie trzy razy. Ktoś od wewnątrz odsunął zasłonkę na szybie w górnej części drzwi i długo im się przyglądał.

- Zadałem ci pytanie: doktor od czego? - odezwał się niespodziewanie Dunn. Jednocześnie rozległo się ciche obracanie klucza w zamku. Gdy drzwi się uchyliły, Barringer szybko wszedł, Dunn za nim. Zamykanie zamka ostrzegło Dunna, że ktoś za nim stoi. Błyskawicznie się obrócił.

Mężczyzna, którego zobaczył, miał około trzydziestu lat, potężne bary i był wyraźnie zaskoczony dwiema lufami pistoletów wycelowanych w jego brzuch. Barringer skrzywił się z dezaprobatą.

- Odłóż pukawki, Charlie. To człowiek z naszej ochrony - powiedział.

- Też mi ochrona! - odparł pogardliwie Charlie. - Ten gość ma zwolniony refleks. - Rozejrzał się po obszernej kuchni, w której stali, i sprawdził długi korytarz wiodący do pomieszczeń frontowych. Dopiero wtedy schował broń do kieszeni.

- Proszę powiedzieć doktorowi, że jesteśmy - polecił Barringer ochroniarzowi, który nadal stał zapatrzony w Dunna. Otrzymawszy zadanie oprzytomniał, wszedł w korytarz i dwukrotnie zapukał do drzwi. Dunn usłyszał dziwny odgłos podobny do psiego warczenia,

ale bardzo niski i rozdzierający. Odgłos wydawany przez zwierzę, które cierpi. Minęły trzy sekundy, nim ochroniarz dał znak, że mogą podejść. Po chwili znaleźli się w gabinecie i mogli przyjrzeć się pacjentowi.

- Paskudna infekcja, ale te pastylki powinny pomóc - mówiła doktor James.

- Dziękuję - odparła tęga kobieta w obcisłych džinsach i poklepała pacjenta, który miał niespełna metr wzrostu, ważył mniej więcej sześćdziesiąt pięć kilogramów i pokryty był gęstym czarnym futrem. Pacjentem tym była smutnooka suka rasy nowofundland. Kobieta ujęła smycz i wyprowadziła psa, doktor James zamknęła za nią drzwi i dopiero wtedy obróciła się do niezapowiedzianych gości.

Doktor James miała na sobie jasnoniebieskie spodnie, biały fartuch i na głowie białą obcisłą czapkę chirurga. Gdy ją zdjęła, na ramiona opadł jej... chyba metr jasnobłond włosów. Na bawełnianą koszulkę pod rozchylonym fartuchem napierały jędrne piersi, większe niż można było oczekiwać u kobiety dość niskiego wzrostu. Pani doktor miała śliczne niebieskie oczy i brzoskwiniową cerę. Obrazu dopełniały wspaniałe białe zęby i figlarny uśmiech.

- Proszę usiąść, panowie - poprosiła ze śladowym angielskim akcentem.

- Co to ma wszystko znaczyć? - zapytał ponuro Dunn.

- Czy to jest ten pański przyjaciel, o którym pan wspominał? - spytała Barringera doktor James. Fartuch rozwarł się szerzej i można było odczytać hasło na bawełnianej koszulce: RATUJMY WIELORYBY.

- Tyś chyba zwariował, Stephen! - warknął Dunn. - Mam jechać z nią na tajną operację do podejrzanego afrykańskiego kraiku? Z nią? Z nią nie poszedłbym do skrzynki pocztowej na rogu ulicy. Nie mam śladu skłonności samobójczych.

Barringer spodziewał się podobnej reakcji. Nim odpowiedział, i to bardzo opanowanym głosem, powiesił płaszcz na wieszaku i rozsiadł się wygodnie w fotelu: - Nie widzę najmniejszych problemów, Charlie. O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że ona jest żywym celem. Z tym włosami i przy tej figurze każdy facet powyżej piętnastu lat natychmiast będzie wlepił w nią gały.

- Podać panu szklankę wody? - spytała bardzo spokojnie doktor James, co jeszcze bardziej rozzłościło Dunna.

- Wie pani, co pani może zrobić ze swoją wodą? Nie powiem, bo jestem uprzejmy dla kobiet. Czy pani sobie zdaje sprawę z sytuacji? Co on pani naopowiadał? - wskazał palcem Barringera.

- Pan Barringer zwrócił się do mnie w imieniu rządu, prosząc o pomoc w zapewnieniu bezpieczeństwa prezydentowi Ndugu, któremu zagraża zawodowy morderca. I powiedział mi, że pan jest ekspertem od tych spraw, panie Smith.

- Nie nazywam się Smith. Jestem Charlie Dunn. Czy on wspominał pani, jaką instytucję reprezentuje?

- Zrozumiałam, że Departament Stanu.

- Źle pani zrozumiała. Bo miała pani źle zrozumieć. Pan Barringer jest jednym z największych patriotycznych kłamców naszych czasów. Jest kapitanem reprezentacji kłamców CIA.

Dostrzegł zaskoczenie na twarzy kobiety.

- To prawda? - spytała Barringera.

Barringer odchrząknął. - Uważaliśmy, że... Biorąc po uwagę pani stosunek do CIA i instytucji wojskowych... A sprawa jest ważna. Nie byliśmy pewni, czy pani zgodzi się z nami współpracować...

- A skąd i co pan wie o moim stosunku do CIA i do owych instytucji wojskowych? - spytała. - Co pan może o tym wiedzieć?

- Wszystko - pośpieszył z wyjaśnieniem Dunn. - Przebadali pani całą przeszłość. Od piaskownicy począwszy. Wiedzą jakie nagrody dostała pani w niedzielnej szkółce i jak ma na drugie imię pani pierwszy chłopak. Mają zdjęcia rentgenowskie obu pani szczęk i kopie zeznań podatkowych. Mają wykazy wszystkich pani rozmów telefonicznych w ciągu ostatnich pięciu lat i ocenę zdolności kredytowych pani ojca. A jeśli kiedykolwiek otrzymała pani mandat za przekroczenie prędkości, miała skrobankę lub wuja pedzia w Indianapolis, to też o tym wiedzą. Pani telefon jest na podsłuchu, pani listy są otwierane, a kubek ze śmieciami regularnie przetrząsany. Stawiam dziesięć do jednego, że nasza rozmowa jest nagrywana. Dom jest naszpikowany mikrofonami, prawda Stephen?

- Nie mam prawa nic mówić o standardowych procedurach związanych z bezpieczeństwem państwa - odparł sztywno Barringer.

- To jest oburzające! - wykrzyknęła kobieta.

- Nie w świecie panów Barringerów - powiedział Dunn. - To jest oburzające tylko w pani ślicznym świecie, gdzie mili i dobrzy ludzie martwią się o wieloryby, walczą o czyste powietrze i występują przeciwko przemocy w telewizji. Przypuszczam, że i on ociera się o te sprawy, ale w zasadzie tkwi w biznesie fekalii, zarządzając sekcją szamba. Przez lata byłem w tym samym interesie.

- I z pewnością był pan jednym z najlepszych - parsknęła.

- Byłem najlepszym z najlepszych. I dlatego jeszcze oddycham, podczas gdy inni gryzą od spodu korzenie. On pani nie powiedział? Mordowałem ludzi, żeby świat był lepszy, a demokracja bezpieczniejsza.

Przeżrana zasłoniła dłonią usta. Zobaczyła jednak coś w jego oczach, co kazało jej powiedzieć: - Przepraszam, panie Dunn. Nic nie wiedziałam. Bardzo przepraszam za moją reakcję.

- Nie powiedziałem tego, żeby wzbudzać pani litość, pani doktor. Po prostu chce, żeby pani miała realistyczny obraz świata, w który pan Barringer chce panią wprowadzić i zatrzasnąć furtkę ogrodzenia. Planowana operacja zapowiada się jako ryzykowna. Uniemożliwienie temu człowiekowi zamordowania Ndugu będzie niesłychanie trudne i niebezpieczne. Morderca jest profesjonalistą i posiada moralność automatu z przerwykami czy coca-cola. Tylko oferuje inny towar: wrzucasz pieniądze, a wypadają trupki. - Dunn wyciągnął cygaro z kieszeni marynarki.

- Pan go zna? - spytała.

- Obaj go znamy. Stephen, powiedz jej, mój drogi, jak brzmi jego kryptonim!

Barringer nie miał zamiaru tego zrobić. Dunn zapalił cygaro.

- Dobrze, ja jej powiem - mruknął Dunn przez dym cygara. - Topór. To w skrócie, bo w rzeczywistości chodziło o topór rzeźniczy. Facet zabija bez wahania i bardzo to lubi. Lubuje się w zabijaniu. Nie ma żadnych hamulców, żadnych wyrzutów sumienia. Gotów jest zabijać niemowlaki i prezydentów, a nawet piękne lekarzki weterynarii. Jest mu to najzupełniej obojętne.

- Pan to mówi, żeby mnie wystraszyć i żeby odmówiła pomocy?

- Inteligentna z pani babka. Mówię to z dwu powodów. Po pierwsze, jest pani zbyt pożyteczna i zbyt seksowna, żeby tak młodo umierać. Jest moim obowiązkiem ocalić pani tyłek dla dobra ludzkości.

- Przestałbyś pleść bzdury, Charlie! - Barringer nie mógł już dłużej wytrzymać.

- A drugi powód? - spytała bez najmniejszych emocji doktor James.

- Żeby ocalić mój własny tyłek. Jeśli będzie mi pani towarzyszyła, możemy się oboje od razu wpisać na listę umarłaków. I kto wtedy ocali Ndugu?

Przez chwilę przypatrywała się cygaru Dunna, a następnie przysunęła mu popielniczkę, żeby nie musiał daleko sięgać.

- I niech pani nie będzie taka cholernie uprzejma. Niech pani lepiej będzie rozsądna i nie miesza się do całej tej historii. Niech pani

dalej się opiekuje pieskami i wielorybami. W tym na pewno pani celuje. A mnie proszę pozostawić polowanie na zbrodniczych zbrodźców. Ja to muszę robić, pani nie. Pani może wybierać i jeśli wykorzystasz pani zasoby rozsądku, to uczyni pani jedyny właściwy wybór.

Uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Właśnie wybrałam. Prezydent Ndugu jest kimś więcej niż bliskim przyjacielem. Kiedy miałam czternaście lat, zostałam przyjęta do jego plemienia - wyjaśniła. - Ndugu jest moim bratem. Nie opuszcza się brata w potrzebie.

- Pani chyba zwariowała. Tyś to słyszał, Stephen?

- Beze mnie - ciągnęła doktor James - nie uda się panu do niego zbliżyć. I nie będzie pan mógł go osłaniać. Nie mam właściwie innego wyboru. Muszę z panem jechać.

Dunn wstał.

- Idziemy, Stephen. Dość tego.

Wstał i Barringer. - Przykro mi bardzo, pani James - powiedział. - Wiem, że pani pomoc byłaby nieoceniona. Jednakże muszę uszanować punkt widzenia pana Dunna, ponieważ na nim spoczywa odpowiedzialność za operację. Proszę się nie martwić. Pan Dunn jest wysoce kwalifikowanym specjalistą. Jestem pewien, że wie, co ma zrobić i jak wykonać zadanie.

Doktor James obróciła się w kierunku Dunna i, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała: - Ja też wiem, co mam zrobić. Jadę do Twanzi.

- Nie ze mną - oświadczył Dunn i wyszedł bez słowa pożegnania.

Odjechali w zupełnym milczeniu, które przerwał wreszcie Dunn, gdy byli już pięć kilometrów od Falls Church.

- Co kryje litera H?

- Jaka znowu litera H?

- Doktor H. James. Harriet? Hortensja?

- Heather - odparł sztywno Barringer. - I przy okazji: byłeś dla niej zbyt ostry. Zupełnie niepotrzebnie.

- Powiedziałem jej tylko prawdę. Warto, żebyś i ty kiedyś tego spróbował.

Barringer zignorował złośliwość, ale nie zrezygnował z tematu doktor James: - Uważam, że popełniasz wielki błąd. Ona bardzo by się przydała. Przyciąga spojrzenia mężczyzn, ale nie jest wcale głupia.

Dunn wyprzedził furgonetkę pełną zakonnic. Na jego twarzy pojawił się na chwilę ślad uśmiechu.

- W porządku. Lecimy w czwartek. Dwunastego.

- Co? Zabierasz ją ze sobą?

Dunn skinął głową, zerkając jednocześnie we wsteczne lustro.

- Powiedz jej, że nie bierzemy dużo rzeczy. Po jednej walizce. A teraz sprzęt. Niech będzie zapakowany w dwie podróżne torby. Odbierzemy trzynastego w przedstawicielstwie American Express.

- American Express w Twanzi, trzynastego - potwierdził Barringer.

Dunn pokręcił głową i z niewinnym uśmiechem dodał: - American Express przy Haymarket w Londynie. Tylko mnie nie pytaj, dlaczego nie lecimy prosto do Twanzi, bo i tak ci nie powiem. Nie chodzi mi o ciebie...

- Wiem, wiem, nie chodzi ci o to, że nie ufasz mi, ale... i tak dalej. Wszystko rozumiem. Co jeszcze?

- Opowiedz mi o tej Heather James.

Barringer poinformował Dunna, że dziewczyna urodziła się w północnej Kalifornii. Ojciec lekarz, matka utalentowana malarka. Heather miała osiem lat, kiedy matka umarła, a ojciec zabrał rodzinę do Twanzi, gdzie przez dziesięć lat pracował jako lekarz w misyjnym szpitalu. Doktor James ma jeszcze brata, który jest dziekanem wydziału teologicznego na uniwersytecie Harvard, oraz dwie siostry. Starsza jest prokuratorem stanu Kalifornia, na imię jej Willow, a młodsza, Fern, owdowiała, dysponuje co najmniej czterdziestoma ósmioma milionami dolarów w nieruchomościach w Dallas i zasiada w radzie amerykańskiej unii praw obywatelskich.

- Ojciec nadal przebywa w Twanzi?

- W Brazylii. Jest dyrektorem regionalnego biura Światowej Organizacji Zdrowia. Heather, lat dwadzieścia siedem, jest najmłodsza i chyba najinteligentniejsza. Współczynnik inteligencji sto sześćdziesiąt trzy. Biegłe mówi po francusku, hiszpańsku, w suahili i dialekcie Noro. Noro to plemię Ndugu. Najbitniejsze plemię wschodniej Afryki.

- Uprzedź mnie, kiedy przejdziesz do intymnych szczegółów.

- I po co te złośliwości, Charlie? Dziewczyna nie pali i nie pije. Nigdy nie kombinowała z narkotykami. Każdego ranka przebiega pięć kilometrów. Nienotowana przez policję, nie ma w tej chwili przyjacielka. Była zaręczona z poetą, który w zeszłym roku ją rzucił, żeby wyjść za córkę Rothsilda.

- Na poetów nigdy nie można liczyć. Mogliście ją uprzedzić.

Od pewnego czasu James Barringer zdał sobie sprawę, że nie jadą drogą, która doprowadziłaby ich do portu lotniczego National, gdzie

zostawił samochód. Po paru minutach zobaczył potężne gmaszysko Pentagonu.

Gdy podjechali bliżej, Dunn powiedział: - Wybaczysz mi, że tu cię zostawię. Mogło się zdarzyć, że ktoś wypatrzył twój samochód na parkingu albo wsyłał do niego dodatkową garść mikrofonów. Może też cała banda ktosiów czatuje na nas pod terminalem lotniska.

Barringer uświadomił sobie, jak bardzo zatarta jest granica między ostrożnością a paranoją. Następnie zaczął się zastanawiać, dlaczego w drodze do Twanzi Dunn chce zatrzymać się w Londynie. Musiał opracować jakiś diabelski plan. A jeśli plan polega na tym, żeby w ogóle nie jechać do wschodniej Afryki? Zadał sobie to pytanie, wtedy gdy Dunn zjeżdżał z autostrady krętą drogą, która prowadziła do głównego wejścia centralnego kompleksu obronnego Stanów Zjednoczonych.

Dunn zatrzymał się, Barringer spojrział na zegarek. Była 18.55. W garażu CIA są jeszcze dyżurni kierowcy. Mógłby zadzwonić po samochód...

- Pokażesz strażnikom legitymację i pozwolą ci zadzwonić po taksówkę - podsunął Dunn. - A teraz, jeśli idzie o paszporty...

- Są w torbie lotniczej wraz z pieniędzmi - odparł Barringer.

- Dobrze się spisałeś, Stephen. Będę z tobą w kontakcie.

- A jeślibym chciał się z tobą porozumieć, kiedy już będziesz po tamtej stronie Atlantyku?

- Kod VALENTINE. Daj ogłoszenie do „International Herald Tribune” w dni robocze lub do londyńskiego „Daily Mail” do wydania weekendowego. Treść: „Najlepsze życzenia dla Heather”.

Po odjeździe Dunna Barringer ruszył schodami ku wejściu, zastanawiając się, czy nie powinien był życzyć Charlie'emu wszystkiego najlepszego, szczęścia czy coś takiego. W połowie schodów uświadomił sobie, że nie warto tego robić. Charlie nie wierzył w życzenia pomysłowości i w szczęście. Gdyby chociaż trochę wierzył, nie rozpocząłby tak niebezpiecznej operacji w piątek trzynastego.

Deszcz przestał padać, ale jezdnie nadal były mokre. Pułkownik Willoughby wyszedł z samochodu i wciągnął w płuca wilgotne powietrze. W Londynie zawsze było podobnie o tej porze roku: deszcz, woda, wilgoć. I o tej porze dnia zawsze śpieszące gdzieś tłumy. Wielu pieszych na chodniku Haymarket stanowili cudzoziemcy. Nie należało się temu dziwić, gdyż znajdowało się tu kilka teatrów i wiele banków, w których można było wymieniać walutę innych państw na funty. Liczni przybysze ze Stanów Zjednoczonych i Kanady zmierzali do budynku American Express, by odebrać przesyłki zza Atlantyku.

Willoughby przejrzał się w szybie wystawowej Centrum Wzornictwa i stwierdził, że czarny melonik spoczywa na jego wąskiej i wydłużonej głowie pod właściwym kątem. Uspokojony, poszedł dalej z zawieszonym na ramieniu ściśle zwiniętym czarnym parasolem. Pułkownik Willoughby lekko utykał. Przed dwunastoma laty po paskudnej kraksie pilotowanego przezeń samolotu amputowano mu lewą nogę poniżej kolana. Otrzymał wówczas świetną protezę i przeniesienie z RAF-u do jednej z sekcji wywiadu. Na papierze miał przydział do Departamentu Telekomunikacji, Wydział Planowania, Ministerstwo Lotnictwa Cywilnego. Dlatego też nosił na głowie symbol przynależności do średniego szczebla biurokratów.

Za którymś tam skrzyżowaniem zatrzymał się przed wystawą słynnej firmy Burberry, żeby obejrzeć tweedowe płaszcze. Płaszcze interesowały go znacznie mniej niż to, czy ktoś nie podąża jego śladami. Następnie przedarł się przez rzekę pojazdów na drugą stronę szerokiej ulicy. O 10.40 wszedł do holu teatru „Jego Królewskiej Mości”. Po sześciu minutach wyszedł na dach i zaczął się rozglądać za człowiekiem, którego miał tu spotkać. Nie dostrzegł nikogo.

- Jest pan sam? - usłyszał pytanie, zadane bez wątpienia z amerykańskim akcentem.

Willoughby raz jeszcze rozejrzał się uważnie i tym razem zauważył lufę pistoletu wystającego zza komina.

Po chwili wynurzył się Dunn z żelaznym prętem w jednej dłoni i pistoletem P-15 w drugiej. Willoughby szybko ocenił, że ma do czynienia z człowiekiem, którego w żargonie określa się mianem „twardziela”. Ani śladu umysłowej czy fizycznej słabości. Pełna koncentracja.

- Niezmiernie miło znowu cię widzieć, Charles! - powiedział.

Dunn nie odpowiedział od razu. Żelaznym prętem zablokował klamkę, by nikt nie mógł otworzyć drzwi u szczytu schodów na dach, sprawdził, czy pręt dobrze się trzyma, a następnie schował pistolet do prawej kieszeni płaszcza. Nim się odezwał, wyjął z lewej kieszeni lornetkę.

- Jak ci idzie, Peter?

- Jak zwykle dużo roboty. Wiadomość od ciebie była uroczą niespodzianką. Nie miałem pojęcia, że jesteś w mieście, stary!

Willoughby mówił pozornie łagodnym tonem, ale twardym jak stal głosem angielskiego dżentelmena. Nie było w nim pośpiechu i ani śladu ciekawości z powodu pojawienia się Dunna, wyboru miejsca spotkania, czy lornetki.

- Wpadłem tylko na bożonarodzeniowe zakupy - odparł Dunn. - Mam też parę gwiazdkowych prezentów dla ciebie... - Podał mu lornetkę. - Nie, nie lornetkę. Chcę, żebyś tylko wyjrzał na ulicę...

- A czego mam szukać, Charles? - spytał Willoughby.

- Człowiek w skórzanej kurtce, stojący przy zielonym motocyklu... I popielaty Triumph nieco dalej... w prawo...

Willoughby przykleił oczy do lornetki. - Powiadasz, zielony motocykl? Jest zielony motocykl. Koło niego stoi wcale krzepki jegomość... I jest Triumph.

- W samochodzie jest dwóch, plus motocyklista, a jeszcze jeden w lokalu American Express - informował Dunn. - Niski facet w niebieskim przeciwdeszczowym płaszczu. Kręci się w podziemiu. Tam, gdzie turyści odbierają listy i paczki. Razem jest ich czterech.

Willoughby odjął od oczu lornetkę i w zamyśleniu gładził wąsy.

- I to są te prezenty dla mnie? Ofiarowujesz mi tę czwórkę?

- Tak, stanowią ładny komplet. Nie można ich rozdzielić. Jeśli nie twój rozmiar, to zawsze możesz ich wymienić na kogoś, kogo bardzo pragniesz. Na przykład na Sida Lamba.

Lamb był weteranem brytyjskiego wywiadu. Przed trzema laty Rosjanie przyskrzynili go w Gorki pod Moskwą. Willoughby przysięgł

sobie, że go wydobędzie z ich łap. Lamb był jego wieloletnim przyjacielem.

- Kim są ci czterej? - spytał.

- Najprawdopodobniej Rosjanie. Z pewnością uzbrojeni. Jestem prawie pewien, że zamierzają kogoś zabić. I to jeszcze dziś. Czekają na tego kogoś już od ósmej czterdzieści pięć rano, gotowi do ustrzeżenia ofiary, gdy będzie opuszczała lokal American Express.

Brytyjczyk ostentacyjnie spojrzał w niebo. Zapowiadała się kolejna ulewa.

- A kto ma być tą ich ofiarą? - spytał.

- To chyba jasne, że ja - odparł Dunn.

- To chyba jasne - powtórzył Willoughby i skrzywił się, bo poczuł strzykanie w amputowanej nodze, która zawsze dawała o sobie znać przy dużej wilgotności powietrza. Zanim zwrócił lornetkę Dunnowi, raz jeszcze popatrzył przez nią na ulicę.

- Mówisz prawdę, Charles? - spytał.

- Świętą - odparł Dunn.

- Ale nie całą?

Dunn zastanowił się, dlaczego Brytyjczycy mają zwyczaj wypowiadania oczywistości.

- To chyba jasne - odparł, a następnie wyjaśnił, jak należałoby zgnać tę czwórkę bez publicznej strzelaniny w sercu Londynu. Rosjanie czekają, żeby Dunn odebrał dwie torby z podziemia biura obsługi American Express. Zamiast Dunna przesyłki odbierze młoda kobieta, blondynka, i odjedzie taksówką. Tamci ruszą za nią, a taksówka zaprowadzi ich do pewnego garażu na ustronnej ulicy w Camberwell, wiele kilometrów od centrum miasta. Tam, bez ryzyka dla zdrowia i życia niewinnych przechodniów, zajmą się nimi ludzie Willoughby'ego.

- A ty gdzie będziesz, Charles?

- W garażu z kilkoma twoimi ludźmi na zewnątrz. Dalszych kilku pošlesz za nimi z Haymarket. Tak, w sumie będziesz potrzebował z dziewięciu ludzi. No i ty dziesiąty, Peter. To tylko sugestia, niczego ci nie narzucam. Sam wiesz, co i jak masz robić.

Willoughby zamyślił się. Dunn był znany jako samotnik, niezbyt chętnie dzielący się informacjami. Skąd ta jego nagła szczodrość i „prezenty”?

- Czy coś jeszcze powinienem wiedzieć? - spytał ostrożnie pułkownik.

- Owszem. Kobieta zjawi się dokładnie o czwartej piętnaście, co ci daje czas na porozumienie się z Barringerem na bezpiecznej linii. Powtarzam: bezpiecznej.

Willoughby jeszcze się wahał. Nie lubił pakować się w jakiegokolwiek operacje bez odpowiednio długiego czasu na przygotowanie. No, ale szansa uczynienia czegoś dla Lamba - czegokolwiek - nie pozwalała na odrzucenie propozycji.

- Wchodzisz w to? - spytał Dunn.

Willoughby skinął głową. Dunn podszedł do drzwi, prowadzących z dachu na dół i wyjął spod klamki żelazny pręt. Obrócił się do Brytyjczyka.

- Opiekujcie się dobrze kobietą - powiedział.

- Możesz się nie obawiać.

Dunn podał adres garażu i zniknął. Po paru minutach Willoughby zszedł z dachu i czym prędzej udał się do biura, by zorganizować ekipę i zadzwonić do kwatery głównej CIA w Langley. Pamiętał, że ma rozmawiać z Barringerem na bezpiecznej linii z elektronicznym kodowaniem głosu. O trzeciej po południu znalazł się z powrotem na dachu teatru Jego Królewskiej Mości". W rękę trzymał radiotelefon, przez który mógł porozumiewać się z rozstawionymi na ulicy agentami. Nie było mu łatwo uzyskać dla nich zezwolenie na posiadanie broni w centrum stolicy, ale użyte w odpowiednim kontekście nazwisko Lamba złamało opory przełożonych.

Wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami Dunna. O czwartej piętnaście Willoughby zobaczył kobietę z długimi blond warkoczami, jak wysiadała z taksówki. Gdy weszła do biura American Express, podniósł do ust radiotelefon.

- Pasterz Pierwszy do wszystkich. Pojawił się Przyjaciel. Powtarzam: pojawił się Przyjaciel. Pełna gotowość.

Kiedy Heather James zeszła do podziemia, zastała dwie kolejki turystów - z wyraźną przewagą dwudziestoparolatków - pogodnie oczekujących na przesyłki. Niektórzy mieli plecaki, inni magnetofony. Zauważyła jedną gitarę. Było też kilku starszych ludzi, a między nimi dwie panie profesor, cieszące się głośno z naukowego urlopu, jaki otrzymały od rektora Uniwersytetu Teksaskiego.

Kolejki posuwały się wolno i doktor James dotarła do kontuaru dopiero o czwartej dwadzieścia dziewięć.

- Pasterz Czwarty do Pasterza Pierwszego. Przyjaciel otrzymał torby - zameldował brytyjski agent, okupujący w podziemiu kabinę telefoniczną. Po dwóch minutach ten sam agent dodał: - Przyjaciel opuszcza podziemie. Tuż za nim Bandyta w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym.

Ciąg dalszy zależy od precyzji działania, pomyślał Willoughby. Kobiety nie można spuścić z oka nawet na sekundę. Może Bandydzi

wcale nie pojedą za nią do garażu. Może zechcą ja porwać od razu. Cała ta cholerna operacja była bardzo ryzykowna. Tak jest zawsze z pośpiesznie przygotowywanymi planami. Willoughby spojrzął na zegarek: 16.35. Zawiadomił przez radiotelefon resztę ekipy, by szykowali się do kolejnego ruchu.

Heather James wyszła na ulicę w chwili, gdy właśnie podjechała taksówka, przywożąc pasażera. Gratulując sobie szczęścia zajęła po nim miejsce i kazała taksówkarzowi zawieźć się do Camberwell po drugiej stronie Tamizy. Nie wiedziała, że pojawienie się taksówki nie miało nic wspólnego ze szczęściem. Kierowcą był agent brytyjskiego kontrwywiadu wyposażony na tę okazję w pistolet maszynowy, schowany pod siedzeniem. Za taksówką wyruszył motocykl i popielaty Triumph, a za nimi paru brytyjskich agentów w brązowym Fordzie oraz wóz dostawczy z nazwą i adresem nieistniejącej hurtowni win.

Droga do garażu trwała dwadzieścia minut. Kierowca wyładował torby, podziękował Heather za napiwek i odjechał, zatrzymując się nie opodal w wąskiej uliczce. Wyjął spod siedzenia pistolet maszynowy i zameldował przez radiotelefon, że zajął przewidziane stanowisko. W odległości zaledwie sześćdziesięciu metrów Dunn zamknął garażowe drzwi za Heather James i odebrał z jej rąk obie torby.

- Dziękuję, pani doktor!

- Proszę bardzo, panie Dunn. Nie było żadnych problemów. - Rozejrzała się po niewielkim garażu. Stary Hillman zajmował jedną czwartą miejsca, na metalowym warsztacie obok leżały porozrzucane narzędzia oraz stos brudnych szmat, a także kilka rur. Dunn zaniósł torby w pobliże samochodu i postawił na betonie przy tylnych drzwiach. Stał w bezruchu. Wydawało się, że nasłuchuje odgłosów z ulicy.

- Czy mogę prosić panią o przysługę? - spytał.

- Oczywiście.

Wskazał na ścianę.

- Czy byłaby pani łaskawa tam stanąć?

- Gdzie?

- Za samochodem, proszę!

Zaskoczona wahała się przez chwilę, a potem, wzruszywszy ramionami, wykonała polecenie. Barringer zapewnił ją, że Dunn zawsze wie, co robi i dlatego, i obiecała go słuchać. Ruszyła w kierunku starego Hillmana.

- Bandyci! Bandyci! - rozległ się metaliczny głos. Rozejrzała się i na półce zawieszanej na ścianie zobaczyła aparat podobny do

radiotelefonów, jakie oglądała na wystawach sklepowych. Dunn jednym ruchem zrzucił z siebie marynarkę. Zaskoczył ją widok dwu pistoletów w kaburach pod pachami.

- Panie Dunn?

Jego reakcja była natychmiastowa i zdecydowana: chwycił ją za prawe ramię, pędem przeciągnął przez garaż i dosłownie rzucił na posadzkę między samochodem a ścianą, tak jakby pozbywał się szmacianej lalki. Na chwilę straciła oddech uderzając o karoserię, a następnie padając na kafelki posadzki.

W tym momencie eksplodowały drzwi garażowe, którymi weszła. W pierwszej chwili trudno było powiedzieć, czy ktoś je staranował samochodem, czy też nastąpił wybuch. Przez kilka sekund myślała, że to była bomba. Kawalki drzwi szybowaly pod sufitem garażu. Szybko zorientowała się, że to jednak uderzenie: w otworze pojawiła się maska samochodu. Dunn poznał popielatego Triumphha, który zatrzymał się gwałtownie. Wyskoczyło z niego trzech mężczyzn z bronią w dłoniach.

Nisko przykucnięty Dunn strzelił pierwszy. Pierwszy z trzech napastników, w niebieskim nieprzemakalnym płaszczu, zachwiał się, gdy kula strzaskała mu lewe kolano, a zaraz potem następna przeszła prawe przedramię, wytrącając broń z ręki. Kierowca Triumphha rzucił się na ziemię, zaś trzeci mężczyzna, w ciemnej kurtce, szerokim łukiem skierował lufę pistoletu maszynowego w stronę Dunna. Nie zdążył, gdyż pocisk urwał mu ucho, a kolejny przeszył żołądek. Oszołomiony i dezorientowany osunął się na kolana i oddał kilka krótkich przypadkowych serii, które zrobiły sito z blaszanego dachu garażu, podziurawiły puszki z olejami i farbami, stojące na ściennych półkach. Zaczął wydawać chrapliwe dźwięki, coraz przenikliwsze w miarę, jak powiększała się czerwona plama na jego spodniach. Trzymał jednak w dłoni swój pistolet maszynowy, póki mu go nie wyrwał Dunn, który następnie w ułamku sekundy przetoczył się za beczkę.

- Nie ruszaj się, James! - krzyknął. - Jest jeszcze jeden.

Mylił się.

Było ich dwóch.

Motocyklista wdarł się tylnymi drzwiami. Hałas z tym związany utonął w strzelaninie, a ponadto Dunn koncentrował się wyłącznie na trzecim pasażerze Triumphha.

- Uważaj! - wrzasnęła Heather i cisnęła wielkim stalowym pilnikiem, który porwała ze stosu leżących na ziemi narzędzi. Gdy napastnik w skórzanej kurtce był już gotów nacisnąć spust wycelowanej w Dunna broni, po mistrzowsku rzucony pilnik wbił mu się ostrym

końcem kilka centymetrów poniżej gardła. Mężczyzna spojrzął na wystający z niego pręt, zatrzęsł się, cofnął o krok i powiedział coś bełkotliwie. Zabrzmiało to jak przekleństwo. Zrobił pół obrotu w jej kierunku, podnosząc broń.

Jednakże ból był zbyt wielki. Dwukrotnie usiłował wyrwać pilnik, aż w końcu wypadł na plecy przez tylne drzwi. Z obu stron garażu słychać było teraz nowe odgłosy. Dunn skierował lufę w lewo, potem w prawo, rozpoznał brytyjskich agentów i wykrzyknął ostrzeżenie:

- Gdzieś tu jest jeszcze jeden!

Dwóch agentów padło natychmiast na ziemię, pozostali pochowali się z bronią gotową do strzału. Jeden wskazał palcem Hillmana i Willoughby zrozumiął. Napastnik skrył się pod samochodem.

- Spróbuję z nim pokonferować, Charles - powiedział do Dunna Willoughby. - Już chyba dość rozlewu krwi. - A głośniej wykrzyknął: - Hej ty, łobuzie, jest nas tu ośmiu z bronią gotową do strzału. Wiemy, że tkwisz pod tym cholernym samochodem. Nie masz najmniejszej szansy. Albo zaraz rzucisz nam swoją broń i sam się wygramolisz, albo posiekamy cię na kawałki. Wybieraj: mamy cię zbierać na przecieradło, czy wyjdiesz sam?

Po pięciu sekundach spod samochodu wyleciał z hałasem potężnych rozmiarów pistolet z tłumikiem.

- Wychodzę. Nie strzelajcie - odezwał się mężczyzna pod Hillmanem.

- Twarzą do ziemi, nogami w naszym kierunku! - rozkazał Willoughby. - Trzymajcie go na muszce, drań może mieć inną broń - ostrzegł swoich ludzi.

Osiem luf mierzyło w wąską przestrzeń między samochodem a betonem podłogi, na którym pokazały się nogi. Jedna z luf błyskawicznie powędrowała w prawo, gdy leżący na ziemi człowiek w niebieskim płaszczu głośno jęknął. Pozostali członkowie ekipy wpatrywali się w mężczyznę, który wyczołgiwał się powoli spod starego wozu.

- Docket i Cheetham, bierzcie go! - polecił Willoughby i obaj wymienieni zrobili to natychmiast. Batalia była zakończona. Minęło siedemdziesiąt dziewięć sekund od chwili, gdy Heather James weszła do garażu.

- Przyjrzyj się, złotko, światu, do jakiego wdepnęłaś za namową Barringera - powiedział do niej Dunn.

Doktor Heather James przełknęła parę razy i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Nawet mi się nie śniło, że to może tak wyglądać...

- W tym świecie nigdy o niczym się nie śni. Chyba że zapada się w sen permanentny - odparł ponuro Dunn.

Pokręciła głową, jakby chciała zaprotestować.

- Wezwałem karetki, pułkowniku! - zameldował kierowca taksówki, którą Heather przyjechała z American Express. - Dwaj załatwieni, jeden traci dużo krwi z rany w brzuchu. Ale chyba z tego wyjdzie. Jest jeszcze jeden drań z kawałkiem żelaza w krtani, leży na zewnątrz i płacze jak dziecko.

- Ona mu to wpakowała. Chyba ocaliła mi życie. Dzięki, pani doktor - mruknął Dunn.

- Miałam dwanaście lat, kiedy wojownicy z plemienia Noro nauczyli mnie, jak rzucać oszczepem.

- Zapomniałem o tych Noro. Dobrych rzeczy nauczyli szanowną panią. Doktor James, przedstawiam pani pułkownika Willoughby'ego. Pułkowniku, pani doktor jest pierwszej klasy weterynarzem i należy do szczepu Noro, jak już wspomniała.

Ona chyba naprawdę jest weterynarzem, pomyślał Willoughby, ściskając dłoń doktor James. Nawet Dunn nie wymyśliłby dla agentki tak nieprawdopodobnego życiorysu. Tak czy inaczej, jest bardzo ładna.

- Miło mi panią poznać - powiedział. - I przepraszam, że ciut się spóźniliśmy.

- Niech pan nie przeprasza. I tak mieliśmy szczęście, że był pan w okolicy - wtrącił sarkastycznie Dunn.

- Robiliśmy, co można, Charles - odparł Willoughby nieco urażonym tonem.

- Przepraszał pan za spóźnienie. Czy to oznacza, że wiedział pan o tym, co może się stać? - spytała Heather pułkownika, ale rozpoznając kierowcę swojej taksówki rzuciła oskarżycielsko: - Pan mnie tu przywiózł! - Obróciła się do Dunna: - Co to ma wszystko znaczyć? Kim są ci ludzie? - Wskazała na leżących na ziemi mężczyzn.

- Nieważne. Jeśli się jeszcze do czegoś nadają, to otrzymają najlepszą, jaką sobie można wyobrazić, opiekę lekarską, a potem wrócą do mamusi. Prawda, Peter?

- Mam nadzieję, mam nadzieję - odparł Willoughby z niekłamaną szczerością w głosie.

- Ale kim oni są? - upierała się doktor James. - Czy mają coś wspólnego z człowiekiem, którego nazywacie Toporem? - zapytała Dunna.

Willoughby zamrugał nerwowo.

- Odpowiedź na pani drugie pytanie jest twierdząca - odparł Dunn.

„Taksówkarz” wręczył pułkownikowi dokumenty znalezione u pojmanych napastników i zameldował, że jeden z nich kłął chyba po serbsku.

Willoughby przejrzał szybko podane mu papiery.

- Wszyscy są cudzoziemcami i prawdopodobnie pracują dla kórejś z rosyjskich siatek - obwieścił. - Nie wspominałeś mi, Charles, że zamieszany jest w to Spalding, i że pracuje dla Rosjan.

- Spalding pracuje dla każdego z dużą gotówką - odparł Dunn i zdejmując jakąś nitkę z rękawa, dodał: - Chyba będę musiał z nim porozmawiać i wyjaśnić, że to bardzo nieładnie.

- Możesz mieć trudności ze znalezieniem go, Charles - zauważył Willoughby.

- Znajdę - zapewnił Dunn.

Willoughby zrozumiał, że to wypowiedzenie wojny. Miał nadzieję, że nie będzie się ona toczyć na brytyjskiej ziemi.

- Jak długo jeszcze u nas zabawisz? - zapytał.

Dunn uśmiechnął się na ten zawołany nakaz wyjazdu. Tylko Brytyjczycy umieli być w tak uroczy sposób grubiańscy. Mimo utraty imperium zachowali wiele umiejętności potrzebnych do rządzenia.

- Pozdrów ode mnie Sida.

- Chętnie to uczynię.

Mężczyzna z raną postrzałową brzucha głośno jęczał. W odruchowej reakcji kobiecego współczucia Heather pośpieszyła do niego.

- Mam jeszcze dwie sprawy - powiedział cicho Willoughby. - Barringer prosił mnie, żebym ci powiedział, iż człowiek z Lizbony udał się do domu swego brata. Zakładam, że wiesz, o co chodzi.

A więc handlarz bronią George Stamos jest w Atenach.

- A druga sprawa, Peter?

- Dzięki za cztery prezenty.

- Ciesz się nimi - odparł Dunn i poszedł po przywiezione przez Heather torby.

- On ma okropną ranę brzucha - zawiadomiła Heather.

- Pracujemy w okropnym biznesie, droga pani doktor - odpowiedział jej Willoughby.

- To samo mówił pan Dunn - mruknęła Heather. - Kto jak kto, ale on chyba wie dobrze.

Willoughby odchrząknął. - Nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Jakim on jest człowiekiem, pan Dunn? Nie znam go jeszcze dobrze, ale słyszę, że panowie są po imieniu...

- Wysoce inteligentnym i bardzo uzdolnionym... A kłamie mniej niż ktokolwiek inny, kogo znam. - I po sekundzie dodał z kwaśną

miną: - Z tym zastrzeżeniem, że ja prawie wyłącznie znam ludzi raczej... - zawahał się.

- Okropnych? - dokończyła za niego.

- Właśnie! Wracając jednak do pani pytania: ściśle rzecz ujmując, wcale nie lubię Charlesa. Natomiast żywię dla niego szacunek. Charles Dunn w każdych okolicznościach podejmie dobrą właściwą decyzję, tego jestem pewien. O ile wybór będzie w ogóle możliwy.

Willoughby zamilkł, gdyż Dunn powrócił z torbami.

- Mam dla ciebie kolejne prezenty, Peter - powiedział, stawiając torby na ziemi. Nie miał najmniejszego zamiaru zabierać tego arsenału dalej. Byłyby kłopoty z przewiezieniem przez granice. Nigdy nie planował korzystania z tej broni.

- Serdeczne dzięki - odparł uprzejmie Willoughby.

Dunn pytająco wskazał na „taksówkarza”.

- Ależ oczywiście, Charles! Szczęśliwej drogi i dotrzyj bezpiecznie do celu!

Dunn ujął Heather pod rękę i szybkim krokiem poszedł do rogu uliczki za kierowcą.

- Jazda, jazda - popędzał. - W moim towarzystwie jest pani w nieustannym niebezpieczeństwie. Proszę o tym ani na chwilę nie zapominać.

Zanim Dunn wsiadł do taksówki, poprosił brytyjskiego agenta, by zajrzał pod maskę i sprawdził, czy ktoś nie podłączył do startera ładunku wybuchowego. Jednocześnie sam dokładnie obejrzał podwozie i okolice zbiornika paliwa. Wsiadł dopiero po upewnieniu się, że wóz jest czysty.

- Spodziewa się pan kłopotów? - spytał brytyjski agent.

- Zawsze - odparł Dunn i poprosił o odwiezienie do hotelu „Picadilly” przy Picadilly Circus.

W drodze kierowca raz po raz zerkał we wsteczne lustro, skoro bowiem sytuacja jest niewyraźna, lepiej zachować ostrożność. Nie była to jednak ostrożność uzupełniona niezawodnym instynktem i pełną fachowością. Kierowca nie dostrzegł zielonego MG, który za nimi podążał. Siedząca za kierownicą sportowego wozu Azjatka miała wielkie doświadczenie w tego rodzaju robocie. Używała wszelkiego rodzaju sztuczek i kryła się często za innymi pojazdami, aby jej wóz zbyt natrętnie nie wpadał w oko. Azjatka była drobna, szczupła i bardzo ładna. Poza tym świetnie wyszkolona. Wyglądała na jakieś dwadzieścia osiem lat, choć w rzeczywistości brakowało jej miesiąca do trzydziestych szóstych urodzin.

Przedświąteczny ruch powodował korki na jezdniach śródmieścia

Londynu. Dwudziestominutowy kurs okazał się czterdziestominutowym wleczeniem się. Było już po szóstej, kiedy opuścili taksówkę przed hotelem „Picadilly”, z którego wyszli po czterech minutach, by wsiąść tym razem do prawdziwej taksówki i kazać się odwieźć do hotelu „Hyde Park” przy Knightsbridge, gdzie w rzeczywistości mieszkali. Zielone MG pojechało za nimi.

Hotel „Hyde Park” zachował zdecydowanie staroświecką fasadę, która wyraźnie kontrastowała z nowoczesnym wnętrzem. Gdy weszli do apartamentu na drugim piętrze, Dunn zamknął drzwi na oba zamki i poszedł prosto do barku, z którego wyjął dwie miniaturki szkockiej whisky Dewar's.

- Należy potraktować to jako lekarstwo, pani doktor - powiedział.

- Nie jestem chora, ale niech się pan nie krępuje... Zresztą, chętnie się napiję. - Powiesiła płaszcz i podeszła. Dunn opróżnił obie butelczki do szklanek i, popijając złocisty płyn, czekał na nieuchronne pytania.

Jednakże bardzo się omylił. Nie zadała ani jednego. Usiadła w wygodnym fotelu i wydawała się zupełnie beztraska. Tylko jej nieco zburzone uczesanie mówiło o minionych dramatycznych przeżyciach.

- Przepraszam, że musiałem tak panią cisnąć na ziemię, ale to było konieczne - mruknął.

Skinęła głową. - Z początku zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji - przyznała.

- Właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać, pani doktor. Ustrzeże to nas od wielu nieprzyjemnych rzeczy, jeśli to i owo pani powiem. Oboje poczujemy się bezpieczniejsi.

Przypomniały się jej opinie Barringera i brytyjskiego pułkownika o Dunny. No i jak sobie poradził w garażu.

- Czuję się przy panu bardzo bezpieczna - odparła, a Dunn z wątpiewaniem pokręcił głową i upił trochę whisky, nim wreszcie zareagował na komplement:

- Miło mi to słyszeć, ale czeka nas jeszcze wiele gorszych sytuacji. W worku, z którego wypuszczono tych czterech dzisiejszych drani, jest ich jeszcze cały legion.

- Jestem przekonana, że da pan sobie z nimi radę. Byłam na wielu polowaniach z myśliwymi z plemienia Noro. Dzięki temu mogę w

pełni ocenić dzisiejsze wydarzenia. Pan zastawił na tych ludzi pułapkę, prawda?

- Tak.

- A ja byłam przynęta?

Skinął głową w oczekiwaniu wybuchu, który jednak nie nastąpił.

- Pułapka była doskonała - wydała osąd. - Wie pan zawsze, co powinien pan zrobić, i robi to szybko. Jest pan bardzo dobrym myślowym, panie Dunn.

- Mam duże doświadczenie. Ale ma je również Victor Spalding.

- Człowiek, który zamierza zabić Alfreda Ndugu?

- Ndugu i mnie. Tego jednak Barringer pani nie powiedział. Wydarzenia w garażu, to już druga próba Spaldinga w tym miesiącu. - Dunn upił trochę whisky i uświadomił sobie nagle, że po raz pierwszy patrzy na doktor James jak na ponętą kobietę. Nie wolno mu było oddawać się podobnym myślom. Nie teraz.

- Ale dlaczego poluje na pana?

- Uważa, że musi mnie zabić, bo ja chcę zabić jego. Barringer też tak sądzi. Jest to właśnie jeszcze jedna rzecz, o której pani nie powiedziano. Nasz rząd oczekuje, że zneutralizuję Spaldinga. To eufemizm na zamordowanie człowieka.

Dunn dokończył whisky, poszedł do baru i sięgnął po następną miniaturkę.

- Zrobi to pan? - usłyszał pytanie.

- Imbirowego piwa?

- Tak, proszę.

Wylał zawartość buteleczki do swojej szklanki, drugą szklankę napełnił piwem i podał Heather. Podziękowała i wypila parę łyków. Dunn zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Pod pachami miał jak zwykle dwie kabury z pistoletami. Wyszedł do sąsiedniej sypialni i powrócił po parunastu sekundach z niewielką fotografią.

- To jest Spalding. Niech pani bardzo dobrze mu się przyjrzy. To mistrz charakteryzacji. Jeśliby pani zobaczyła tę lub podobną twarz, to proszę natychmiast krzyknąć. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, waży osiemdziesiąt pięć kilo i jest bardzo szybki. Szybszy od węża.

Długo wpatrywała się w fotografię.

- Jest coś w jego oczach... - zaczęła.

- Podnieca go zabijanie i ostry seks. Zresztą nie tylko to. Jest też psychopata o skłonnościach maniackalnych.

Wolniutko popijała imbirowe piwo. - Dobrze go pan zna?

- Nauczyłem go zawodu. To było przed moim załamaniem nerwowym. Bo ja też sobie trochę przez pewien czas powariowałem, nie wiedziała pani?

- Nic nie wiedziałam.

- Jednak ostatnio tak się przestraszyłem, że odzyskałem normalność. O ile oczywiście można to nazwać normalnością. Mieszkałem sobie w stanie Vermont, udając kogoś innego, ręce mi się cały czas trzęsły, gęziej skórki dostawałem na widok zwykłej dubeltówki, a tu któregoś dnia Spalding przysłała dwóch drani, żeby mnie sprzątnęli z tego świata. No i strach podział. A cały zastęp psychiatrów, ich elektrowstrząsy i prochy całkowicie zawiodły.

Heather odstawiła szklankę. Zaczynała rozumieć Dunna. Przede wszystkim jego zjadliwą gorycz. Urażona duma zawodowa, również i duma męska. Coś doprowadziło go do załamania nerwowego, a więc upokorzyło. W jego gniewie brzmiało rozczarowanie sobą.

- Jestem pewna, że jako funkcjonariusz rządowy może pan...

- Jestem już na emeryturze - przerwał jej. - Przed dwoma laty uznano mnie za nieuleczalnie chorego i wysłano na zieloną trawkę. Jestem teraz wolnym strzelcem z dziewięćdziesięciodniowym kontraktem. Wysoko płatnym najemnikiem. Tak jak Spalding.

Teraz chyba kłamał. Nie postępował jak chory psychicznie profesjonalny morderca.

- Co pan miał na myśli mówiąc, że nauczył go zawodu?

- Dokładnie to, co powiedziałem. W swoim czasie Spalding pracował w CIA. Potem został renegatem. Pracuje na własne konto. Otrzymałem zadanie położenia kresu jego działalności. Raz na zawsze. Jest nikim, ale kompromituje rząd Stanów Zjednoczonych. Stanowi polityczne obciążenie.

- Niby dlaczego?

- Niektóre rządy na świecie myślą, że nadal pracuje dla Stanów Zjednoczonych, a licznych wyższych funkcjonariuszy CIA niepokoi jego wiedza. Mógłby zacząć opowiadać dziennikarzom z „Los Angeles Times” albo agentom rosyjskiego SWR, kogo zamordował na rozkaz CIA, nim założył własny interes.

Heather James siedziała ze ściągniętymi brwiami. Dunn na nią zerknął i napastliwym tonem powiedział: - Niech sobie panienska wyrzutów nie robi i nie martwi się, że ten jej amerykański rząd jest taki paskudny. Znam co najmniej szesnaście innych, które robią to samo.

Nie dała się sprowokować. - Gdzie tu pasuje Alfred Ndugu, panie Dunn? - zapytała spokojnie.

- Osobiście nie mam nic przeciwko pani plemiennemu bratu. I nie wynajęto mnie, bym czuwał nad jego bezpieczeństwem. Żaden kraj afrykański, Twanzi czy nie Twanzi, nikogo nie obchodzi w Waszyngtonie, w Moskwie i w Pekinie. A jeśli obchodzi, to bardzo mało. Afryka to kontynent o niskim priorytecie. - Dunn wyjął cygaro z kieszeni koszuli.

- Ale przecież pan Barringer powiedział mi...

- Niech pani nie wierzy wszystkiemu, co mówi Barringer - przewrwał zniecierpliwiony Dunn. - Chciał czegoś, więc nakarmił panią kilkoma półprawdami. Na niego to i tak dużo.

- Ale Barringerowi zależy przecież na Ndugu?

- Trochę zależy. Więcej niż innym. O czym my mówimy? Czy pani wie, że tylko sześć procent mieszkańców naszych kochanych Stanów słyszało o Twanzi? Niecały procent wie, kto to jest Ndugu. Afryka nie jest dla nikogo ponętna.

- Tak?

- Niech pani dorośnie, pani doktor, i spojrzysz prawdzie w oczy. Kiedy z głodu albo w wyniku jakiejś epidemii umiera w Afryce sto czterdzieści tysięcy ludzi, to na dziesiątej stronie pojawia się kilkumiesięczna wzmianka w tych gazetach, które łaskawie publikują podobne wiadomości. Czasami poświęci temu półtorej minuty telewizja, ale tylko w niedzielę, żeby czymś zastąpić brak kolejnego skandalu w Waszyngtonie.

- Czy ktoś zamierza zabić Alfreda Ndugu? - spytała.

- Tak sądzi Barringer. - Dunn zaciągnął się cygarem.

- A co pan sądzi?

- Barringer ma podstawy tak sądzić. Święty Alfred narobił sobie masę wrogów. Możliwych i wpływowych. Właściwie nie ma żadnych przyjaciół.

- Ja jestem jego przyjacielem - odparła Heather James.

- Pani jest niewiniątkiem. Tutaj hasają rekiny, a nie poczciwe wiewiórki. Pani dalej wierzy w szlachetnego rycerza na białym koniu, który - rycerz, a nie koń - pokonuje kohortę nikczemnych wrogów?

Skinęła głową. - Wierzę, panie Dunn. I dlatego tu z panem jestem.

- Ja tu natomiast jestem dla pieniędzy i z chęci ocalenia własnego życia. Disneyowskie baśnie to bzdura, droga pani. Czasy romantyzmu przeminęły. Era bohaterów skończyła się. Niech się pani dobrze rozejrzy. Nie dostrzeże pani ani jednego.

Patrzyła na niego niemal ciepło.

- Pułkownik Willoughby powiedział mi, że można być pewnym, iż zawsze podejmie pan właściwą decyzję i zrobi, co należy.

- Gadanie! Na miłość boską, niech pani dorośnie. Już raz to pani mówiłem. I niech pani przestanie być taka cholernie miła! Nie jestem pani przyjacielem. Nie chcę być pani przyjacielem. Nie mógłbym nim być, nawet gdybym chciał... Dlatego muszę z panią porozmawiać.

Pomyślała sobie, że Dunn nie ma wielu przyjaciół. Obrączki też nie nosił.

- Słucham pana.

Wyciągnął oba pistolety i położył je na stole obok siebie. - Mogła zostać pani dziś ranna. Mogła pani już nie żyć. I dlatego musi mnie pani ślepo słuchać. Natychmiast wypełniać moje wszelkie polecenia. Omal pani nie zginęła, kiedy ten samochód rozbił drzwi garażowe. A dlatego, że się pani zawahała. Mówi pani, że mi pani ufa, tak?

- Ufam.

- Bawimy się w kotka i myszkę z profesjonalnym mordercą. W takich grach nie ma sekundy na zastanawianie się. A każdy ruch musi być zaplanowany. Musi służyć wytkniętemu konkretnemu celowi. Jest to jednocześnie pojedynek na spryt i walka nerwów. Dzisiejsza pułapka dowiodła, że muszę być niesłychanie ostrożny.

Tak, pułapka przed biurem American Express jasno wykazała, że zdrajca w łonie CIA, Spalding i SWR współpracują ze sobą. Dunn zamierzał uniemożliwić tę współpracę. Może utrata w jednym dniu czterech agentów każe zastanowić się kierownictwu SWR, czy warto ryzykować zdemaskowaniem ich agenta w łonie CIA po to tylko, aby wspierać informacjami najemnego mordercę.

- Mój plan jest prosty - powiedział Dunn. - Izolujemy Spaldinga. Odetniemy mu źródła informacji. Będzie musiał walczyć sam. I wtedy go dopadnę.

- Jak pan go znajdzie?

- Komfort sytuacji polega na tym, że nie muszę go szukać. To on mnie znajdzie.

Heather zobaczyła na twarzy Dunna uśmiech myśliwego.

- No dobrze, pani doktor. Proponuję układ partnerski. Ale ponieważ to jest moje poletko, będę starszym partnerem.

- Nie byłam wychowana na niedojdę, by ustępować z drogi. Niech mnie pan źle nie zrozumie. Nie jestem jakąś szurniętą feministką.

- Zrozumiałem panią dobrze, droga pani doktor. Dobrze panią poznałem, jest pani profesjonalistką, tak jak i ja. Tyle, że ta sprawa rozgrywa się na placu mojej profesji, a nie weterynaryjnej. Rozumiemy się?

Pomyślała o Ndugu i skinęła głową.

- Akceptuje pani moje starszeństwo w partnerstwie?

- Akceptuję, ale chcę o coś spytać.

- Słucham.

- Czy nie moglibyśmy czegoś zjeść? Umieram z głodu.

Dunn rozłożył na części pistolety, wyczyścił je, lekko naoliwił i włożył do magazynków naboje, podczas gdy Heather w łazience poprawiała fryzurę. Wyglądała ślicznie, gdy wróciła. Żałował, że nie może sobie pozwolić na pożądanie tej kobiety. Jakikolwiek zaangażowanie uczuciowe było wykluczone. Mogłoby okazać się bardzo niebezpieczne. Nie wolno mu jej nawet polubić. Zresztą byłoby to tylko urojone uczucie, wynikające z życia w długotrwałej samotności. Jej obecność ma ponadto na celu uratowanie charyzmatycznego prezydenta afrykańskiego państewka, a nie igraszki z bezlitosnym najemnikiem.

Jedzenie w przytulnej hotelowej „Sali Rycerskiej” było doskonałe. Dunn z zainteresowaniem obserwował, jak Heather pałaszuje tłuste ostrygi Colchester - pół tuzina - a następnie bez zachęty z wielkim apetytem przystępuje do *filet mignon* pieczonego na węglu, będącego specjalnością szefa kuchni. Między jednym kęsem a drugim odpowiadała na pytania Dunna, dotyczące eksterminacji wielorybów.

- Co dwadzieścia pięć minut ginie na świecie wieloryb - poinformowała. - Blisko dwadzieścia tysięcy rocznie! Polują na nie z sonarem i za pomocą helikopterów. Mordują je wystrzeliwując z dziewięćdziesięciomilimetrowych działek żelazne harpuny dwumetrowej długości... A bez wielorybów ludzie mogliby się obejść. Wszystkie surowce, dla których je zabijają, uzyskać można z innych źródeł. Sześć gatunków wielkich wielorybów już prawie wyginęło... To straszne!

- A kim są ci ich mordercy? - spytał Dunn, przerywając na chwilę konsumpcję różowego baraniego kotleta.

Wyjaśniła mu, że na największą skalę poławiają wielorybnicy z Japonii, Rosji, Południowej Korei i Islandii. Do apartamentu wrócili o wpół do dziesiątej.

- Chodźmy wcześniej spać - powiedział Dunn po dziesięciu minutach. - Musimy wstać przed szóstą, żeby złapać poranny samolot do Aten.

- Dlaczego Aten?

- Zaufanie, zaufanie, pani doktor. Podobno mi pani ufa. Dobranoc.

Rozeszli się do swoich sypialni. Heather czuła się bardzo obolała. Gdy wszystko z siebie zdjęła i stanęła nago przed lustrem, zrozumiała dlaczego: miała wielkie siniaki na lewym udzie, na biodrze, prawym ramieniu i prawej nodze - rezultat uderzenia o betonową podłogę.

Nie ograniczyła się do obejrzenia siniaków. Badawczo spoglądała na całą swoją sylwetkę. Zgrabna figura, pełne piersi i kaskada złotych włosów wydawały się należeć do nieznannej jej osoby. Heather James już dawno nie przyglądała się sobie w podobny sposób. Stwierdziła, że prezentuje się wcale nieźle. Ma najwyżej kilogram nadwagi. Napełniła wannę bardzo gorącą wodą, zanurzyła się i oddała niemal zmysłowej rozkoszy myślenia o niczym.

Była północ. Dunn leżał nago z szeroko otwartymi oczami i rozmyślał. Był w pełni skoncentrowany. Wiele spraw należało rozważyć, rozpatrzyć wszystkie opcje i możliwe komplikacje. Gdzieś tam czai się Victor Spalding. Może właśnie w tej chwili kogoś zabija. Myśli Dunna przeniosły się na Heather James, na wieloryby, na Alfreda Ndugu. Wszyscy są zagrożeni. Z trudem zmusił się do ponownego skupienia myśli na Spaldingu. Nawet w pełni rozbudzony Dunn wiedział, że Heather James jest tylko sennym marzeniem.

Gdy usłyszał otwieranie drzwi, zareagował natychmiast. W ułamku sekundy już siedział, trzymając w dłoniach oba pistolety. Padające z sąsiedniego pokoju światło przenikało cienką koszulę nocną stojącej w progu sylwetki, nie pozostawiając wiele miejsca wyobraźni. Zanim opuścił broń, gapił się przez kilka sekund.

- O co chodzi? - spytał.

- Po pierwsze muszę podziękować za ocalenie mi życia w garażu. Nie zrobiłam tego przedtem, dziękuję teraz.

- A po drugie, pani doktor?

Koszula nocna spłynęła na podłogę. Stała naga. No i oczywiście zaczęła się zbliżać. Tego nie było w planach! Poczul zapach jej perfum. Znajdowała się teraz zaledwie dwa metry od łóżka.

- Pani doktor - wykrztusił.

- Na imię mam Heather - powiedziała miękko.

Kochali się długo.

Pomieszczenie było wielkie, doskonale oświetlone i dzięki specjalnemu systemowi klimatyzacyjnemu miało zawsze tę samą temperaturę dwudziestu stopni Celsjusza. W pomieszczeniu nie odczuwało się ani pór roku, ani dnia czy nocy.

W tym bunkrze pilnie strzeżonym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez wszystkie dni tygodnia, miesiąc po miesiącu, obowiązywał ten sam porządek i rytuał: trzydziestu czterech starannie wyselekcjonowanych obywateli amerykańskich obsługiwało najnowszą generację sprzętu telekomunikacyjnego. Personel w tym pomieszczeniu nigdy nie próżnował, podobnie jak i sprzęt, chyba że któraś z maszyn wymagała konserwacji. Nawet w dzień Bożego Narodzenia pracowała tu pełna obsada mężczyzn i kobiet, siedzących nad klawiaturami, a jedyne drzwi pilnowane były przez strażników uzbrojonych w pistolety maszynowe.

Dźwiękoszczelne płyty, jakimi wyłożono ściany i sufit, tłumiły szum drukarek, czyniąc go znośnym dla ucha, niemniej hałas panował duży i ludzie odzywali się do siebie wyłącznie wtedy, gdy było to niezbędne. Wszyscy znali ponadto regulamin nakazujący milczenie, a poza tym ruchome kamery telewizyjne omiatały całe pomieszczenie z ukrytych w suficie otworów.

W pomieszczeniu tym znajdowało się globalne centrum telekomunikacyjne CIA. Ci, którzy tu pracowali, głęboko pod wielkim kompleksem CIA w Wirginii, nie mieli prawa nikomu o tym mówić, nawet własnym rodzinom. Nie wolno im było poza tą salą wymieniać choćby kryptonimu własnej sekcji.

Chociaż wielkie zegary na jednej ze ścian pokazywały dokładną godzinę w Pekinie, Moskwie, Kairze i w czterech innych stolicach, czas w tym bunkrze miał jedynie wartość obliczeniową. Gdy któraś z drukarek zaczynała wypływać wiadomość, specjalny mechanizm oznaczał ją automatycznie datą i dokładną godzinę odbioru. Ponieważ Wielka Brytania wyprzedzała Wirginię o pięć godzin, raport z Londynu dotarł do Langley o 16.20 czasu Wschodniego Wybrzeża.

Priorytet Zielony.

Standardowa procedura wymagała, by materiały oznaczone kodem ZIELONY były rozszyfrowane i doręczone osobiście adresatowi w gmachu centrali w ciągu godziny.

Sekretarka Barringera o 17.05 otrzymała z rąk gońca zieloną kopertę. Pokwitowała odbiór i natychmiast zamknęła kopertę w szufladzie biurka, gdzie ta miała pozostać do chwili powrotu zastępcy dyrektora z konferencji grupy roboczej „D”. Barringer wrócił do gabinetu o 17.40 i już przy wejściu otrzymał zieloną kopertę. Usiadł za biurkiem, dwukrotnie przeczytał zawartą w kopercie wiadomość i kazał się połączyć z dyrektorem. Ten wezwał go do siebie.

Twarz generała Hartleya wyrażała wielki niepokój, gdy o 18.05 zapoznał się z treścią depešy. Przez dziesięć sekund bębnił palcami po blacie biurka, następnie spytał:

- Jak to się stało? Przecież miał lecieć do Londynu tylko po odbiór broni.

- Też tak myślałem, sir - odparł Barringer.

- Lubi zaskakiwać.

- Zawsze to lubił.

Generał raz jeszcze przebiegł wzrokiem depešę.

- Myśli pan, że z góry to zaplanował?

- Z pewnością, generale.

- Świadomie zaplanował strzelaninę w stolicy kraju o najsurowszych obostrzeniach, jeśli idzie o posiadanie broni?

- On wszystko robi bardzo świadomie, sir.

- Cała sprawa znajdzie się na pierwszych stronach brytyjskich gazet!

- W całej Europie, sir - odparł Barringer. - U nas pewno także. No i w radio i telewizji. - Barringer był przedziwnie spokojny.

- I wcale to pana nie martwi? - zdziwił się generał.

- Absolutnie nie, sir. Dunn zrobił dobrą robotę.

- Jaką znowu robotę?

- Pomógł zidentyfikować mocodawców naszej wtyczki. Dunn bez wątpienia stwierdził, że to Rosjanie, i teraz czuje się znacznie lepiej. Wie, na czym może się sparzyć.

Na twarzy Hartleya malowały się poważne wątpliwości.

- Dunn świetnie wie, jak sobie poradzić z SWR, sir - ciągnął Barringer. - Zna ich sposób myślenia i działania. - Chwilę się zastanowił, czy kontynuować. - No i poza tym upokorzył Spaldinga. To też jest częścią jego planu. Trzecia z kolei runda dla naszego człowieka! To jest batalia nie tylko na kule. Chodzi również o zachowanie twarzy.

- Już kilka razy coś podobnego pan mówił. Tak więc robiąc bilans dochodzi pan do wniosku, że szczęście nie całkowicie nas opuściło? Hmm, może i ma pan rację. Na razie nikogo nie zabił... Zaraz, zaraz, niech pan mi nie mówi, że po prostu nie chciał zabijać, że to wcale nie szczęście...? - Generał był poruszony własnym przypuszczeniem.

Barringer potwierdził jego słuszność. - Dunn nie toleruje przypadków. Wszystko jest zaplanowane. Zamierzał ich poważnie poharatać i poważnie poharatał, ponieważ chciał wysłać poważne ostrzeżenie.

- Spaldingowi? - spytał generał.

- Spaldingowi i SWR. Zawiadamia Spaldinga, że już jest w drodze i żadna wtyczka i żadna kombinacja, go nie powstrzyma. Celem jest zastraszenie Spaldinga, skłonienie do zmiany planów i... popełnienia błędu.

- Czyżby Dunn zamierzał postraszyć także Rosjan? - spytał ironicznie Hartley.

- W pewnym sensie tak, generale. Ściślej rzecz ujmując: ostrzec. Dunn zawiadamia SWR, że poluje na Spaldinga i nakłania Rosjan do zejścia mu z drogi. Miło ich prosi.

- Dlatego nikogo nie zabił, tylko pokiereszował?

- Dokładnie tak. Macie wybór, powiada im, ale wybierajcie szybko... Tyle dotychczas wydedukowałem - przyznał Barringer.

- Myśli pan, że jeszcze czegoś nie wiemy?

- Z Dunnem nigdy nie ma się pełnego obrazu. Za każdą jego sztuczką kryje się następna. Dunn planuje z góry co najmniej pięć ruchów i żaden nigdy nie jest bezcelowy.

Hartley zerknął na stojący na biurku elektroniczny zegar i stwierdził, że najpóźniej za dziesięć minut musi wyjechać na koktajl u wiceprezydenta. Myślami wróci do ostatniego raportu McGhee.

- Szkoda tylko, że Dunn nic nam nie może pomóc w sprawie wtyczki - mruknął. - Naszym chłopcom z kontrwywiadu przydałaby się pomoc.

- Żadnych śladów? - spytał Barringer.

Czarnoskóry generał wzruszył ramionami.

- Nic konkretnego. McGhee przeprowadził parę komputerowych przeszukań akt personalnych, chcąc trafić na cokolwiek. Sprawdził ubytki osobowe w ciągu minionych pięciu lat. Stwierdził jedno: ubytki zaczęły nieznacznie rosnać mniej więcej przed trzema laty. Ale to jeszcze nic nie znaczy.

- Może nasza wtyczka należy do kategorii „śpiochów”? Może była zwerbowana przed wielu laty jeszcze przez KGB, może był to już ich

człowiek, zanim zaczął u nas pracować. Trzymali go w odwodzie, nie pozwalając podejmować najmniejszego ryzyka. Mógł być reaktywowany dopiero po latach. Hebanową twarz rozjaśnił uśmiech.

- Ha! Ciekawe! To samo powiedział mi McGhee. Szuka teraz jakiegos ogólnego schematu. Sprawdza, gdzie wtyczka mogła pracować. W którymś z wydziałów specjalnych czy w sekcjach regionalnych.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła sekretarka Hartleya informując, że za pięć minut będzie czekał przed wejściem samochód. Generał podziękował, a gdy sekretarka wyszła, poinformował Barringera, wskazując palcem na drzwi:

- Czy pan uwierzy, że Phillips, asystent McGhee, poddał ją badaniu wykrywaczem kłamstw. Pan sobie wyobraża? Sekretarka dyrektora CIA badana za pomocą poligrafu?

- Moja będzie przesłuchiwana we wtorek - odparł Barringer.

Hartley wstał i wraz z Barringerem ruszył w stronę drzwi.

- Wie pan coś na temat dalszych zamiarów Dunna?

- Nie, panie generale. I Spalding także tego nie wie. Dobranoc, sir.

O osiemnastej dwadzieścia pięć Stephen Barringer wyjechał z parkingu CIA, kierując się w stronę domu. Od czasu konfrontacji z McGhee był inwigilowany dzień i noc. Tym razem jechał za nim zielony Chrysler z wąsatym Latynosem za kierownicą.

Powrót do Chevy Chase odbył się normalnie, a wieczór, który Barringerowie spędzili na kolacji u admirała Craiga z wywiadu Marynarki i jego nieco nadmiernie pijącej żony, stanowił okazję do koniecznego odprężenia i był naprawdę potrzebny. Wkrótce po powrocie Stephena i Aline Barringerów do domu, wybuchł pożar w trzypiętrowym budynku mieszkalnym przy Pershing Road w Arlington. Ogień rozprzestrzenił się bardzo szybko, trawiąc całkowicie trzy mieszkania.

Zgodnie z informacją podaną następnego dnia przez dziennik „Sun” z północnej Wirginii, źródło ognia znajdowało się w apartamencie 2F - lub tuż obok - zajmowanym przez rodzinę Phillipsów. Joane Phillips, trzydziestoczteroletnia programistka komputerowa, zmarła w drodze do szpitala, w wyniku zaccadzenia. Jej mąż Arthur, lat trzydzieści dziewięć, specjalista od przeprowadzania testów poligraficznych, zatrudniony w jednej z agencji federalnych, znajduje się w szpitalu z poważnymi poparzeniami drugiego i trzeciego stopnia. Lekarze określili jego stan jako krytyczny.

♦ 14 grudnia, 06.50

W Moskwie było minus trzydzieści stopni, miasto tonęło w śniegu. Śnieg znowu zaczął padać. Czarna limuzyna ZIS skręciła w ulicę Dzierżyńskiego. Następcy Feliksa Dzierżyńskiego nie otrzymali już swoich ulic, pomyślał z ironią tęgi oficer na tylnym siedzeniu limuzyny.

Mienżyński został otruty w 1934 roku.

Jagoda rozstrzelany w 1938.

Jego następca, Jeżow, po prostu zaginął bez śladu w kilka miesięcy później.

Ster przejął Beria i trwał na swoim stanowisku do 1953 roku, kiedy umarł Stalin. Beria i Mierkułow zostali rozstrzelani, a w roku 1954 potężna machina policyjno-wywiadowcza została przemianowana na KGB. Pasażer limuzyny, generał Siemion Temko, był zwykłym porucznikiem, kiedy rada ministrów powoływała do życia *Komitiet Gausudarstwiennoj Biezapastnosti* - Komitet Bezpieczeństwa Państwowego. Obecnie stał na czele departamentu amerykańskiego Pierwszego Zarządu SWR, *Służby Wnieszniej Razwietki* - Służby Wywiadu Zagranicznego, jak na początku lat dziewięćdziesiątych nazwano KGB. Był znaczącą osobistością, miał do dyspozycji limuzynę ZIS z szoferem i liczne obowiązki.

Nadal nieco zdumiony, że zaszedł tak wysoko. Temko poważnie traktował swoją pracę. Teraz na przykład kłopotał się tajemniczo brzmiącą informacją, jaką otrzymał przed osiemnastoma minutami przez samochodowy radiotelefon.

Już dostrzegał ponury gmach Łubianki i po drugiej stronie ulicy budynek popularnego domu towarowego „Świat Dziecka”. Niektórzy uważali to za zły żart, że największy moskiewski sklep z zabawkami znajdował się naprzeciwko centrali tajnej policji i więzienia. Temko natomiast, który miał dwoje wnuków i trzeciego w drodze - już w przyszłym miesiącu! - był z tego bardzo zadowolony. Jednakże tego

poranka nie myślał o dziadczyńnych prezentach. Z pewnością o żadnych prezentach nie myśleli też umundurowani wartownicy przy bramie, którzy na widok limuzyny natychmiast wyprężyli się na baczność.

Wysiadając z ogrzewanego wozu Temko wzdrygnął się, smagnięty siarczystym mrozem. Jeszcze przed ośmioma dniami pocił się w tropikalnym upale Hawany. Obecnie powrócił do zimowej rzeczywistości stolicy. Zziębnięty już po paru sekundach, zerknął ze śladem współczucia na prawie zamrożonych wartowników i pośpieszył do wejścia. Punktualnie o 7.00 wszedł do swego gabinetu. Jak zwykle.

- Bardzo źle, pułkowniku? - spytał, zdejmując ciężki płaszcz.

- Nie tak znowu bardzo - odparł jego zastępca w grubych okularach, pułkownik Połuczasnij, i zrelacjonował wydarzenia w Londynie.

- Dotychczas nie jest bardzo źle, ale tylko dotychczas - poprawił zastępcę Temko i zasiadł za bogato rzeźbionym biurkiem, które niegdyś służyło carskiemu admirałowi.

- Niezupełnie rozumiem, panie generale.

- To była pułapka. Dunn ich oczekiwał. A to znaczy, że wie, iż mamy człowieka w Langley. Zagrożona jest cała operacja IKAR.

Temko spojrział na zegarek, a następnie na drzwi. Gdzie jest herbata? Czy ta cholerna kobieta spędza cały czas w toalecie? Ledwo mu ta myśl przemknęła przez głowę, kiedy weszła sierżant Olga Neskin niosąc tacę i tłumacząc się z powodów spóźnienia, co Temko całkowicie zignorował.

- Gracie w pokera, pułkowniku? - spytał, gdy Olga Neskin wyszła.

Połuczasnij zaprzeczył ruchem głowy.

- Warto tę grę znać, bardzo warto. Znacznie lepiej rozumie się wtedy sposób myślenia Amerykanów. W tej rozgrywce *gaspadin* Dunn właśnie podbił stawkę.

- Niezupełnie rozumiem - po raz drugi tego ranka przyznał pułkownik.

- Pan Dunn ostrzega nas, abyśmy nie narażali bezpieczeństwa naszego agenta, Ikara, osłaniając obcego najemnika. Mówi, że zrobi wszystko, by pomaganie Spaldingowi kosztowało nas zbyt wiele.

- Chce nas uczyć, co mamy robić? - wybuchnął Połuczasnij z oburzeniem.

- On świetnie wie, co i jak robimy - odparł z powagą Temko. - Polecam jego teczkę w naszym archiwum. Zresztą możecie jej nie czytać. Nie znajdziecie tam wiele, co miałyby zastosowanie do innych agentów CIA. Pan Dunn to bardzo egzotyczny okaz. Unikatywy. Wracamy do Ikara...

- Słucham, panie generale?

- Priorytetowy szyfrogram do rezydenta w Waszyngtonie. „Ikar być może poważnie zagrożony. Chronić za wszelką cenę. Ikar ma przekazywać tylko najważniejsze wiadomości, a nawet zawiesić czasowo działalność i wszelkie kontakty, jeśli jego bezpieczeństwo tego wymagało”. Proszę to natychmiast wysłać.

Połuczasnij wyszedł z gabinetu, a gdy po paru minutach wrócił, Temko stał przy oknie wpatrzony w padający bez przerwy śnieg. Wydawał się głęboko zatopiony w myślach.

- Tekst jest już szyfrowany, panie generale.

Temko bez odwracania się tylko skinął głową.

- Panie generale?

- Słucham?

- Co miał pan na myśli nazywając tego Dunna egzotycznym okazem?

Generał Temko powrócił do fotela.

Patrząc uważnie na pułkownika zaczął wyjaśniać: - Charles Dunn jest chorobliwie niezależny. Źle się czuje i źle pracuje w dużym zespole. Nie uznaje ram organizacyjnych. Stwarza je sam tylko dla siebie.

- Czyli drobnomieszczańska mentalność?

- Niezupełnie o to chodzi. Nie ma w nim nic drobnego i bardzo mało mieszczaństwa. I jego zachowania nigdy nie można przewidzieć. Nigdy nie robi niczego dwa razy tak samo. Poza tym jest śmiały do granic bezczelności i przebiegły. Te dwie cechy rzadko występują razem, drogi pułkowniku - zakończył wykład Temko.

- Strzelcem to on chyba najlepszym nie jest - zauważył pułkownik.
- Nasi ludzie w Londynie...

- Nasi ludzie w Londynie jeszcze żyją, bo Dunn tak chciał - przebrał swemu zastępcy nieco już znecierpliwiony generał. - Miał w tym konkretny cel. Intencje Dunna są zawsze złożone i bardzo pokrętne. A jeśli chodzi o jego umiejętności posługiwania się bronią, to jest jednym z najlepszych na świecie strzelców. Lewą ręką lub prawą. Nosi zawsze dwa pistolety. Potrafi posługiwać się łukiem, nożem, granatami, pociskami raketowymi. Jest ekspertem w obsłudze wszystkich możliwych broni.

- Na szczęście nie wie o kontrakcie, który Spalding otrzymał od nas - pocieszył się Połuczasnij.

Generał rozłożył ręce.

- Przecież nie może tego wiedzieć? - zaniepokoił się pułkownik.

- Gdzie jest teraz Spalding?

- Chyba w Sztokholmie. Powinien już zabierać się do realizacji kontraktu.

- Powinien się pośpieszyć - mruknął generał.

- Dunn miałby tam polecieć?

- Polecie, polecie! - zapewnił go Temko. - Teraz już wie, że Spalding z nami współpracuje i że jedynym człowiekiem na liście przewidywanych ofiar Spaldinga, a taką listę sporządziła CIA, jedynym człowiekiem, na którym nam zależy, żeby go zlikwidować, jest pułkownik Morelius. Coś mi mówi, że Charles Dunn jeszcze dziś wieczorem będzie jadł kolację w Sztokholmie.

- Powinniśmy postawić na nogi naszych ludzi.

- W jakim celu? - spytał Temko.

- Żeby obstawili przyloty z Londynu na lotnisko Arlanda.

Generał pokręcił głową.

- Widzę, że nie uwierzyliście temu, co mówiłem o Dunnie. Arlanda obsługuje wszystkie połączenia europejskie. Ja to wiem, wy to wiecie, pułkowniku, i Dunn wie, że my o tym wiemy. Nie mam pojęcia, jak Dunn dotrze do Sztokholmu, ale jestem pewien, że nie przez Arlandę.

- Ale, panie generale...

Było przygnębiające, że Połudzasnyj martwi się tak mało istotną sprawą, jak metoda dotarcia Dunna do Sztokholmu. Dunn najprawdopodobniej myśli już o sposobach dyskretnego opuszczenia szwedzkiej stolicy.

- Już dobrze, dobrze, pułkowniku, róbcie sobie, co chcecie.

W trzy godziny później ekipy agentów SWR zajęły stanowiska obserwacyjne na obu lotniskach Sztokholmu. Ekipy zmieniano co sześć godzin, aby zmniejszyć ryzyko rozpoznania obserwatorów. Wszyscy byli poinformowani o niecodziennych metodach działania Dunna i dlatego kontrolowali zarówno samoloty przybywające z Paryża, Amsterdamu, Kopenhagi i Oslo, jak i maszyny ze wszystkich międzynarodowych lotnisk na Wyspach Brytyjskich.

Przez cały następny dzień.

Przeglądano się wszystkim przybywającym pasażerom. Poważnym zakonnikom, afrykańskim studentom i powykręcany artretyzmem kalekom na wózkach. Dunn był mistrzem charakteryzacji.

Wszystko na próżno.

Żaden z pasażerów, którzy wylądowali na lotniskach Arlanda i Bromma, nie był Dunnem.

Londyński poranek był chmurny i chłodny, ale Heather James uśmiechała się radośnie, jadąc taksówką z hotelu na lotnisko. Znalazła nowego kochanka, silnego i chętnego dzielić z nią wspaniałe przeżycia, jakże innego od wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek знаła. Oczywiście niewiele jeszcze o nim wiedziała, ale na wszystko przyjdzie czas.

Czuła się wspaniale. I wiedziała, że wspaniale wygląda. Nawet nie musiała przeglądać się w szybie oddzielającej kierowcę od pasażerów. Niemniej zerkała w swoje odbicie: oczy się świeciły, skóra błyszczała, twarz promieniała ową pierwotną radością absolutnego ukontentowania z zaspokojenia potrzeb. Było to nie tylko zaspokojenie potrzeb ciała, ale coś więcej. Sięgnęła po dłoń Dunna. Zacisnął palce na jej dłoni i trzymał je tak przez kilka sekund, potem nagle zeszytywniał i cofnął rękę.

- Przepraszam - powiedział po chwili.

Zrozumiała. Instykt samozachowawczy nakazywał mu mieć obie ręce wolne. Z tego, co jej powiedział o Spaldingu, liczył się nawet ułamek sekundy. Dopóki groźba Spaldinga będzie wisiała im nad głowami, Heather nie będzie miała wielu okazji kontaktu z dłonią kochanka dłużej niż przez kilka sekund.

Nagle zaczęła z całego serca nienawidzić Spaldinga. Od lat nie odczuwała podobnie silnej nienawiści do nikogo. Nie chodziło tylko o to, że ten morderca zamierza zabić Dunna. Ta możliwość wydawała się odległą, po prostu nierealna. Jakaś abstrakcyjna koncepcja, w którą w ogóle nie należało wierzyć. Natomiast myśl, że Spalding pozbawia ją prostej przyjemności ujęcia dłoni kochanka, wywoływała w niej absolutną wściekłość. Dunn zauważył zmieniony wyraz jej twarzy.

- Co się stało? - spytał.

- Nienawidzę go!

- Kogo?

- Człowieka, który chce cię zabić. Naprawdę go nienawidzę.

Dunn delikatnie pogłaskał policzek Heather.

- Ty nie potrafisz nienawidzić - powiedział łagodnym głosem.

- Nie potrafiłabym nikogo innego, ale jego tak. A ty, Charlie? Nienawidzisz go?

Dunn zastanowił się, nim odpowiedział.

- Właściwie nie. Pogardzam nim, tak. Ale nienawidzić? Chyba nie. Ty też nie powinnaś. Gdyby nie on, nigdy byśmy się nie spotkali.

Uśmiechnęła się.

- Spotkalibyśmy się, Charlie. Tak musiało się stać. To jest podobne do spełnienia marzeń pensjonarki. Wysoki przystojny nieznajomy ocala dziewczynie życie, funduje jej wspaniałą kolację i potem okazuje się cudownym kochankiem. To wprost nieprawdopodobne, Charlie.

- Widzisz w tym poezję życia. Ja nie jestem poetą...

- To tylko ja mogę ocenić, Charlie. - Oparła mu głowę na ramieniu. Przez minutę tkwili tak w milczeniu. Wydawało się jej, że słyszy jego myśli.

- To może nie potrwać długo - mruknął.

- Popsuje nam wszystko Spalding, kiedy go spotkamy?

- Może nie powinniśmy go spotkać. Może powinnaś wrócić do domu...

- Ja miałabym wracać? Niemożliwe. Gdybym to zrobiła, nie dotarłabym do Ndugu. - Wtuliła się głębiej w jego ramię. Twarz muskały mu jej jedwabiste włosy.

- Ja nigdy z nikim nie pracowałem w parze. Zawsze sam.

- A ja nigdy nie myślałam, że pójdę do łóżka z mężczyzną, który nosi dwa pistolety. Tego nie było w marzeniu pensjonarki. Nic się nie bój, Charlie, wszystko pójdzie dobrze. Chyba ci udowodniłam w tamtym garażu, że nie jestem rozmarzoną pensjonarką. Możemy wzajemnie się osłaniać.

Ciekawe, czy byłaby tego taka pewna, gdyby знаła jego decyzję. Ale nie czas teraz jej o tym mówić. Nawet Barringerowi nic nie wspomniał. Powróciła dawna myśl: czy ona pracuje dla Barringera? Cały jej życiorys mógł być stworzony przez CIA. Instynkt mówił mu, że tak chyba nie jest. Zawsze ufał swemu instynktowi. Instynkt instynktem, ale lepsza jest pewność. Czy może być pewny, że Heather to Heather?

W tej grze są niewzruszone zasady, których należy bezwzględnie przestrzegać.

Od lat żył według tych zasad, nigdy ich nie łamiąc.

Czego ona nie musi wiedzieć, tego jej nie powie. Po co ryzykować?

- Ty też jesteś nieprawdopodobna - mruknął, nawiązując do określenia przez nią ich związku.

Zrozumiała to jako przyznanie się do winy, ale jakiej?

- Nic się nie martw, Charlie. Nie zakochałam się w tobie. - Powiedziała to pewnym siebie głosem, ale gdzieś tam kołatała się niepewność. Serce nie było przekonane o prawdziwości wypowiedzianych słów. Z drugiej strony byłoby dowodem całkowitej niedojrzałości pomylić reakcję na wczorajsze wydarzenia, w formie nocnych cielesnych doznań, z prawdziwą miłością.

Ruch na wielopasmowej autostradzie na lotnisko odbywał się płynnie, bez zakłóceń. Brakowało kilku minut do jedenastej, gdy wysiedli przed terminalem. Zaczęło właśnie śniżyć.

- Bardzo się cieszę na Ateny - powiedziała, gdy weszli do wysoko sklepionego holu odpraw. Kiedy ją jednak poprowadził prosto do stanowiska skandynawskich linii, zrozumiała, że tym razem z Aten nic nie wyjdzie.

- Zmiana planów, Charlie? - spytała.

- W grudniu w Atenach jest paskudna pogoda - odparł.

Nie pytała więcej, za co był jej bardzo wdzięczny.

W południe wsiedli na pokład samolotu SAS, rejs 552. Po godzinie i pięćdziesięciu minutach ich *DC-9* wylądował na pasie nowego lotniska Landvetter koło Goteborgu, jednego z większych szwedzkich portów i miasta, w którym powstają samochody Volvo oraz aparaty fotograficzne Hasselblad.

Temperatura wynosiła minus czternaście stopni. Niewielkie pagórki po obu stronach szosy numer 40. którą taksówka wiozła ich do siedemnastowiecznego miasta, pokrywał śnieg.

Do stacji kolejowej dotarli na tyle wcześnie, że zdążyli wsiąść do odchodzącego o 15.25 pociągu jadącego na wschód. Przez pierwsze dwie godziny podróży przez nieco mroczne i pępne popołudnie Heather James opowiadała o latach spędzonych wśród plemienia Noro w dżunglach Twanzi. Mówiła o Alfredzie Ndugu i innych „braciach”, którzy obecnie zajmowali wysokie stanowiska w rządzie młodego państwa. Opisywała polowania i myśliwych, pasterzy, obyczaje i klimat.

- W Twanzi jest teraz lato - poinformowała z wielkim żalem, spoglądając na zimowy szwedzki krajobraz.

- Jeszcze zdążymy - pocieszył ją Dunn.

Westchnęła. Bardzo chciałyby wiedzieć, co będzie robić tutaj, zamiast być w Atenach czy Afryce, ale postanowiła nie zadawać na ten temat żadnych pytań. Dunn należał do ludzi, którzy udzielają informacji tylko wtedy, kiedy jest to konieczne. Niewiele wiedziała o Dunnie, ale to jedno już pojęła.

- Masz dzieci? - spytała.

- Chcesz wiedzieć, czy jestem żonaty? - jego głos zabrzmiał głucho.
- Nie zamierzałam wnikać w twoje...
- Byłem żonaty przez trzy lata - przerwał jej.
- Jeśli sprawia ci przykrość mówienie o tym, Charlie...
- Nie ma o czym mówić. Dzieci nie mam. A ją zabiła bomba. Przez pomyłkę. Była przeznaczona dla mnie.
- O mój Boże! Jakże mi przykro.
- To zdarzyło się przed czternastu laty... W przyszłym miesiącu minie czternaście lat. Na imię miała Anna.
- Naprawdę jest mi okropnie przykro - powtórzyła. - Przepraszam, że poruszyłam ten temat.
- A ja nie powinienem ci tego mówić. To zdarzyło się tak dawno temu. - Na chwilę wszystko odżyło w jego pamięci. Wzdrygnął się. Patrzył na Heather James, ale oczami wyobraźni widział płonące szczątki samochodu i zakrwawione ciało na ulicy tuż obok. Obraz był niezwykle wyrazisty. Zamrugał parę razy i obraz zniknął.
- Porozmawiajmy lepiej o Sztokholmie - zaproponował. - Siedemnastowieczne miasto. Wielka jego część leży na wyspach pełnych kanałów, mostów i parków. Ładne w lecie, ale paskudne o tej porze roku. Dużo mrozu. Grudzień jest tu bardzo przykry. Można spodziewać się jeszcze więcej śniegu. Dobre hotele i siedem McDonaldów dla amatorów szybkiej obsługi.
- Żartujesz?
- Nie żartuję. Jest też sporo restauracji z prawdziwego zdarzenia. Mają doskonałe ryby i owoce morza. Dobre piwo. Są dumni ze swojej akwawity, ale ja osobiście wolę norweską wódkę Linie, wożoną tam i z powrotem w beczkach do Australii. Podobno kołysanie na morzu zapewnia jej lepsze dojrzewanie. Mają tu też sporo pijaków, piękne szkło zastawowe i porcelanę oraz niesłychanie pobożny rząd, który od czasów wojny wietnamskiej nie ufa Stanom Zjednoczonym.
Zauważył, że się skrzywiła.
- Widzę, że także nie należysz do zbyt ufnych - zauważył obojętnie. - To zresztą nie ma dla nas większego znaczenia. Ciebie interesuje wyłącznie sprawa utrzymania przy życiu Alfreda Ndugu. Mnie chodzi o to samo w odniesieniu do Charlesa J. Dunna.
Wyjął z kieszeni małą fotografię i pokazał jej.
- On może nam pomóc. Może nie świadomie, ale na swój sposób przyczyni się sprawie - powiedział z kwaśnym humorem.
Przyglądała się siwej głowie na zdjęciu. Mężczyzna pięćdziesięciokilkuletni, o surowych rysach twarzy.

- Nazywa się Morelius. Pułkownik szwedzkiej armii. Do wiosny tego roku. Od siedmiu miesięcy już nie.

- Co teraz robi?

- Ukrywa się. Jest chodzącą tarczą celowniczą. Najbliższa ofiara Spaldinga, jeśli dobrze to wywnioskowałem. Nie będę cię męczył szczegółami i powiem ci tylko, że pułkownik Morelius zrobił głupców z ludzi, którzy nie mają za grosz poczucia humoru. Paru już chyba poznałaś.

- W tym londyńskim garażu?

- Tak, z tej samej paczki. Założę się, że Barringer nic ci nie wspomniał o Sztokholmie.

- Nie.

- Nie chciał cię niepokoić. Ale nie ma powodu do zmartwienia i niepokoju. Mam przecież tylko znaleźć jednego człowieka, który ukrywa się w półtoramilionowym mieście, i mam to zrobić, nim dopadnie go Victor Spalding i sfera agentów różnych służb wywiadowczych Rosji.

- A wiesz, gdzie go szukać?

- Nie. A gdybym spytał Szwedów, toby mi też nie powiedzieli. Ci szlachetni rycerze neutralności nie będą kolaborować z ohydą CIA.

- A czy nie powinienes ostrzec Szwedów, że Spalding poluje na tego Moreliusia?

- Nie mam pewności, że Spalding tu jest - odparł Dunn. - A poza tym byliby oburzeni, że mieszam się w ich wewnętrzne sprawy.

- Przecież Morelius może zostać zamordowany!

- To nikogo nie obchodzi. Oprócz Moreliusia oczywiście. Rosjan też właściwie nie obchodzi. Chcą dać tylko sygnał, że nie lubią, gdy im się robi kawały. Stanów Zjednoczonych Morelius także nic nie obchodzi.

- A ciebie, Charlie?

- Ja nie odpowiadam za jego bezpieczeństwo. To zadanie szwedzkiego rządu, który po siedmiu miesiącach ma już pewno tego dość.

- I nic dla niego nie zrobisz?

- Zrobię bardzo dużo. Znajdę go... Będę nad nim czuwał... a raczej pilnował... A kiedy zjawi się Spalding, żeby go załatwić, zajmę się Spaldingiem.

A może ona miała jednak prawo wiedzieć? Chyba nie pracuje dla Rosjan, skoro ocalała mu życie. Zresztą nie ma w tym wypadku znaczenia, czy pracuje dla Barringera.

- I kiedy się nim zajmę, zrobi się niebezpiecznie - dokończył poprzednią myśl.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz musiał go...? - Nie mogła wypowiedzieć tego słowa, nie chciała dopuścić do siebie myśli, że jej kochanek będzie zabijał. - Pułkownik Willoughby powiedział mi, że ty zawsze podejmujesz właściwą decyzję. Wierzę mu.

Dunn pochylił się nad nią.

- Nie mam zamiaru zabijać.

Zdumiona otworzyła szeroko oczy.

- W Vermont miałem wiele czasu na myślenie. Kiedy siedziałem sam w tym małym domku, trzęsąc się i wspominając, postanowiłem, że już nigdy nikogo nie zabiję. Problem polega na tym, że Victor będzie zabijał. Taką już ma naturę. Będzie zabijał bez zastanowienia. I dlatego chcę, żebyś wracała do domu.

Energicznie pokręciła głową. - Zdecydowanie nie!

- Barringer tego nie wiedział, kiedy cię namawiał do wyjazdu ze mną. Nic mu nie powiedziałem o moim postanowieniu. Pomyślałby, że naprawdę zwariowałem.

Oczy błyszczały jej z podniecenia.

- Uznałabym, że zwariowałaś, gdybym podejrzewała, że wierzysz, iż mogłabym cię teraz zostawić - oświadczyła stanowczo.

- Niczego nie rozumiesz. Tym razem nie mam żadnego wsparcia. Jestem sam, odsłonięty...

- Minionej nocy stwierdziłam, że bardzo mi się podobasz, kiedy jesteś odsłonięty... A jeśli idzie o wsparcie, to przecież je masz, wcale nie jesteś sam. Twoim ochroniarzem jest kobieta z plemienia Noro. - Pocałowała go mocno.

- A to w jakiej intencji? - spytał.

- Podziękowanie za to, że nie będziesz nikogo zabijał.

Znowu go pocałowała. Tulił ją chyba z pół minuty. Gdy odsunął się, powiedział:

- Już dobrze. Oboje jesteśmy cudowni i wspaniali, ale pomnikowego bohatera ze mnie nie rób. Nie jestem bohaterem i nigdy nie byłem. Nawet nie wiem, czy bohaterstwo to nie wymysł romantyków.

Schował do kieszeni fotografię Moreliusia i położył dłonie na ramionach dziewczyny.

- Lubię cię, Heather. Powinnaś wiedzieć, że wkrótce zrobi się bardzo gorąco i będzie gorzej niż w Londynie. Wracaj do domu!

- Nie mogę cię zostawić samego, Charlie, i nie śmieję się z tego.

- Nie mam zamiaru się śmiać.

Powiedzieli sobie wszystko, co było do powiedzenia. Charlie miał wiele spraw do przemyślenia. W Waszyngtonie zapoznał się ze sztokholmską aferą. Sześć razy przeczytał opracowanie CIA na temat sprawy Moreliusza. Teraz wywoływał z pamięci poszczególne fragmenty i analizował je. O 19.15 zobaczyli światła Sztokholmu. Dziesięć minut później pociąg zatrzymał się na centralnym dworcu.

Stary budynek dworcowy z kamienia mógł raczej dziwić w mieście sławnym z nowoczesnej architektury. W każdym razie nie był reprezentatywny, stanowiąc przygnębiający relikw z epoki przed drugą wojną światową - pozbawiony nawet wątpliwego wdzięku owego okresu i nieprawdopodobnie wysoko sklepiony. Ani dworzec, ani jego użytkownicy - o tej porze przeważnie młodzież - nie mieli tej elegancji i polotu międzynarodowych portów lotniczych, których Dunn rozmyślnie w czasie tej podróży starannie unikał. Zatrzymał się w dworcowej hali, by kupić „International Herald Tribune”.

- Zostajemy tu - powiedział, wychodząc przed dworzec i wskazując hotel „Terminus”, odległy o niespełna sto metrów, po drugiej stronie zatłoczonej Vasagatan. Za skromną fasadą hotelową znajdowało się sto szesnaście raczej małych, ale dość komfortowych pokoi. Tego rodzaju przybytek wybierają przeważnie wędrujący po świecie specjaliści branży inżynierskiej i japońscy delegaci na konferencje związane z ochroną środowiska.

Gdy tylko Dunn i Heather - państwo William L. Frost, jak utrzymywały ich kanadyjskie paszporty - zostali sami w pokoju 502, Dunn zabrał się do przeglądania gazety. Szybko przeleciał wzrokiem długi opis strzelaniny na londyńskiej ulicy, umieszczony na pierwszej stronie, i przeszedł do ogłoszeń. Te czytał z większą uwagą. Nie było kodowanej wiadomości od Barringera.

- Ubrania możemy porozwieszać później - powiedział.

- Później niż co? - spytała.

Wziął ją w ramiona. Po pewnym czasie Heather odstąpiła o krok i uśmiechając się stwierdziła: - Może być nawet dużo później. - Zaczęła rozpinać bluzkę.

Za kwadrans dziewiąta zdecydowali się wstać. On zrobił to pierwszy, ona, przeciągając się z zadowoleniem, obserwowała, jak Dunn sięga po walizkę.

- Wyglądasz wspaniale nago, Charlie - mruknęła. - I jesteś całkiem miły w dotyku.

- Ty też. Wstawaj.

Prowokująco poruszyła biodrami.

- Zdecydowanie tak - zgodził się. - Ale nie teraz. Pupa do góry, panienko. Jazda!

Raz jeszcze próbowała go skusić, ale odwrócił wzrok. Pokazała język jego plecemu i usiadła na łóżku.

Rozpakowali walizki, porozkładali i porozwieszali rzeczy, umyli się i po dziewiątej wyszli z hotelu. Noc była zimna i wietrzna, na jezdniach panował duży ruch. Dunn przeprowadził Heather między samochodami na drugą stronę ulicy, gdzie przez dworcem znajdował się postój taksówek. Zanim wsiadła, zdążyła już przemarnąć.

- „Diana”. Brunnsgrand dwa - powiedział taksówkarzowi.

- Widzę, że wszędzie masz jakąś kobietę - zażartowała.

- Diana będzie ci się podobała - zapewnił ją.

I miał rację. „Diana” była znakomitą restauracją w siedemnastowiecznym budynku na Brunnsgrand, krótkiej wąskiej uliczce w Gamla Sta'n, sławnej najstarszej dzielnicy Sztokholmu. Stare miasto zachowało niemal średniowieczny charakter, a jednocześnie tętniło życiem. W niezliczonych małych sklepikach sprzedawano wszystko, czego dusza zapagnie. Podobnie jak nowojorską Greenwich Village, Gamla Sta'n zamieszkiwali znani pisarze i malarze, a ostatnio coraz więcej tuzów przemysłu reklamowego. Od lat była to bodaj najmodniejsza dzielnica stolicy i jedna z najdroższych.

Zaspokoiwszy głód i pragnienie, Dunn i Heather opuścili lokal o wpół do jedenastej. Uliczka była pusta, żadnej taksówki ani innego samochodu. W mroźnym powietrzu unosiła się lekka mgiełka.

- Przejdziemy się - powiedział Dunn i zanim mogła coś odpowiedzieć, skręcił w prawo. Doszli do skrzyżowania z główną ulicą starego miasta - krętą Osterlanggatan. Panował na niej spory ruch. W każdym niemal budynku znajdowała się restauracja lub kawiarnia. Mimo późnej pory lokale były otwarte. Dunn zaczął jej opowiadać o początkach starego miasta, ale Heather miała nieodparte wrażenie, że myślami tkwi w terażniejszości. Z uwagą przyglądał się niektórym budynkom, wąskim przejściom między domami i skrzyżowaniom.

- Jesteś wspaniałym przewodnikiem, Charlie, ale coś mi się wydaje, że nasz spacer przez historię ma wiele wspólnego z pewną sprawą...

- Nigdy nie należy lekceważyć tego, co podpowiada instynkt mruknął w odpowiedzi.

- On tu mieszka?

- Tu mieszka ktoś, kto może wiedzieć, gdzie on się ukrywa. Kobieta, z którą chciałbym porozmawiać. I nie rób takiej miny. Jestem nią zainteresowany wyłącznie profesjonalnie.

- Skoro jesteś tego pewien...

- Jestem pewien. Ona mieszka za swoim psychiatrą. Szwecja to kraj bardzo liberalnych i postępowych obyczajów. Aa, patrz! Zamek królewski.

Był to potężnych rozmiarów budynek w stylu włoskiego baroku końca siedemnastego wieku. Dunn gdzieś o tym czytał, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, czy zamek ma pięćset czy sześćset pokoi. W każdym razie zajmował cały kwadrat terenu między czterema ulicami.

- A ta kobieta, Charlie? - spytała Heather.

- Co ta kobieta?

- Czy ona ci powie?

Dunn zastanowił się, gdy przechodzili na drugą stronę ulicy, oddalając się od zamku.

- Na imię ma Kerstin, dwadzieścia cztery lata i nie ma najmniejszego powodu, by mi zaufać. Nie zna mnie, a poza tym jestem cudzoziemcem i to w dodatku Amerykaninem. Dlaczegoż miałyby ufać nieznanemu Amerykaninowi?

- Masz jakiś plan, Charlie?

- Dwa - zapewnił ją i lekko ścisnął za ramię. Szli wzdłuż kanału z jednej strony i zamkowej ściany z drugiej. Minęli straż przy zamkowej bramie i skręcili na mostek nad kanałem. Ujrzeni gazowe pochodnie, zdobiące wejście do hotelu „Grand” o dwieście metrów dalej. Był to chyba najbardziej elegancki hotel Sztokholmu. Wzdłuż chodnika zawsze czekały taksówki.

Tu mógł zatrzymać się Spalding, pomyślał Dunn, przechodząc po minucie wzdłuż sznura taksówek. Ten bydlak może nawet w tej chwili przebywa w którymś z pokoi.

Dunn się mylił. Spalding przebywał o cztery przecznice dalej.

Victor Spalding był w doskonałym humorze, idąc w zimnie wieczoru do „Chat Noir”, najdroższego sztokholmskiego klubu nocnego. Do tej chwili wieczór spełnił pokładane w nim nadzieje. Parokrotnie przemierzył trasę planowanej drogi ucieczki, spenetrował całą okolicę, by wypatrzeć jakieś ślady ewentualnego dozoru, a przed pół godziną wyjął taśmę z magnetofonu podłączonego do linii aparatu telefonicznego Kerstin Morelius. Wszystko było w najlepszym porządku. Taśma obwieściła, gdzie i kiedy nastąpi spotkanie ojca i córki.

Teraz mógł się odprężyć. Czekwały go erotyczne emocje w sławnym „Chat Noir”. Nie przewidywał jednak pozostania na czterdziestu pięciu aktach miłości przedstawianych przez „wysokiej klasy artystów z całego świata prezentujących swe umiejętności w atmosferze luksusu”. Choć zgrabne młode kobiety i muskularni mężczyźni byli perfekcyjnie dobrani, a ich miłosne igraszki wykazywały wielką pomysłowość, to jednak oglądanie non stop przez sześć godzin scen erotycznych było lekką przesadą.

Spryciarze, którzy wystawiali ten spektakl cielesnych wybryków, usiłowali okraścić poszczególne numery szczyptami humoru, który Spaldinga w najmniejszym stopniu nie rozśmieszał, natomiast siedzący na sali niemieccy biznesmeni i oficerowie z brazylijskiego frachtowca pokładali się ze śmiechu. Spaldingowi podobały się popisy lesbijskie. Uznał także, że niezłe były akty seksu oralnego. Wspinała też prezentowały się kostiumy. Dyrekcja „Chat Noir” nie skąpiła na detalach.

Morderca spędził już osiemnaście minut i wydał czterdzieści dziewięć dolarów w gęstym od dymu lokalu, kiedy zaczęła ogarniać go nuda. Dochodziła dwunasta. Wyszedł na prawie pustą Dobelsgatan. Odetchnął z rozkoszą zimnym świeżym powietrzem i wreszcie mógł jaśniej myśleć. Chwilowo jeszcze o oglądanym spektaklu. Bardzo mu się podobała Turczynka, która niesłychanie pomysłowo uprawiała miłość sama ze sobą. Rozejrzał się i ruszył w kierunku hotelu.

- Harry! Kochany Harry! - usłyszał za sobą.

Pamiętał, że podczas poprzedniej wizyty w Sztokholmie odgrywał rolę Australijczyka imieniem Harry Meadmore. Odwracając się, usiłował rozpoznać, do kogo może należeć ten głos.

- Jestem Greta - przypomniała mu stojąca w bramie szczupła blondynka. - Pewno spektakl cię rozgrzał i jesteście gotów do zabawy...

Greta Blom i jej siostra bliźniaczka byłyowymi szesnastoletnimi prostytutkami, z których usług korzystał poprzednim razem. Ale tym razem nie chciał ich spotykać. Mogły zapamiętać jego obecność w stolicy i coś komuś niepotrzebnie powiedzieć. Za porcją kokainy albo zastrzyk heroiny były gotowe wszystko każdemu wypaplać.

A poza tym: co one robią na starym mieście?

- Jestem gotów - odparł podjąwszy decyzję i mając już gotowy plan.

- Ja także - powiedziała dziewczyna. - Masz szczęście, Harry, że Ulla i ja przeniosłyśmy się w ubiegłym tygodniu w tę okolicę. Tam policja zaczęła nam deptać po piętach, więc znalazłyśmy sobie nową metę. Za najbliższym skrzyżowaniem. Będzie ci się bardzo podobało, Harry.

Tej okoliczności jego plan nie przewidywał. Spalding się zawahał.

- Chodź, Harry. Wiem, co lubisz i czego ci trzeba. Greta trochę ci ochłodzi, a kiedy wróci Ulla, będziemy mogli pobawić się w trójkę. Tak, jak będziesz chciał...

To mu nawet odpowiadało. Uśmiechnął się na myśl o ty, co go czeka, i skinął głową na znak zgody. Podniósł kołnierz płaszcza i kaszmirowym szalikiem zasłonił dolną część twarzy.

Greta pomyślała sobie, że ci biznesmeni z zagranicy są okropnie śmieszni. Nie chcą, żeby ich ktoś zobaczył z prostytutką. Mają jakieś staroświeckie poczucie winy, a to przecież chodzi o zwykłą i całkowicie normalną transakcję. Takim ludziom trzeba służyć wsparciem. Tchnąć w nich pewność siebie. Greta umiała to robić. Ujęła Spaldinga pod ramię opowiadając, jaka to jest szczęśliwa spotkawszy go ponownie, i zaprowadziła do starego budynku zaledwie o sto metrów dalej.

Mieszkała na pierwszym piętrze od tyłu domu. Otwierając drzwi nuciła nieznaną mu melodię. Perspektywa wysokiego honorarium wprowadziła ją w doskonały humor. Człowiek, którego знаła jako Harry'ego Meadmore, wiele wymagał, ale nie targował się i po spełnieniu jego wszystkich zachcianek hojną ręką jeszcze trochę sypanął. Przy odrobinie szczęścia zgarnął dziś z siostrą jakieś sto, a może i nawet dwieście dolarów.

Przypominając sobie, co lubi Harry Meadmore, Greta rozbierała się powoli. Zajął jej to kilka minut. Potem zaczęła pieścić swe piersi i uda oraz wyginać się zmysłowo, wydając piski imitujące podniecenie. Sądziła, że Harry będzie zachwycony.

- Chcesz mnie od razu związać? - spytała, oblizując wargi.

W odpowiedzi otrzymała aprobujący uśmiech. Z szufladki nocnego stolika wyjęła sznury i udawała, że jest okropnie przerażona, gdy wiązał jej ręce i nogi. Następnie zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Oczekiwała, że ściągnie pasek od spodni i zacznie ją bić.

Tym razem tego nie zrobił.

Była bardzo zdziwiona, gdy nagle powiedział, że musi iść na chwilę do łazienki. Była jeszcze bardziej zaskoczona słysząc długo lejącą się wodę. Co on tam wyrabia? I dlaczego wraca do sypialni z niebieską ścierką?

- Harry?

Nie zdołała powiedzieć nic więcej, ponieważ wpakował jej do ust zwiniętą w kulę szmatę. Zaczęła się dusić. Krztusiła się i wyrwała spazmatycznie, wyginając całe ciało w łuk, ale Spalding mocno ją przytrzymał. Nie potrafiła się wyrwać, nie mogła wypluć dławiącej ją ścierki. Z jej oczu wzywał paniczny strach, a z gardła dobywały się chrapliwe jęki.

Obojętny, podniósł ją bez najmniejszego trudu. Ludzkie cierpienia nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Raczej sprawiały przyjemność. Gdy niósł ją do łazienki, kopała i wywijala się.

Słyszała coraz wyraźniej lejącą do wanny wodę. Poraziła ją straszna myśl, w ustach metaliczny smak śmiertelnego lęku.

Nie! Usiłowała protestować, błagać. Próbowала sobie tłumaczyć, że to jest jedna z jego chorych zabaw, że chce ją tylko postraszyć. Ale sama w to nie wierzyła. Skurczyła się, podwinęła nogi myśląc, że uda się jej rozprężyć i wyrwać. Opanowała ją histeria i zwierzęcy instynkt samozachowawczy.

- Uspokój się, Greto - powiedział głosem znużonego kaprysmi córki rodzica.

Zdążyła wydać jeszcze jeden jęk, nim wpakował jej głowę pod letnią wodę na dnie wanny. Niedużo było tej wody, najwyżej z dwadzieścia centymetrów. Dusząc się mokrą szmatą jeszcze walczyła i łkała. Jedną ręką trzymał jej głowę pod wodą, drugą obmacywał boki.

- Puść banieczki, Greto - powiedział wesoło.

Bawiła go jej agonია. Oddychała teraz w wodzie, krztusząc się i prychnając. Paraliżował ją paniczny strach, gorzkie wymioty wzbierały jej w gardle. Wiedziała, że to koniec.

Za włosy wyjął jej twarz spod wody i wysoko podniósł głowę.

- Nie płacz, Greto. Zrozum, że nie mam do ciebie najmniejszej urazy. Nie o to chodzi. Czy mnie rozumiesz?

Z martwym spojrzeniem, z mdłościami, ledwo przytomna skinęła głową. Żył! Przestał ją topić! I to było najważniejsze.

- Bardzo się cieszę, że to zrozumiałaś. Do widzenia, Greto!

Te słowa poraziły ją jak uderzenie obuchem. Zdołała tylko szeroko otworzyć oczy. Prawie się nie opierała, kiedy ponownie wpakował jej głowę pod wodę. Nie miała siły walczyć dalej. Wyczerpała wszystkie fizyczne i emocjonalne rezerwy.

Pokazały się banieczki powietrza. Na bardzo krótko.

Skończone.

Spalding zakręcił krany. Spojrzał na ciało w wannie i w wodzie dostrzegł żółtą plamę. W śmiertelnym spazmie straciła kontrolę nad pęcherzem.

- Bardzo niesmaczne - powiedział głośno, wycierając ręce w ręcznik, którym następnie starł odciski palców z obu kranów. Gdy skończył, złożył porządnie ręcznik i powiesił na drewnianym pręcie. Wrócił do sypialni, odwinął rękawy i z powrotem zapiął mankiety. Włożył marynarkę i ruszył do wieszaka, na którym pozostawił płaszcz.- Po drodze spojrzął w ścienne lustro i zauważył, że jest trochę rozczochrany. Wyjął grzebień i zaczął starannie przyczesywać włosy. Właśnie skończył, kiedy usłyszał obracanie klucza w zamku.

Z pewnością wraca siostra. Sama czy z klientem? Otworzył zapięcie kabury pod pachą i czekał.

- Jesteś w domu, Greto? Udało mi się dostać pierwszorzędny towar! - zawołała Ulla od drzwi.

Była sama.

Pójdzie łatwo!

Spalding wyszedł do przodu parę kroków. Ulla rozpoznała Australijczyka, który tak dobrze płacił za igraszki we troje, ale nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Będzie musiała udawać, że go bardzo dobrze pamięta.

- Jakże miło cię widzieć, kochanie! Wróciłeś trochę poszaleć?

- Właśnie, właśnie! - odpowiedział lekko.

Ulla pomyślała, że Greta spotkała go na ulicy. I pewno byli już w łóżku. Mężczyzna miał na twarzy wyraz głębokiego zadowolenia.

- Nawet nie poczekałście na mnie? - spytała zalotnie.

- Niestety nie mogłem czekać - odparł.

Chrząknięciem poinformowała, że w pełni rozumie. Przyszło jej do głowy, że mogłaby mu odsprzedać trochę dopiero co kupionej kokainy. Oczywiście za podwójną cenę.

- Gdzie jest Greta? - zastanowiła się głośno.

Znacząco mrugnął wskazując sypialnię. Ruszyła w jej kierunku, Spalding o krok za nią. Uznał, że użycie skalpela byłoby błędem. Zbyt wielu wiedziało, że to jego ulubiona metoda. Nie chciał zostawiać wizytówki.

- Lilla! - odezwał się.

Stanąła. Nim zdołała się obrócić, przetrącił jej kark jednym ciosem karate. Ulla Blom nie żyła, zanim padła na podłogę. Nogą obrócił ciało na plecy. Przykląkł, by sprawdzić puls. Nie znalazł go. Oczy miała otwarte, jakby zdziwione.

- Do widzenia, Ullo! - mruknął.

Włożył płaszcz i opuścił mieszkanie, usuwając odciski palców z klamki. Szedł szybko w zimnym mroku nocy, a rozgrzewała go myśl, że Morelius będzie wkrótce jeszcze zimniejszy w chłodzonej szufladzie kostnicy. Za osiemnaście godzin pułkownik będzie równie martwy jak te dwie glupie prostytutki.

I kolejne dwieście tysięcy dolarów trafi na konto bankowe. Na myśl o sukcesie serce zaczęło mu mocniej bić. Jakże wspaniała i podniecająca była perspektywa ponownego pokonania ich wszystkich!

Nikt nie powstrzyma Victora Spaldinga! Wszyscy są głupcami - nawet ci, którzy potrzebują jego fachowych i kosztownych usług. On nie potrzebował nikogo. Mieszkał nigdzie i wszędzie. Nie miał nikogo, kogo by kochał. Nie miał z nikim żadnych powiązań i układów, które by zagrażały jego bezpieczeństwu. Nawet swoje konto w Szwajcarii przenoślił z banku do banku dwa razy do roku. Mając dwanaście paszportów i prawie dwa miliony dolarów, mógł podróżować wszędzie i sprawiać sobie każdą przyjemność, jakiej tylko zapragnął.

Dunn jest prawdopodobnie w drodze do Sztokholmu. Niech sobie przyjeżdża. Kolejny sukces może nawet wywołać wojnę. Wchodząc do hotelu Spalding poczuł przypływ dumy.

Dzięki niemu wybuchnie wojna!

To byłoby wspaniałe.

Uśmiechał się do siebie jeszcze po dziesięciu minutach, gdy zgasił światło i zamknął oczy. Przez kilka sekund wspominał jeszcze spektakl w „Chat Noir”. Potem ziewnął i prawie natychmiast zapadł w ośmiogodzinny odprężający sen. Zresztą tak jak zawsze przed lub po zabiciu kogoś. Chyba było logiczne, że spał spokojnie, odprężony. Zabijanie to jego specjalność.

♦ 15 grudnia, 9.10

Odrywając wzrok od wielkich fotogramów dziewiętnastowiecznego Sztokholmu, zdobiących ściany sali restauracyjnej hotelu „Terminus”, Dunn spojrział na śniadaniowe przysmaki, jakie Heather przyniosła z bufetu: osiem plasterków czerwonego salami, góra płatków żółtego sera, jajko na twardo, masło i dżem, oraz dwa rodzaje szwedzkiego chleba.

- Zawsze tyle jesz? - spytał, gdy wychyliła drugą szklanekę soku pomarańczowego.

- Tylko wtedy, kiedy wspaniale się czuję, drogi Charlie - odparła i wzięwszy z cukiernicy trzy kostki cukru wrzuciła je do jego kawy.

- Zapamiętałaś - pochwalił.

- Obserwuję, Charlie - mruknęła zadowolona.

Oczy jej rozbłysły, gdy on z kolei pochylił się, by wrzucić dwie kostki do jej filiżanki. Też zwracał uwagę na jej przyzwyczajenia.

- Najedz się dobrze - poradził. - Wracamy na pole walki za mniej więcej dwanaście minut. Jesteśmy nieco spóźnieni. Victor miał wiele tygodni na znalezienie pułkownika i dopracowanie planów do najdrobniejszego szczegółu. Nas czeka poważne zadanie.

Kto wie, czy nie czai się na Moreliusą w tej właśnie chwili.

Między poszczególnymi kęsami podał jej kilka dalszych szczegółów na temat pułkownika i jego córki oraz kochanka-psychiatry, z którym żyła od trzech lat. Matka Kerstin zginęła w wyniku wypadku na nartach. Kerstin miała wtedy czternaście lat. Dorastała właściwie sama i to bardzo szybko, gdyż pułkownik Morelius był zawsze zajęty. Pracował w sztabie generalnym, a ponadto był trenerem wojskowej ekipy jeździeckiej. Uwielbiał konie. W dorastaniu Kerstin wydatnie pomogła inna ekipa: seksownych czterdziestolatków.

- Poszukiwała surogatu ojca? - spytała Heather.

- Być może. Psychiatra, z którym teraz żyje, jest aktywistą ruchu pacyfistycznego. Myślę, że to podświadoma chęć ukarania ojca za jego nieobecność, kiedy był potrzebny.

- Podręcznikowy przypadek.

Dunn przeczytał setki książek przez dwa lata załamania nerwowego. Nie miał nic innego do roboty. Najbardziej lubił klasyczne greckie dramaty. Zawierały wszystko, co chciałoby się wiedzieć o rodzicach i dzieciach. Dunn pomyślał o własnym ojcu, cichym i spokojnym stolarzu, który tak uwielbiał drewno. Bardzo podobały mu się kobiety typu Heather James.

Jednakże Dunn zdecydował, że przedwczesne jest rozmawianie o ojcach. Pani doktor weterynarii była bardzo porządną ładną dziewczyną, ale kto wie, czy to nie jedynie smak niebezpieczeństwa i ułuda nowego egzotycznego świata życia i śmierci rzuciły ją w ramiona Dunna. A może to była po prostu forma podziękowania za ocalenie jej życia? Spojrzał na zegarek.

- Jesteśmy spóźnieni? - spytała.

- Dowiemy się, kiedy znajdziemy się tam, gdzie mamy iść. Chcę sprawdzić dom, w którym mieszka Kerstin.

- Więc sądzisz, że ona może nam jednak pomóc?

- W pewnym sensie. Skończyłaś jeść?

- Tak.

- No to idziemy.

Zastanawiała się, co miał na myśli mówiąc, że w pewnym sensie Kerstin Morelius im pomoże.

Opuścili hotel. W niedzielny poranek ulice tej handlowej części miasta były prawie opustoszałe. Heather po raz pierwszy miała okazję oglądać w świetle dziennym szlaki wodne, kanały i mosty, które nadawały szwedzkiej stolicy specyficzny charakter morskiego miasta. Byli w połowie mostu Norrbro, kiedy zorientowała się, dokąd idą.

- Odwiedzamy stare miasto? - spytała.

- Tak, przecież wiesz, że tam mieszka Kerstin.

- A jeśli jej nie będzie w domu?

- To zupełnie nieistotne. Chodzi mi wyłącznie o plan. Nie o mój plan, ale Victora. Jeśli on tu już jest.

Przed sobą, w odległości parudziesięciu metrów, dostrzegli straż przed zamkiem królewskim.

- Chcesz poznać plan Spaldinga?

- To jedyny sposób, aby go przydybać. Ja go szkoliłem. Znam jego metody i sposób myślenia. Przy tego rodzaju operacji są pewne podstawowe kanony dotyczące pierwszej fazy, następnie dopiero pojawią się opcje.

- Opcje?

- Tak, wybór miejsca zabicia Morelius, jak to zrobić i jak umknąć. To sprawy techniczne... mało interesujące. - Dunn wyciągnął z

kieszeni szalik. - Odpowiada ci niebieski? Bo mam także beżowy, jeśli chcesz.

- O czym ty mówisz, Charlie?

- Muszę założyć, że Spalding wie o twoim istnieniu i o twoich blond włosach, droga pani doktor. Zasłonięcie włosów utrudni rozpoznanie osoby.

- I zastrzelenie?

- Właśnie.

- Może być niebieski. - Heather szczerze opatulila głowę.

- Jutro możesz założyć beżowy - zaproponował Dunn. - Zmiana wyglądu zawsze pomaga. Rutynowe zachowanie...

- Ile masz tych szalików, Charlie?

- Cztery.

Uśmiechnęła się i lekko zacisnęła palce na jego ramieniu, ale tylko na chwilę.

- Jesteś bardzo przebiegły, Charlie. Od jak dawna masz te szaliki?

- Kupiłem je na dwa dni przed opuszczeniem Waszyngtonu. Nie denerwuj się, może to wszystko jest niepotrzebne. Może Victora w ogóle nie ma w Szwecji.

Weszli w labirynt uliczek starego miasta. I tu w niedzielny poranek było niewiele przechodniów. Nawet Osterlangatan była prawie pusta. Dunn wielokrotnie zatrzymywał się przed wystawami sklepowymi, dwa razy cofnął się do drzwi restauracyjnych, żeby zajrzeć w wąskie przejście między domami. Ponieważ przez cały czas prowadził uzupełniany gestami monolog, opowiadając zresztą ciekawe rzeczy, Heather dość późno się zorientowała, że chodzi mu o sprawdzenie, czy nikt nie podąża ich śladami.

- No i co, dostrzegłeś kogoś?

- Nie dostrzegłem, ale to nie oznacza, że nikogo nie ma.

Skęcili wreszcie w wąską uliczkę i po przejściu kilkudziesięciu metrów znaleźli się przed pięciopiętrowym budynkiem z szarego kamienia.

- To tu - powiedział.

- Kerstin Morelius tu mieszka?

Zaprzeczył ruchem głowy. - Nie, dwa domy dalej. Nie możemy, ot tak po prostu, podejść pod jej kamienicę. Victor może obserwować ulicę. Albo ktoś w jego imieniu. Wchodzimy do tego domu.

Wyszli na dach. Dunn jej wytłumaczył: - Podstawowy kanon woj-skowy: należy zająć pozycję na wzgórzu panującym nad okolicą. W naszym przypadku wzgórzem jest ten dom. Najwyższy na całej ulicy.

Gdyby Spalding go obserwował, to najprawdopodobniej byłby właśnie tu.

- Najprawdopodobniej?

- Jakże mogą być absolutnie pewien, kiedy on wyprzedza nas o kilka długości? I nie mam nawet pojęcia o ile. Muszę opierać się na prawdopodobieństwie. Po prostu zakładam, co on może i co powinien zrobić w pierwszej fazie. W fazie rozpoznania.

Stąpił po dachu powoli i ostrożnie. Nie znalazł tego, czego szukał.

- No cóż, trudno - powiedział, kiedy schodzili. - Spalding w zasadzie nie pozostawia śladów. Nauczyłem go tego.

Wyszli na ulicę i przespacerowali się do kamienicy, w której mieszkał doktor Ulf Holberg z Kerstin Morelius. Przez cały czas omiatali spojrzeniami domy po obu stronach. Spokojnie weszli do holu czteropiętrowego budynku mieszkaniowego, w którym od trzech lat mieszkała córka pułkownika.

- Mamy szczęście - powiedział Dunn. Obawiał się, że drzwi będą opatrzone elektronicznym zamkiem, który wymaga wystukania cyfrowego kodu. Podobne zabezpieczenia były coraz popularniejsze w lepszych dzielnicach. Tym razem wystarczyła zwykła plastikowa karta kredytowa, żeby odciągnąć języczek konwencjonalnego zamka.

Podeszli do windy. Gdy do niej wchodzili, Dunn poinformował Heather: - Mieszka na trzecim piętrze. Apartament A.

- I tak po prostu zaskoczymy ją naszą wizytą? - Była wyraźnie zdziwiona.

- Ależ skąd. - Nacisnął guzik czwartego piętra.

Gdy opuścili windę, Dunn rozejrzał się po drzwiach prowadzących do mieszkań i zerknął na wyłożone chodnikiem schody prowadzące w dół. Przyłożył palec do ust, nakazując Heather milczenie. Nie był to odpowiedni czas na zadawanie pytań. Wskazał drzwi opatrzone tabliczką DACH. Po raz wtóry pomogła karta kredytowa.

Dziesięć stopni i byli już na dachu. Dunn obszedł go centymetr po centymetrze. Często stawał, by przyjrzeć się jakiemuś innemu budynkowi lub jakiemuś szczegółowi na dachu. Chociaż Heather była wszystkiego bardzo ciekawa, wołała o nic nie pytać.

Skończył i zszedł po schodkach do drzwi prowadzących na dach. Przykląkł i zaczął oglądać zamek. Kilka razy obrócił gałką, kilka razy przeciągnął palcem po ryglu i polizał palec. Zmarszczył czoło.

Coś zauważył, pomyślała Heather. Ale co?

Dunn widział pytanie w jej oczach, ale tylko pokręcił głową. Zamknął dachowe drzwi. Zjechali do piwnic. Kilka minut ostrożnego przeglądania zakamarków doprowadziło ich do żelaznych drzwi,

przy których karta kredytowa nie pomogła. Dunn zaklął w duchu.

Wyjął z kieszeni wieczne pióro, które po zdjęciu kapturka okazało się wyrafinowanym narzędziem włamywacza - precyzyjnym stalowym wytrychem do zamków bębenkowych. Chwilę pomajstrował przy bębunku i po czterech nieudanych próbach usłyszał w końcu ciche szczęknięcie.

Lewą ręką uchylił drzwi, w prawej trzymając pistolet. W pomieszczeniu za drzwiami panowały egipskie ciemności. Dunn przez kilka sekund pilnie nasłuchiwał, a następnie sięgnął ręką za framugę i wy-macał przełącznik. Jeśli Spalding czyha gdzieś w mroku, to otworzy ogień, gdy tylko ktoś wejdzie.

Dunn zapalił światło i przykląkł w pozycji strzeleckiej, omiatając lułą pistoletu niewielkie pomieszczenie pełne kabli, tablic rozdziel-czych i skrzynek z bezpiecznikami. Nie było w nim żywej duszy.

- Możesz wejść - przyzwolił.

Postąpiła niepewnie kilka kroków.

Lułą pistoletu wskazał jej czarne metalowe pudełko na ziemi. Para przewodów łączyła je z jednym z kabli, na którym rozcięto ołowiany pancerz.

- Dokładnie tak, jak go nauczyłem - powiedział Dunn.

- Co to jest, Charlie? - spytała.

- Magnetofon. Uruchamiany na głos. I podłączony do czyjejś linii telefonicznej.

- Kerstin Morelius?

- Można dać głowę, że tak. Wszystko zgodnie z zasadami. Wszedł przez dach i naoliwił na górze zamek, żeby móc szybko przechodzić tam i z powrotem. Zjechał na dół i podłączył magnetofon. Przychodzi co dzień, żeby sprawdzić, czy nie dzwoni papa.

- I dlatego ty do niej nie zadzwoniłeś? Podejrzewałeś, że linia jest na podsłuchu?

- Taka myśl przemknęła mi przez głowę - przyznał.

- Czy nie powinniśmy do niej pójść i o tym powiedzieć?

Wzruszył ramionami i schował broń do kabury.

- Nie możemy tego ryzykować, pani doktor. Jej mieszkanie też może być na podsłuchu. Spalding jest sumiennym zawodowcem. - Pokazał głową drzwi. - Idziemy.

- Nie odłączysz magnetofonu?

- To by go poinformowało o naszej obecności. Do tej chwili bydlak nie jest tego pewien.

Dunn spojrział na cyfrowy zegarek z kalendarzem. Wskazywał 11.06 GRU 15. Usiłował sobie przypomnieć, co specjalnego łączy się z

tą datą. Nic nie przychodziło mu do głowy. Ale był pewien, że przyjdzie.

- Idziemy na mały spacer - powiedział - I nic się nie martw. Victor pojawi się tu najprawdopodobniej dopiero po zmroku. To także rezultat pobieranych ode mnie lekcji.

Odeszli kilka ulic. Dunn zaczął wyjaśniać, jaką taktykę najprawdopodobniej zastosuje morderca.

- Wybór broni będzie podyktowany miejscem, w którym dokonane ma być zabójstwo. I z pewnością okaże się to broń bezgłośna, a w każdym razie bardzo cicha. Pułkownik może mieć jednego lub dwóch ochroniarzy. Spalding będzie może musiał ich także załatwić. - To ostatnie stwierdzenie Dunn wypowiedział zupełnie beznamyślnie.

- Zabije trzech ludzi? - oburzyła się Heather.

- Jeśli zajdzie potrzeba, zabije i dziewięciu. Oczywiście lepiej jest mieć jednego do wyeliminowania. Bezpieczniej i szybciej. Mniejsze ryzyko w sytuacji, gdy ma się tylko jedną szansę.

- Jakie to cyniczne.

- Życie jest cyniczne. Spalding będzie musiał szybko zmykać. Broń musi być niezawodna i szybka. - Dunn zerknął w zewnętrzne lusterko zaparkowanego samochodu, chcąc się upewnić, czy nie ciągną za sobą ogona. - Spalding z pewnością dokładnie opracował drogę odwrotu, trasę i czas. I co najmniej dwukrotnie ją przeszedł, i sprawdził. W zasadzie w trzy godziny po wykonaniu kontraktu powinien być już poza Szwecją. Może nawet liczy na to, że do tego czasu nie znajdą zwłok.

Głową wskazał osiemnastowieczny budynek po drugiej stronie ulicy.

- To jest „Gyldene Freden”. „Złocisty spokój”, najstarsza restauracja Sztokholmu. I ulubiony lokal naszego pułkownika.

- Bardzo dużo o nim wiesz - zauważyła Heather.

- Rosjanie wiedzą dużo więcej. Mogę się założyć, że od bardzo dawna Morelius tu nie jada - dodał, gdy skręcali ze spokojnej Osterlanggatan w tętniącą ruchem Skeppsbron.

Za nimi szła cierpliwie Azjatka. Nie podobało się jej zarówno to miasto, jak i pogoda. Jedno i drugie było jej obce. Kurcząc się w ciepłym płaszczu, szła uparcie za Dunnem i Heather zaśniewionymi ulicami, dygocząc w mrozie, który bielił wydychane powietrze. Nie miała wyboru. Otrzymała zadanie, a na specjalnym pasie zwisiała pod płaszczem dubeltówka z obciętymi lufami. Wiedziała, że kiedy nadejdzie czas, wykona swój obowiązek.

Trzymasztowy okręt wojenny był wartym obejrzenia reliktem. Doskonale zachował się po trzech i pół stuleciach pod wodami sztokholmskiej zatoki. Oglądając wrak Heather James rozumiała, dlaczego wydobyto go z morza i umieszczono w specjalnie wyodrębnionym muzeum. Nie rozumiała natomiast, po co Dunn teraz właśnie tu ją przyprowadził.

- Zbudowany z królewskiego rozkazu, by wzmocnić morską potęgę Szwecji podczas wojny trzydziestoletniej - mówiła szybko przewodniczka. - „Vasa” miał być największym i najpotężniejszym okrętem wojennym na Bałtyku. Sześćdziesiąt cztery działa, w tym dwa wielkie czterdziestofuntowe, trzy trzydziestopięćofuntowe i czterdzieści osiem standardowych dwudziestoczwierofuntowych. Okręt miał siedemdziesiąt metrów długości, dwanaście metrów szerokości, wyporność tysiąca trzystu ton. Na owe czasy był to gigant.

Musiał być jakiś powód, dla którego Dunn wybrał ten właśnie czas na wizytę w muzeum. Dunn niczego nie robił bez powodu.

- Podniesiono na nim flagę w 1625 roku - ciągnęła przewodniczka. - Zbudowany według projektu zagranicznych szkutników, wypłynął w dziewięć podróż dziesiątego sierpnia 1628 roku, zabierając na pokład stu trzydziestu trzech marynarzy i trzystu uzbrojonych żołnierzy, którzy mieli walczyć na pokładzie w wypadku abordażu.

Oślepiająco błyskały flesze. Wielu turystów, głównie Szwedów, robiło pamiątkowe fotografie. Pod wysoko sklepioną kopułą muzealnej hali powietrze było bardzo wilgotne. Przewodniczka wyjaśniła, że wilgotność pomaga konserwacji drewna, które tak długo znajdowało się pod wodą.

- „Vasa” odbił od mola w pobliżu królewskiego zamku, pod wszystkimi żaglami. W odległości trzystu metrów od brzegu nagle położył się na burtę i natychmiast zatonął. Prawie wszyscy utonęli. Nikt dokładnie nie wie, dlaczego to się stało.

- Może ci zagraniczni szkutnicy... - podsunął któryś z patriotycznie nastrojonych turystów.

- Niektórzy tak sądzą - odparła przewodniczka w okularach i zaczęła opisywać trudności związane z wydobyciem wraku z dna morskiego po 333 latach w 1961 roku.

Była dokładnie pierwsza dziesięć po południu, gdy Heather James i Dunn wyszli z muzeum na omiataną przez wiatr Djurgarden.

- To było bardzo interesujące, Charlie, ale możesz mi łaskawie powiedzieć, dlaczego spędziliśmy osiemdziesiąt pięć minut w muzeum, kiedy Victor Spalding szykuje się, by zabić pułkownika Morelius?

- Powiem ci, moja droga: ponieważ w muzeach najlepiej mi się myśli. Wcale niezły jest do tego Luwr, a Prado jest po prostu wspaniałe. Fatalne oświetlenie pomaga mi się skoncentrować. Doskonałe są też takie muzea jak archeologiczne w Atenach i w Kairze. Ekspozycje są tak niedobre, że nie pozostaje nic innego, jak rozmyślać.

Sądziła, że będzie mówił dalej, ale zamilkł.

- Ty chyba żartujesz - odezwała się.

- Mówię śmiertelnie poważnie. Z naciskiem na słowo „śmiertelnie”. A propos ludzkiej śmiertelności. Jeśli nie zawiadomimy szwedzkiego wywiadu wojskowego i Kerstin Morelius o groźącym pułkownikowi niebezpieczeństwie, to szanse Spaldinga na dopadnięcie Morelius znacznie wzrosną. Jeśli ich ostrzeżemy, to kordon ochroniarzy wokół potencjalnej ofiary może po prostu odstraszyć Spaldinga. Odłoży wtedy egzekucję na kilka tygodni lub nawet miesięcy. Jest psychopatą, ale nie samobójcą.

Skinął na przejeżdżającą taksówkę.

- Jeśli Spalding teraz się wycofa i odfrunie, to stracimy go z oczu. To by było bardzo źle. Odnalezienie Spaldinga nigdy nie jest łatwe. A przecież o niego mi właśnie chodzi.

- Dlatego, że chce i ciebie zabić?

- Teraz to już najprawdopodobniej nas oboje.

Taksówka podjechała pod krawężnik i stanęła.

- Prosty wybór. Pułkownik albo my. Tak, Charlie?

- Byłby to bardzo prosty wybór dla dawnego Charlesa Dunna - odparł. - Dawny Dunn podłączyłby mały ładunek wybuchowy do magnetofonu. Kiedy Victor pojawiłby się po nagranie rozmów, rozległby się pożegnalny salut.

- Ja wolę tego nowego Charlie'ego - obwieściła, gdy otworzył przed nią drzwi taksówki.

Rozsiedli się oboje w ciepłe wozu. Ta nagła zmiana temperatury wywołała w nich dreszczyk. Czas umyka, pomyślał Dunn. W ciągu

najbliższych paru godzin będzie musiał podjąć ostateczną decyzję, co do metody postępowania ze Spaldingiem, który może uderzyć w każdej chwili.

- Jest takie jedno prawo Dunna, które mówi, że kiedy ma się wątpliwości, trzeba coś jeść - zażartował.

Polecił kierowcy jechać do doskonałej restauracji w okazałym gmachu Królewskiej Opery.

W odległości trzech kilometrów Spalding właśnie wychodził z tak-sówki przed wielkim nowoczesnym, lecz mało interesującym architektonicznie terminalem morskim. Budynek musiał być wielki, gdyż dzień w dzień przewijały się tędy rzesze turystów i tysiące samochodów. Jednostki obsługujące bałtyckie szlaki były luksusowymi statkami, wyposażonymi w baseny kąpielowe, sauny i supermarkety wyładowane bezcłowymi papierosami, alkoholami i czekoladami. Drinki w zawsze obłożonych barach kosztowały połowę tego, co wysoko opodatkowani Szwedzi musieli płacić na lądzie. Dlatego też promy były zawsze pełne. Spaldingowi bardzo to odpowiadało.

Podszedł z walizką do kasy, zapłacił dziewięćdziesiąt siedem dolarów za kabinę do Helsinek i odprawił bagaż.

Zaraz potem, bardzo z siebie zadowolony, opuścił terminal. Minał gniew, który nim zawładnął, gdy czytał w gazecie o fiasku londyńskiego przedsięwzięcia SWR. Tu potoczy się wszystko inaczej. I to już bardzo niedługo.

Największe znaczenie dla operacji miał precyzyjny harmonogram. Właściwie wybrana chwila i odpowiednia metoda gwarantują powodzenie. Za cztery godziny Morelius będzie trupem. W dniu urodzin Kerstin Morelius. Obnoszący poczucie winy i przywiązany do tradycji pułkownik nieodmiennie każdego piętnastego grudnia zabierał córkę na kolację do „Gyldene Freden”. Przedtem pojawi się w jej mieszkaniu piętnaście po piątej, trzymając w jednej ręce prezenty, a w drugiej butelkę szampana Dom Perignon. Stolik w restauracji był zarezerwowany na siódmą. Spalding miał to wszystko nagrane na taśmie magnetofonowej.

To bardzo dobrze, że Morelius, służąc przez tyle lat w wojsku, jest człowiekiem zdyscyplinowanym i punktualnym. Opóźnienie mogłoby pokrzyżować plany Spaldinga. Policja mniejszą uwagę zwraca na terminal morski, niż na port lotniczy. Prom odpływał o szóstej i z pewnością punktualnie, gdyż Szwedzi bardzo dbają o przestrzeganie rozkładów wszelkich środków komunikacji.

Złoty Rolex Spaldinga wskazywał pierwszą dziewiętnaście.

Za trzy godziny i pięćdziesiąt sześć minut nie będzie już na tym świecie pułkownika Morelius.

I wtedy Spalding będzie mógł przystąpić do realizacji planu wyeliminowania spośród żyjących Charlie'ego Dunna.

Trzeba to koniecznie zrobić. Szybko i we właściwy sposób.

I tym razem Spalding osobiście się tym zajmie.

Dunn sprawiał wrażenie człowieka beztroskiego.

Wydawał się pochłonięty wspaniałościami sławnego „zimnego stołu” restauracji „Operakallen”: płatami różowego łososia, krewetkami i innymi przysmakami.

Wykazywał niemal autentyczne zainteresowanie propozycjami Heather, dotyczącymi sposobów, jakimi można by zapobiec dalszej rzezi wielorybów.

Jednakże w jego spojrzeniu widać było jakiś nowy wyraz - głęboko ukrywane myśli. Być może wywoływała je wewnętrzna rozterka: bić na alarm z powodu groźby, jaką stanowił Spalding, czy milczeć. Chyba rozpatrywał wszystkie za i przeciw, ważąc je na własnej skali wartości i znaczenia.

Heather nigdy nie musiała podejmować podobnych decyzji, ale rozumiała dylemat Dunna. Owszem, miewała w przeszłości przypadki, kiedy sytuacja zmuszała ją do uspienia beznadziejnie chorego zwierzęcia. Jednakże ostateczną decyzję podejmowali właściciele, a dotyczyła ona psa, kota czy ptaka. Kochała je wszystkie, to prawda, ale to zwierzęta, a nie ludzie. Teraz chodziło o człowieka w pełni sił i do tego okrutnego mordercę.

Było niemal pewne, że jakaś ludzka istota zginie.

Kto miał prawo dokonać wyboru?

Czy jest możliwy właściwy wybór?

Wszystko to wydawało się okropne i chore. Zdawała sobie sprawę, że Dunn zamierza wziąć na siebie odpowiedzialność za podjęcie decyzji, świadomie chroniąc Heather. A może wyłączył ją z procesu decyzyjnego, ponieważ uważał, że nie jest kompetentna? Jedno lub drugie. Bez względu na powody, była mu wdzięczna.

Powrócili do pokoju hotelowego za dziesięć trzecia. Śnieg znów padał. Uporczywy, choć nie tak gęsty jak poprzednio.

Zdejmując płaszcz nadal o tym wszystkim myślała. Było jej żal Dunna. Z tego, co o nim wiedziała, należał do najbardziej

opanowanych, bystrych, przebiegłych i doświadczonych agentów, jakich mogła dochować się jakakolwiek organizacja wywiadu. Bez względu na wszystko... nikt nie powinien być zmuszany do podejmowania podobnych decyzji.

Pomyślała nagle o Alfredzie Ndugu i głośno wykrzyknęła:

- O, mój Boże!

- O co chodzi?

- Uświadomiłam sobie, Charlie, że jeśli uprzedzimy Kerstin Morelius i szwedzką policję, to może ocalimy pułkownika, ale Spalding nie przestanie zabijać i będzie chciał uśmiercić z kolei...

- ...twojego plemiennego brata z Twanzi - dokończył za nią Dunn.

- Kto ma prawo decydować, czyje życie jest ważniejsze?

- Usiłuję ocalić wszystkie życia, pani doktor. Łącznie z twoim i moim... No cóż, chyba musimy zacząć od ocalenia Morelius. Skontaktuję się z córką. Aprobujesz?

Czuła się oszołomiona.

- Czy zawsze jest to takie okropne?

- To jeszcze nic. Będzie gorzej. - Podeszedł do telefonu.

Kerstin Morelius i doktor Ulf Holberg usłyszeli dzwonek telefonu, gdy wchodzili do windy.

- Jesteśmy już właściwie spóźnieni - przypomniał tonem ojcowskiej przestrogi siwiejący psychiatra. I oczywiście miał rację czyniąc tę uwagę. Jechali na ważną imprezę. W domu jednego z najbogatszych szwedzkich wydawców miało spotkać się prawie stu postępowych polityków, dziennikarzy, aktorów, dramaturgów, choreografów, przywódców związkowych i malarzy, aby opracować manifest potępiający łamanie praw człowieka w Chinach. Specjalnie przybył z Ameryki Południowej znany poeta, a przedstawiciel Palestyny miał mówić o ostatnich prowokacjach osadników żydowskich. Na zebranie przyjdzie z pewnością wielu przedstawicieli mediów, podobnie jak to było w poprzednim miesiącu z okazji wiecu przeciwko rasizmowi.

- Ten, kto dzwoni, z pewnością zadzwoni jeszcze raz później - zapewnił Holberg, zamykając drzwi windy. Po parunastu sekundach przestali słyszeć dzwonek telefonu.

Dunn bardzo długo trzymał słuchawkę przy uchu. Po minucie odłożył ją i wzruszył ramionami.

- Zadzwonię za godzinę - powiedział.

Zadzwonił za pięć czwarta. Nadal nikt nie odpowiadał. Może na weekend wyjechali na narty? Może wyszli na koncert? Doktor Holberg był znanym miłośnikiem współczesnej muzyki kameralnej.

O wpół do piątej Dunn zrobił się bardzo niespokojny. W zasadzie można było założyć, że Spalding nie zna miejsca ukrywania się pułkownika, ale to była niedziela, a Spalding lubił zabijać właśnie w niedzielę.

I na tę niedzielę Spalding miał oczywiście wytłumaczenie. Z akt personalnych dostarczonych przez Barringera wynikało, że zdaniem Spaldinga wierzący są mniej czujni w dzień ich religijnego święta. Dlatego należało zabijać muzułmanów w piątki, Żydów w soboty, a chrześcijan w niedziele. Z zawodowego punktu widzenia miało to może jakiś sens, ale Spalding nie zabijał wyłącznie dla interesu. Sta-nowiło to dla niego przyjemność.

Dunn zatelefonował raz jeszcze za pięć piąta.

Odczekał dwadzieścia sześć dzwonek.

Nikt nie odebrał.

Odłożył słuchawkę i raz jeszcze zaczął intensywnie myśleć o znaczeniu daty 15 grudnia. Może jest coś na ten temat na mikrofilmie. Wyjął i włączył kompaktowy czytnik, włożył mikrofilm i zaczął przeglądać poszczególne strony.

Nie ma żadnego odniesienia do daty, nie ma, nie ma... W mikrofilmie akt Spaldinga nie było nic na temat 15 grudnia.

A może w mikrofilmie dotyczącym pułkownika Morelius?

Mruknął, zdecydował się zmienić mikrofilm w czytniku i zaczął przeglądać materiał. Nic... nic...

Jest!

Urodziny Kerstin Morelius. To uzasadnia telefon do córki. Spalding mógł otrzymać cenną wskazówkę przesłuchując nagranie rozmowy. A jeśli wyśledził, skąd pułkownik dzwonił? A może Morelius, czując się trochę winny wobec córki i po kilku miesiącach samotnego ukrywania się, postanowił ją odwiedzić? Przecież od ponad roku nie było żadnych prób zamachu. Być może Morelius przekonał sam siebie, że SWR o nim zapomniało.

Możliwe też, że niebezpieczeństwo było tylko wytworem wyobraźni Dunna.

Istniał tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Zerwał się i podbiegł do wieszaka po płaszcz. - Masz nikomu nie otwierać. Absolutnie nikomu! - polecił.

- Pójdę z tobą, Charlie!

- Nie! Nikomu nie otwieraj, rozumiesz?

Porwał z widełek słuchawkę i otrzymawszy połączenie z recepcją, zlecił zamówienie taksówki. Rzucił słuchawkę i bez słowa wybiegł z pokoju.

Śnieg padał wielkimi płatami. Dunn czekał kilka minut, nim taksówka podjechała. Pojazdy na jezdni wlokły się. Wszyscy mieli zapalone reflektory, bo tak nakazywały przepisy. W miesiącach zimowych należało jeździć na światłach dzień i noc, nawet wtedy, gdy świeciło słońce. Opiekuńczy rząd w ten sposób usiłował chronić nieuważnych kierowców i przechodniów. Teraz było już szaro, a ponadto światła reflektorów z trudem przebijały śnieżną zasłonę.

Dunn spojrzął na zegarek.

17.08.

Kto wie, może pułkownik Morelius cieszy się w tej chwili gorącym słońcem i nową tożsamością gdzieś w Maroko albo Melbourne, umknąwszy wszelkiemu niebezpieczeństwu?

Dunn próbował racjonalnie myśleć: jego panika jest całkowicie nieuzasadniona. Tym razem instynkt go zawiódł, zaszczepiając chorobliwe wrażenie czającej się groźby, której w rzeczywistości nie było. Mimo perswadowania sobie tego wszystkiego, okropny lęk go nie opuszczał. A taksówka beznadziejnie się wlokła...

Znajdowali się teraz na moście. Cholera, przecież ten magnetofon może należeć do kogoś zupełnie innego. Nie tylko Spalding stosował taką metodę i używał podobnego sprzętu. Dunn wyciągał coraz to nowe argumenty i w przerwach zarzucał sobie, że zachowuje się jak amator.

Wreszcie zobaczył kamienicę, w której mieszkała Kerstin Morelius. Kazał kierowcy stanąć, zapłacił i pośpieszył do wejścia, potykając się o sterty śniegu. Karta kredytowa ponownie umożliwiła mu wejście do holu. Postanowił najpierw zejść do piwnicy, by zabrać z magnetofonu kasetę. Taki dowód z pewnością przekona córkę pułkownika, że nie wszystko jest w porządku. Winda stała na parterze. Zjechał w podziemie, wyciągnął z kabury pistolet i na palcach poszedł do żelaznych drzwi domowego węzła telefoniczno-elektrycznego.

17.15.

Miał już kasetę. Szybko powrócił do windy i nacisnął guzik spruwadający ją na dół. Właśnie była na czwartym piętrze i przed chwilą wyszło z niej dwóch mężczyzn. Winda zaczęła zjeżdżać.

Mężczyźni byli wysokiego wzrostu, ciepło odziani. Jak tysiące innych Szwedów o tej porze roku. Młodszy, około trzydziestki, był teższy w ramionach i czujnie rozglądał się po klatce schodowej.

Drugi, znacznie starszy, prezentował się elegancko w kaszmirowym płaszczu.

- Wszystko w porządku? - spytał pułkownik Morelius.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł sierżant Sven Svedelid.

Ze schodów za plecami obu mężczyzn schodziła tęga siwa kobieta po sześćdziesiątce. Miała na nogach gumowe kalosze, a na głowie wełnianą czapkę, która zasłoniła jej część twarzy. Szła bardzo ostrożnie i bezszelestnie. Podchodząc do mężczyzny rozwarła lewą dłoń, w której trzymała aluminiową zapalniczkę. Pułkownik Morelius wyciągał w tym momencie rękę do dzwonka przy drzwiach apartamentu A.

Spod peleryny kobiety wychynęła nagle dłoń z pistoletem. Do lufy przykręcony był tłumik. W pistolecie znajdował się magazynek z teflonowymi pociskami, które przebijały każdą kuloodporną kamizelkę.

- Przepraszam - powiedziała kobieta i zakaszła.

Obaj mężczyźni obejrzeni się. Kobieta podetknęła zapalniczkę pod nos Moreliusowi, naciskając jednocześnie wyzwalacz gazu. Półsekundowy strumień cyjanku w lotnej postaci. Morelius chwycił się za gardło, upuszczając butlę szampana, która rozbiła się z hukiem. Sierżant Svedelid sięgnął pod płaszcz po swój pistolet *Lahti M40*, otwierając jednocześnie usta, by krzyknąć. Z jego gardła nie wydobył się już żaden dźwięk.

Nie mógł, gdyż stara kobieta wpakowała sierżantowi w usta tłumik pistoletu i dwukrotnie ściągnęła spust. Ściana za głową sierżanta pokryła się krwią. Morderca pochylił się nad leżącym pułkownikiem i wtrysnął mu w nos jeszcze jedną porcję śmiertelnego gazu. W trakcie tej czynności usłyszał podjeżdżającą windę.

Spalding obrócił się na pięcie i, chowając „zapalniczkę”, popędził schodami na górę.

Dunn wyszedł z windy, zobaczył ciała i poczuł zapach gorzkich migdałów. Natychmiast go rozpoznał. Wyciągnął oba pistolety i zaczął nasłuchiwać. Otwieranie drzwi na dach! Zaczął biec na górę. I wtedy usłyszał inny odgłos. Coś toczyło się i spadało po schodach.

Coraz bliżej.

Odgadł, co to może być.

Rzucił się w dół i zaczął się staczać. Gdzieś za nim wybuchł granat zaczepny. W ułamek sekundy potem Dunn biegł z powrotem na górę. Drzwi na dach były szeroko otwarte, a na śniegu widniały świeże ślady. Dunn zawahał się wiedząc, że Spalding może tu gdzieś na niego

czatować. Padł na ziemię i parokrotnie przetoczył się po śniegu, przez cały czas trzymając oba pistolety w wyciągniętych przed siebie rękach. Wiedział, że ślady prowadzą do skraju dachu. Podszedł nisko skulony i ujrzał to, czego się spodziewał: wbity w gzyms hak i przyczepioną do niego linę. Spojrzał w dół na ulicę. Śnieg padał nieco słabiej i dzięki temu wyraźnie było widać mężczyzną w czarnym skórzanym płaszczu, pochylonego nad dużym motocyklem, którego silnik zawył właśnie w chwili, gdy Dunn zaczął się składać do strzału.

Za późno!

Ciężka maszyna z wyciem pomknęła, ginąc Dunnowi z oczu za rogiem. Zgodnie z tym, czego cię nauczyłem, Victorze, pomyślał ze złością. Schował pośpiesznie pistolety do kabur, postanawiając jak najszybciej opuścić kamienicę. Nic tu już nie mógł zrobić, a policja pojawi się za kilka minut. Charles Dunn nie miał najmniejszej ochoty spędzić następnego tygodnia na wyjaśnianiu, kim jest i dlaczego chodzi po Sztokholmie z dwoma pistoletami *P-15* kalibru 9 mm oraz co porabiał w tym budynku.

Nie miał na to nawet dnia ani godziny.

Musi znaleźć Victora Spaldinga.

Na dachu leżał strój kobiety i peruka, które morderca porzucił biegnąc do swej liny. Zrobił dokładnie to, co zalecali instruktorzy jednostek specjalnych podczas szkolenia w Fort Bragg, dotyczącego sposobów ucieczek ze stref akcji.

I oni przyczynili się do stworzenia tego potwora.

Kogoś na wzór Frankensteina. Federalnego Frankensteina.

Dunn zjechał na dół windą. Kiedy mijał trzecie piętro mignęły mu oba trupy, a nieco niżej widoczne na klatce schodowej skutki rozetrwania się granatu. Nie tylko drzwi do mieszkania Kerstin Morelius były roztrzaskane, ale i drzwi sąsiednie wisiały na jednym zawiasie. Zewsząd słychać było krzyki ludzi. Za chwilę zaroi się w holu na dole.

Udało mu się wybiec na ulicę, nim ktokolwiek się pojawił. Skręcił w prawo i wolnym krokiem doszedł do rogu, gdzie znów skręcił w prawo. Będąc teraz poza zasięgiem wzroku mieszkańców domu, w którym rozegrała się tragedia, brnął przez śnieg już znacznie szybciej.

Cyjanek w stanie lotnym.

Tylko agenci rosyjscy stosowali tę metodę. Gazu używano przy specjalnych akcjach, jak na przykład w Monachium, w przypadku tego Niemca z Urzędu Ochrony Konstytucji, który za bardzo zaangażował się w dochodzenie w sprawie przerzutu na Zachód rosyjskich

materiałów rozszczepialnych. Spalding z rozmysłem wybrał gaz, jako instrument działania. Chciał, aby wiadano, kto zapłacił za egzekucję.

Za jakieś dwadzieścia minut Szwedzi złączą szaleć. Tak, dopiero za dwadzieścia parę minut, ponieważ tyle im będzie potrzeba czasu, żeby w pełni zrozumieć, co się wydarzyło. To była tchnąca spokojem, neutralna i postępową Szwecją, w której opieka nad obywatelami zaczyna się w łonie matki, a kończy na cmentarzu. Ciekawe, czy Morelius otrzyma oficjalny pogrzeb z wojskowymi honorami, czy też cała sprawa zostanie głęboko ukryta?

Usłyszał odległy klakson: karetka pogotowia albo policja. Przyspieszył kroku, idąc Storanygatan w kierunku imponującego Riddarhuset - historycznego Domu Rycerskiego - i stojącego tuż obok budynku Sądu Najwyższego. Niedaleko za nim i nieco na lewo znajdował się most, którym mógł opuścić stare miasto i wyspę. Po drugiej stronie zmaleje prawdopodobieństwo, że ktoś go zauważy i zapamięta.

Słysząc teraz było kilka klaksonów i to coraz bliżej. Gdy wkraczał na most, minęły go dwa policyjne samochody. W zasięgu wzroku nie było ani jednej taksówki. Sztokholm nie należał do miast, w którym krążą taksówki w śnieżne niedzielne popołudnia. Czekają na wezwanie przez radio lub telefon zawieszony na pobliskim słupie na postojach, lub też gromadzą się w ruchliwych punktach.

Było bardzo zimno. Dunn czuł ukąszenia mrozu na twarzy i stopach. Spalding nie musiał teraz iść pieszo. Znajdował się o wiele kilometrów od tego miejsca. I z pewnością rozpiera go radość z powodu odniesionego sukcesu. Tę rundę wygrał. A Dunn był już tak blisko. Ale w podobnych sytuacjach „tak blisko” nie wystarcza.

Wrócił do hotelowego pokoju o 17.39. Był przemarznięty do szpiku kości i twarz miał ponurą jak noc. Podeszedł prosto do telefonu.

- Dziesięć sekund! - obwieścił czekającej niecierpliwie Heather. - Spóźniłem się o cholerne dziesięć sekund!

- A pułkownik? - spytała.

- Nie żyje - odparł i wykręcił numer hotelowej centrali.

Heather była w szoku. Czekwała na wyjaśnienia.

Gdy zgłosiła się telefonistka, kazał połączyć się z biurem rezerwacji SAS.

Heather poszła po walizkę i położyła ją na łóżku. Dokąd teraz polecą? Gdy wracała od szafy z naręczem bielizny i swetrów, usłyszała, jak Dunn pyta o najbliższy lot do Kopenhagi.

Może stamtąd udadzą się wreszcie do Twanzi?

I co teraz będzie z Alfredem Ndugu?

Przez kilka sekund zastanawiała się nad odpowiedzią na te pytania, a potem wróciła do pakowania.

Opuścili hotel „Terminus” o 17.58. Prom do Helsinek miał odpłynąć dwie minuty później. I odpłynął.

Wiadomość od wtyczki dotarła do centrali SWR po południu dwudziestego. Pierwsze cztery akapity zawierały informację, która ucieszyła generała Temko. Dopiero piąty poważnie go zaniepokoił. Zaklął, spiorunował wzrokiem pułkownika i odrzucił ze złością tekst depeszy.

- Czytaliście to? - spytał.

- Tak jest, panie generale.

- Powinniśmy byli zostawić tego pieprzonego Dunna w spokoju. Został popełniony kretyński błąd.

Cała ta bzdurna operacja jest poważnym błędem, pomyślał Temko. Nigdy by tego nie wypowiedział głośno. Nie w tym budynku. Pomyśl zrodził się w głowie szefa SWR, bezlitosnego i dogmatycznego człowieka, który nie tolerował żadnych sprzeciwów. Był jednym z ostatnich przedstawicieli „starej gwardii” - fanatyków przesiąkniętych różnymi urazami. Misja, za której wykonanie płacono Spaldingowi pół miliona dolarów, zrodziła się z osobistej nienawiści, a ta wywołała z kolei chęć zemsty.

Dunn nie powróciłby nigdy do czynnej służby, gdybyśmy nie wysłali tych idiotów do Vermont, ciągnął swą myśl generał.

- Spalding myśli... - zaczął pułkownik.

- Spalding jest stuknięty. Ma obsesję na temat Dunna. Powiedziałem Spaldingowi, żeby nie budził licha, ale on musiał potrząsnąć go za ramię.

- Bardzo jest trudne porozumienie z niezdyscyplinowanymi Amerykanami - zauważył pułkownik Połuczasznyj.

- Życie jest ciężkie, ale śmierć jeszcze cięższa - sentencjonalnie powiedział Temko. - Dobrze by było, żeby Spalding nie zapomniał tego rosyjskiego przysłowia.

- Może go nie zna, generale. Ale przy okazji... Nasz rezydent w Kopenhadze...

- Tylko traci czas - dokończył Temko. - Założę się o milion rubli,

że Dunn wyjechał z Danii w godzinę po zapłaceniu za to ogłoszenie. W takich sytuacjach liczy się szybkość i czas. A do Danii udał się tylko dlatego, że chciał szybko opuścić Szwecję. Żadna inna stolica nie ma tylu połączeń ze Sztokholmem co Kopenhaga.

Nagła myśl rozjaśniła twarz zastępcy Temki.

- Przynajmniej wiemy z tego ogłoszenia, że jutro będzie w Atenach.

- Ponieważ Dunn chce, żebyśmy to wiedzieli - odparł generał. - To jest chytra pułapka, niesłuchanie chytra. Dunn jest pewien, że Spalding uzna to z miejsca za pułapkę. Ale liczy, że zarozumiałość Spaldinga każe mu tak czy inaczej lecieć do Aten. Nasz pan Dunn powinien być zostać psychologiem. Albo urodzić się Izraelczykiem i specjalizować w tych ich kombinacjach: zagadka w zagadce, a w niej jeszcze jedna wybuchająca zagadka. Ma niewyczerpaną ilość pomysłów.

- Spalding też jest niesłuchanie przebiegły - odparł pułkownik Połuczasnij.

Temko bębnił krótkimi grubymi palcami po blacie antycznego biurka.

- Nadal jest w Waszyngtonie? - spytał nagle.

- Chyba tak. Czy mam go zawiadomić o Atenach? Obiecał mu pan, generale, wszelkie informacje o miejscu pobytu Dunna.

- Mam ryzykować, że Dunn go załatwi, a przy okazji przypadnie nasza operacja? Z drugiej strony, jeśli mu nic nie powiem, Spalding nie wykona misji... I będziemy musieli zastosować plan B.

- Plan B jest bardzo profesjonalny - zauważył Połuczasnij. - Nie uważam, by Dunn lub ktokolwiek inny mógł przeszkodzić w jego realizacji.

Generał zbył to zdawkowym zdaniem i poprosił o przyniesienie najnowszych satelitarnych zdjęć amerykańskich instalacji nasłuchowych w Turcji.

Zostawszy sam Temko głęboko westchnął i zapatrzył się w wielki i bez wątpienia wyidealizowany portret W. I. Lenina. Mimo wszystkich zmian ostatnich lat, wciąż tu wisiał. Ludzie mówili, że za czasów jego rządów wszystko było łatwiejsze, bardziej przejrzyste i jednoznaczne. Byli tacy, którzy ten okres nazywali złotymi latami. Temko przestał nad tym rozmyślać i powrócił do pilnej i wymagającej natychmiastowych decyzji misji Spaldinga.

Była ona trzonem najtajniejszych operacji, jakie kiedykolwiek przeprowadzało SWR. Tylko pięciu ludzi w rosyjskim aparacie bezpieczeństwa znało nazwisko osobistości, która miała być zlikwidowana i którą określano kryptonimem Umykający Pies. Tylko paru ministrów Rady Prezydenckiej zostało o tej operacji poinformowanych.

A decyzję o podjęciu operacji podjęły najwyższe czynniki.

Czy rzeczywiście?

Temko zmartwiał, uświadamiając sobie nagle, że szef SWR mógł kłamać. Powiedział, że „ze względu na potrzebę zachowania pełnej tajemnicy” nic na piśmie. Operacja wyłącznie na rozkaz ustny. A jeśli ten zgorzkniały osiemdziesięcioletni starzec sfabrykował opowieść o podjęciu decyzji przez Radę Prezydencką? Może zaplanowane morderstwo jest bardziej osobistą zemstą niż racją stanu?

15 stycznia - na tydzień przed urodzinami generała Temko.

Jeśli to jest prywatna nieoficjalna operacja, to Temko może nie dożyć urodzin.

Szef SWR każe go zabić, obarczając całą odpowiedzialnością, albo prezydent zleci rozstrzelanie za zdradę.

Zlikwidowanie Umykającego Psa bez oficjalnej autoryzacji musi przynieść natychmiastową najwyższą karę. Tej wagi decyzje dotyczące globalnej polityki mogą być podejmowane tylko przez najwyższe gremia.

Nie ma się co łudzić, że przymknięto by oczy na prywatne przedsięwzięcie polegające na zlikwidowaniu postaci tak wybitnej na arenie międzynarodowej. Umykający Pies jest jednym z najznaczących ludzi na świecie.

- A więc to było podpalenie - mruknął McGhee.

- Tak jest, sir - odparła Emily Axt.

- Jest pani pewna?

- Tak twierdzą inspektorzy straży pożarnej stanu Wirginia. Nasi specjaliści także.

McGhee lubił, kiedy jego podwładni odpowiadali mu w ten sposób, jak Axt: precyzyjnie i krótko. Dokładność była dewizą biura kontrwywiadu CIA i miała duże znaczenie przy doborze przez dyrektora McGhee najbliższych współpracowników. Emily Axt była ekspertem do spraw komputerowego bezpieczeństwa, Patricia Bonomi analitykiem statystycznym, Gregory Keller przed przeniesieniem do kontrwywiadu należał do grona najlepszych deszyfrantów. Wszyscy troje byli - podobnie jak ich szef - ludźmi twardo stąpającymi po ziemi, myśleli precyzyjnie i należeli do grona pracoholików. Sześćdziesięciu- i siedemdziesięcioczerogodzinne tygodnie pracy były dla nich rzeczą zupełnie normalną. W innych sekcjach nazywano ich „robotami McGhee”.

- Ma pani jeszcze coś dla mnie? - spytał szef bezpieczeństwa wewnętrznego CIA.

- Mam, sir - odparła pani Axt. - Przed godziną zmarł w szpitalu Arthur Phillips. Dokładnie o drugiej pięćdziesiąt pięć.

McGhee aż mruknął z satysfakcją. Dokładność, dokładność, w tej pracy każda minuta się liczy.

- Czy mam zawiadomić kadry, sir? Zaczną przygotowywać dokumentację potrzebną do zrealizowania polisy ubezpieczeniowej i formalnego rozwiązania stosunku o pracę.

Wpatrzony w punkt na ścianie nad głową Axt, McGhee rozważał sugestię. - To dobry pomysł - powiedział wreszcie. - Im wcześniej zaczną papierkową robotę, tym wcześniej skończą. Zysk na czasie.

Powrócił do przedstawionego mu poprzednio raportu.

- Niech mi pani powie, Emily: stanowią inspektorzy pożarnictwa mają jakieś poszlaki?

- Jeszcze nie, sir - odpowiedziała chuda rozwódka o kasztanowych włosach. - Ale nie zamknęli jeszcze dochodzenia. Chcą przede wszystkim ustalić pochodzenie czasowego zapalnika, którego fragmenty znaleźli.

- Przekażę to dyrektorowi - powiedział McGhee, kładąc rękę na raporcie. - I nikt nie może wiedzieć, że to podpalenie i że toczy się dochodzenie.

- Tak jest, sir.

- Phillips był pracownikiem kontrwywiadu Firmy i jego śmierć ma związek z naszymi poczynaniami. To jest sprawa bezpieczeństwa wewnętrznego. Nasza sprawa, i tylko nasza.

Powiedziawszy to wyjął portfel, wyłuskał z niego cztery dolarowe banknoty, dwa razy je przeliczył i podał pani Axt.

- Proszę to dołączyć do kwoty, jaką zbierzecie na kwiaty. Phillips był... eee... bardzo uzdolniony. Wszechstronnie.

- Wszyscy go lubili - dodała Emily Axt.

Dyrektorowi McGhee zajęło kilka sekund wysnuć i zaakceptować własnego przypuszczenia, że tacy profesjonalści, jakimi byli podlegli mu pracownicy, mogli mieć podobnie pozytywny i osobisty stosunek do kolegi.

- Łączyły z nim panią prywatne stosunki? - spytał ostrożnie.

- Nie, nie przyjaźniliśmy się. Zwykła znajomość. Znacznie bliższe stosunki łączyły go z Bobem Dwyerem i Tess Lipson.

Nieruchome spojrzenie McGhee było sygnałem, by mówić dalej.

- Dwyer to sekcja łączności. A panna Lipson jest sekretarką dyrektora Barringera - powiedziała znacząco.

Tess Lipson była na liście osób wiedzących o telegramach wysłanych do Dunna.

- Dzień przed pożarem przeszła test na poligrafie - dodała.

Poligraf można oszukać. Wszystkie mocarstwa dysponowały środkami chemicznymi, którymi można się uodpornić.

Niesłuchanie ważna wtyczka w CIA z pewnością została w nie opatrzona.

- O ile sobie przypominam, panna Lipson jest inwigilowana mruknął McGhee.

- Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dozór wizualny i elektroniczny. Telefon domowy i biurowy na podsłuchu, samochód na podsłuchu, poczta kontrolowana. Do chwili obecnej nie mamy nic. Czysta jak łąza.

McGhee skrzywił się na to ostatnie określenie. Nie tylko dlatego, że był to niemodny wyświechtany zwrot. To po prostu nie mogła być prawda. Dyrektor kontrwywiadu wierzył głęboko, że nikt nie jest

„czysty jak lza”. Grzech i niedoskonałość leżą w naturze człowieka. McGhee dowiedział się tego w wieku lat sześciu w parafialnej szkółce.

- Kontynuować nadzór - polecił i, nie wiedząc dlaczego, pomyślał o tych dobrych zakonnicach, które go wychowały. Zwłaszcza siostra Angela! Nigdy jej nie zapomni. To była wspaniała kobieta.

Na niebie nie było ani jednej chmurki. Temperatura wynosiła czternaście stopni Celsjusza. W Atenach dzień był chłodny, jasny, słoneczny.

- Spójrz! - powiedział Dunn i odstąpił o krok.

Heather James przyłożyła oko do wizjera teleskopu.

- Wspaniale! - wykrzyknęła.

- I ta wspaniałość trwa już prawie od dwudziestu pięciu stuleci. Wystarczy na to spojrzeć, żeby poczuć się... kimś lepszym jako człowiek. No bo skoro człowiek potrafi stworzyć takie dzieła...

W odległości półtora kilometra na stutrzydziestometrowym pagórku wznosił się dumnie Partenon. Widziała go wielokrotnie na fotografiach, lecz one ledwo przygotowały ją na to, co teraz ujrzała. Dominował nie tylko nad kompleksem Akropolu, ale nad całym trzymilionowym miastem.

- To jest fantastyczne, Charlie. Przecudowne!

- Lamartine określił to mianem najdoskonalszego poematu zakutego w kamieniu - powiedział Dunn. - W Vermont miałem czas na czytanie poezji. Lamartine miał rację.

Spojrzała uważnie. - Pisałeś kiedyś wiersze, Charlie?

Nie odpowiedział na to pytanie.

- Wracajmy do naszych spraw, pani doktor. Jesteśmy tu wraz z innymi turystami na szczycie góry Licabettos, trzysta metrów nad miastem, ponieważ to jest...

- Najwyższy punkt obserwacyjny - dokończyła.

- Robisz postępy, Heather. Tam w dole pod nami jest dzielnica zwana Kolonaki. Bardzo elegancka i droga dzielnica. W jednym z tych wspaniałych domów mieszka pan Peter Stamos.

- Brat człowieka z Lizbony?

- Doskonale! - pochwalił. - Tak, brat człowieka z Lizbony, którego ktoś wreszcie będzie chyba chciał zneutralizować.

- Ktoś?

- Spalding. - Dunn podszedł do turystycznej lunety, pochylił się nad nią i zaczął powoli obracać. Po czterdziestu sekundach odnalazł wille Stamosa.

- Jest! - obwieścił zadowolony.

Pilnie oglądał budynek i ulice wokół niego, póki czasomierz nie wyłączył wizji. Wrzucił do otworu kilka monet i wznowił obserwację.

- Nie jesteś pewien, że Spalding tu przybędzie?

Dunn jeszcze przez dziesięć sekund wpijał wzrok w wille, nim odpowiedział:

- Właściwie jestem pewien. Złożyłem mu propozycję, której nie będzie w stanie zignorować.

- Złożyłeś propozycję? - spytała zaskoczona Heather.

- Zaproponowałem mu siebie. Tym razem ja jestem przynętą, pani doktor. Przekazałem mu wiadomość, że pojawię się tu, by roztoczyć opiekę nad George'em Stamosem.

Czasomierz znów brzęknął ostrzegawczo i obraz w teleskopie zniknął.

- Bardzo mi się to wszystko nie podoba - stwierdziła Heather.

- Daj mi znać, jeśli ci do głowy przyjdzie lepszy pomysł - burknął i wyciągnął cygaro.

- Polećmy od razu do Twanzi. Przecież to Ndugu jest na pierwszym miejscu na liście.

Zapalił cygaro i pokręcił przecząco głową.

- A jeśli lista jest tylko odwróceniem uwagi, to co? To stwierdzenie wręcz ją zaszokowało.

- Tak sądzisz?

- Nie jestem pewien - przyznał. - W tym wypadku mój instynkt musi konkurować z komputerami Barringera. Mam po prostu dziwne przeświadczenie... Coś mi tu nie pasuje...

- Jeśli idzie o listę?

- Jeśli idzie o cały mój kontrakt.

Nawet z grymasem zdziwienia Heather James była piękna i pociągająca. Dunn nie mógł zapomnieć ostatniej, wspólnej gorącej nocy i jak się cała do niego tuliła, jakby chciała się wtopić. Oczami wyobraźni widział ją nagą, rozpaloną pożądaniem.

- Wobec tego ja już niczego nie rozumiem, Charlie. Po co w takim razie jesteśmy w Atenach, by chronić nieuczciwego handlarza broni?

- Wcale nie mamy zamiaru go chronić. On stanowi wyłącznie wygodny adres. Jest to miejsce, do którego pośpieszy Spalding, żeby mnie załatwić.

W tym momencie trzy zniecierpliwione turystki z Miami prze-
pchnęły się do lunety. Heather spiorunowała je wzrokiem i wraz z
Dunнем odeszła od odległej o kilka metrów kawiarenki.

- Nic mi się nie stanie - uspokajał ją.

- Nie rozmawiaj ze mną jak z dzieckiem! - obruszyła się. - Posłu-
chaj. Ja ci skłamałam, Charlie. To nie jest dla mnie tylko eskapada
miłosna. Bardzo mi na tobie zależy! Bardzo, rozumiesz? Wcale nie
chciałam, żeby tak się stało, ale się stało. Sama nie wiem jak i kiedy.
Zakochałam się.

Skinął poważnie głową.

- Tak, panie Dunn, długo czekałam na pojawienie się pana. Na ta-
kiego człowieka. Pan jest znacnym człowiekiem i chyba nie boi się pan
związać z zącą kobietą. Chcę cię mieć żywego, Charlie, bardzo chcę
cię mieć. A teraz powiedz, czego ty chcesz?

Pocałował ją i odpowiedział:

- Muszę powstrzymać tego drania.

- Jesteś równie szalony jak on. Jakże człowiek, który zaprzysiągł,
że nigdy nikogo więcej nie zabije, może powstrzymać jednego z naj-
bardziej niebezpiecznych profesjonalnych morderców?

Dunn spokojnie zaciągnął się cygarem i dopiero wtedy odparł:

- Od dłuższego czasu właśnie nad tym się zastanawiam.

- I na pewno masz już plan? - zapytała sarkastycznie.

Dunn skinął głową i wypuścił kółko z dymu.

- Jaki jest ten twój plan? Mam prawo wiedzieć.

- Odbędę z nim szczerą rozmowę.

- Co?! I to jest cały twój plan?

- W ogólnych zarysach tak. I myślę, że mi się uda. - Strzepnął po-
piół z cygara.

- Albo kłamiesz, albo masz kolejne załamanie nerwowe.

- Mówię szczerą prawdę.

Wrócili do kolejki linowej i zjechali na dół. Gdy wrócili do swego
pokoju w typowym hotelu dla biznesmenów, dwie przecznice od ele-
ganckiego placu Konstytucji, Dunn wziął Heather w ramiona.

- Nikt mnie nie zabije - powiedział z pewnością siebie. - Nic mi się
nie stanie!

- Charlie...

- I nikt, i nic nas nie rozdzieli - dodał. - Spytałaś, czego ja chcę.
Chcę być z tobą.

Wtuliła się w niego.

- Co sądzisz o seansach miłosnych o wpół do jedenastej przed po-
łudniem? - zapytała cichutko.

- Według mnie jest północ.

Kiedy po godzinie była wreszcie gotowa do wyjścia, Dunn podszedł do szafy i ze swego płaszcza Burberry coś wyjął. Był to pistolet *Beretta* kalibru 0.32 cala.

- Umiesz się posługiwać taką bronią? - spytał.

Skinęła głową. - Jeden z moich przyjaciół w Twanzi był strażnikiem parku. I miał taką właśnie broń. - Wzięła od niego *Berettę*, wzięła magazynek, odciągnęła suwadło zamka, zajrzała do komory naboju, włożyła z powrotem magazynek, sprawdziła położenie bezpiecznika i schowała pistolet do torebki.

- Jest możliwe, choć prawdopodobieństwo wydaje mi się małe, że Spalding będzie chciał się w pierwszej kolejności dobrać do ciebie.

- Na przykład? Zabije mnie?

- Może nie zabije, ale porwie cię. Żeby mógł się zabawić w szantazowanie. Zabicie ciebie nic by mu nie dało oprócz rozjuszenia mnie. A on przecież doskonale wie, że już jestem rozjuszony.

Włożył jeden z swoich pistoletów *P-15* do kabury podramiennej.

- Tym zamierzasz z nim rozmawiać? - spytała, gdy zapinał marynarkę.

- Mam szczerzy zamiar porozmawiać. Tylko z Victorem jest jeden problem. Jest on człowiekiem bardzo, jak to powiedzieć... pogmatwanym wewnątrz. Nie umie słuchać. Trudno jest skłonić go do skupienia uwagi na tym, co się do niego mówi.

- I ewentualnie pistolet *P-15* może w tym pomóc?

- Tego typu przedmioty zawsze przykuwały jego uwagę.

Po sześciu minutach byli w agencji wynajmu samochodów.

Dunn prosił Heather, by wybrała kolor wozu.

Zdecydowała się na ciemnozielony.

- To są *evzones* - wyjaśnił Dunn, gdy objeżdżali plac Konstytucji.

Patrzyła na mężczyzn z karabinami, pilnującymi okazałej rezydencji. Wszyscy byli wysocy, co najmniej metr osiemdziesiąt, i mieli na sobie niezwykle ubiór: czerwone nakrycia głowy przypominające berety, czarne buty z pomponami, obcisłe ni to spodnie, ni grube rajstopy białego koloru, podobne do kostiumu baletnic, oraz białe spódniczki.

- Nie daj się zmylić tej maskaradzie. To są wyjątkowo sprawni żołnierze. Pilnują budynku parlamentu.

Ruch panował olbrzymi, kierowcy byli bezwzględni. Nie ustępowali ani o centymetr na zatłoczonych ulicach śródmieścia. Wypożyczony przez Dunna ciemnozielony Mercedes posuwał się ślamazarnie w kierunku dzielnicy Kolonaki. Willa Stamosa znajdowała się zaledwie o siedemset metrów od dawnego pałacu królewskiego, w którym obecnie urzędował parlament, ale w tej gęstwinie pojazdów osobowych i ciężarowych wydawał się być bardzo daleko.

- Grecy nadali tym ulicom imiona Peryklesa, Eurypidesa i Apollina, ale oprócz tego mają wszystkie możliwe niewygodny współczesnego świata - powiedział Dunn, hamując gwałtownie, aby uniknąć kolizji z ciężarówką wytwórni koniaku Metaxa. - Wiesz, że zatrute powietrze zżera nawet Partenon? Póki jeszcze stoi, powinniśmy tu któregoś dnia wrócić i spokojnie wszystko sobie obejrzeć.

- Bardzo bym chciała, Charlie.

- Najlepiej w lecie. Akropol jest przez całą noc podświetlony reflektorami. Niewiarygodny widok. - Na głowie miał niebieską wełnianą czapkę rybacką, a podniesiony kołnierz marynarki zasłaniał mu częściowo twarz. Złote włosy Heather były ukryte pod perłowym szalem.

- Następna przecznica w prawo, pani doktor. Patrz przed siebie i kiedy będziemy przejeżdżali przed rezydencją Stamosa, przez cały czas coś mów. To tylko pierwsze oględziny terenu.

- Czy mam wypatrywać czegoś konkretnego?

- Owszem. Potencjalnych policjantów lub ochroniarzy. Ulicznych sprzedawców i nianiek tam, gdzie ich nie powinno być. Patrz na wszystko, co ci po twojej stronie ulicy nie pasuje do normalnego obrazu ulicy.

Zgodnie z zapowiedzią skręcił w prawo, w ładną, typowo mieszkalną ulicę. Większość domów stanowiły czynszowe kamienice. Budynki były zadbane i mieszkania musiały być bardzo drogie. Prywatnych jednorodzinnych rezydencji widzieli niewiele. Jedną z nich była trzypiętrowa willa Petera Stamosa.

- Nasz Peter też jest wart kilka milionów dolarów - zauważył Dunn udając, że patrzy prosto przed siebie. - Ma dwa frachtowce, którymi czasami wozi broń George'a. Oto jego domek numer czterdzieści jeden.

- Wcale mi się to nie podoba, Charlie. Nie myśl, że jestem tchórzem, niemniej to jeżdżenie dokoła w charakterze ruchomego celu spowodowało, że dostałam pięciogwiazdkowej gęsiej skórki.

- Z pewnością nie jesteś tchórzem, nie jesteś też żadnym ruchomym celem, tylko nieustraszoną zwiadowcą.

- Może ty, ale nie ja. Ja jestem jedną z tych bardzo normalnych istot, o których mówiłeś. Chodziłam z ludźmi plemienia Noro na polowania. Włócznie przeciwko lwom. Polowanie było znacznie bezpieczniejsze niż ściganie Spaldinga.

- Widzisz coś ciekawego?

- Kobieta pcha wózek dziecięcy... Szofer czeka w brązowym Bentleyu, a tleniona blondynka prowadzi irlandzkiego setera. Żebyś widział jaką ma obcisłą spódnice.

- Pies w spódnicy?

- Daleko mi do żartów. Gęsia skórka robi swoje.

Dojechał do najbliższego rogu i skręcił, żeby objechać cały kwartał.

- A ty co ciekawego widzisz? - spytała.

- Nastolatek w popielatym swetrze i czarnych spodniach roznosi kwiaty... Alfa Romeo, model z osiemdziesiątego ósmego, beżowy... ostatnie trzy cyfry tablicy rejestracyjnej dwa trzy sześć... mężczyzna około siedemdziesiątki w tweedowym brązowym garniturze... ma jedną nogę sztywną i podpira się laską ze srebrną rączką... drzwi do rezydencji Stamosa są ze stali, pomalowane na podobieństwo drewna. Tak samo okiennice...

- Może jeszcze znasz i sztuczki karciane, Charlie?

- To, co ci opisywałem, to żadne sztuczki, ale po prostu praktyka. Victor potrafi to samo.

Gdy ponownie skręcał w prawo, Heather wyraźnie stężała.

- Spokojnie, wracamy do śródmieścia. Przyjedziemy tu z powrotem dopiero po lunchu.

Lunch jedli po dwudziestu minutach w Pireusie, kipiącym życiem porcie Aten. Dunn minął terminale promowe, stado frachtowców oblepiające mola i piękny statek wycieczkowy o nazwie „Jupiter”, docierając do nieco spokojniejszej części portu zwanej Turkokimano, gdzie jak korki podskakiwały na wodzie setki prywatnych jachtów żaglowych i motorowych. Po drugiej stronie ulicy znajdowały się restauracje. Usiedli w oknie jednego z pomniejszych lokali, mając przed oczami obraz egejskiej idylli.

- *Ouzo, parakalo* - powiedział Dunn do kelnera, śniadego mężczyzny z wąsami.

- *Ouzo* to rodzaj anyżówki - wyjaśniał. - Ma swoją moc. Podobny do francuskiego Pernod. Jedna miara *ouzo* na trzy miary wody. Pijąc czujesz się jak młody grecki bóg... lub bogini.

Ich kelner wrócił z dwiema szklankami i wysoką smukłą butelką przyozdobioną czerwono-czarną etykietą z liczbą dwanaście po środku.

- Dwunastoletni trunek? - spytała.

- Raczej dwunastotygodniowy. - Dunn chrząknął rozbawiony. - Dwanaście to nazwa firmy, znak handlowy. Dlaczego, nie wiem.

Kelner postawił na stole karafkę z wodą, rozłożył sztucze oraz mające bogatą przeszłość, ale czyste serwetki.

- *Barbouni? Garides? Kalamaraki?* - spytał.

- Czerwony cefal, krewetki, kałamarnica - wyjaśnił Dunn. - On nam proponuje dzisiejszy połów. Wszystko świeżutkie. Cefal jest doskonały.

- Tak jak i twój grecki - pochwaliła Heather.

- Właśnie wysłuchałaś jednej czwartej moich zasobów lingwistycznych. - Zdjął nakrętkę z butelki *ouzo*.

- Cefal - podjęła decyzję.

- *Barbouni* - powtórzył Dunn kelnerowi i podniósł dwa palce.

- *Meze?* - spytał kelner.

Dunn skinął głową, nalewając aromatyczny płyn do szklanek.

Podawane w ateńskich restauracjach *mezedes* były zestawami z kąsek - kawałeczków mięsa, sera i innych specjalów. W tej rybnej restauracji o dziesięć metrów od brzegu Morza Egejskiego na *meze* składały się kawałki ośmiornicy, jeże morskie, ostrygi, małże i małe smażone rybki - *marides*.

Wszystko było doskonałe. *Ouzo*, zakąski, czerwony cefal i jogurt z miodem, jaki wzięli na deser. Podczas posiłku Dunn wielokrotnie błędził wzrokiem nad jej głową.

- Oczekujesz towarzystwa? - spytała.

Nic nie odpowiedział, tylko poprosił: - Opowiedz mi o angielskich seterach. Takich, jakiego tu widziałas na ulicy.

- Setery są bardzo podobne do ciebie, Charlie. Bardzo aktywne. Stanowią myśliwską arystokrację. Zarazem odważne i łagodne, lojalne i dające się kochać. I wytrzymałe, twarde.

Podnosząc łyżkę z doskonałym jogurtem Dunn nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- To jeszcze nie wszystkie ich cechy, Charlie. Mają bardzo miłą osobowość. Zawsze pogodne. Kiedy się je wytresuje, są doskonałymi towarzyszami.

- Trudne do tresury?

- Trudne, ale warte zachodu - zapewniła go z uśmiechem na ustach.

Znów spojrzał ponad jej głowę.

- Hippo! - wykrzyknął.

- Coś powiedział? - spytała zaskoczona.

- To ja - usłyszała zduszony głos za plecami. Obróciła głowę i zobaczyła krępego, uśmiechniętego mężczyznę około czterdziestu, najwyżej czterdziestu pięciu lat, zadbanego i muskularnego.

- Doktor James, przedstawiam pana Hipokratesa Soloianisa, znanego przyjaciółom i wrogom jako Hippo.

- Nie mam wrogów - zaprotestował Soloianis. - Miło mi panią poznać, pani doktor. Kumple Charlie'ego są moimi kumplami.

- Policz wszystkie zęby, Heather, i trzymaj zaciśnięte nogi - poradził jej Dunn.

Mężczyzna określany przezwiskiem Hippo wybuchnął głośnym śmiechem.

- Niech pani mu nie wierzy. Dunn i ja jesteśmy dobrymi kolegami. A skoro mowa o zębach, to mnie właśnie jeden okropnie boli. Mogłaby pani coś na to poradzić?

- Świetnie się składa - odparł Dunn. - Heather jest właśnie weterynarzem.

Hippo coś mruknął i usiadł przy stoliku.

- Siadaj, nie krępuj się - powiedział Dunn.

- Dziękuję - odparł pogodnie Hippo.

W tym momencie pojawił się kelner niosąc butelkę Grande Champagne Cognac Delamain oraz trzy koniakówki.

- Dla przyjaciół! Najlepszy jaki istnieje! - pochwalił się Hippo.

- Interes musi ci świetnie iść - zauważył Dunn.

- Nie jest łatwo przetrwać drobnemu biznesmenowi, Charlie, ale nie mówmy o tym.

Dunn zauważył pytanie na twarzy Heather.

- Mały biznesmen Hippo jest właścicielem kilku dużych biznesów, z których każdy jest bardzo dochodowy. - Dunn umoczył usta w doskonałym koniaku.

- Ma się trochę oleju w głowie... - odparł skromnie Soloianis.

- Ma go tyle, że mógłby otworzyć sto smażalni ryb. Chwilowo kontentuje się tą restauracją i dwiema innymi - ciągnął Dunn.

- Jakoś pływam, nie tonę. Nie każdy może to dziś powiedzieć...

- Niektórzy już w ogóle przestali mówić. Po wsze czasy - zauważył Dunn.

- Wiem, słyszałem. Ken Perry w Berlinie. Przerobiony na miazgę. Okropny sposób odejścia z tego świata... - westchnął Hippo.

- A zna pan jakiś specjalnie miły sposób? - spytała Heather.

Soloianis po raz pierwszy przyjrzał się jej bardzo uważnie.

- Ona jest... z Firmy, Charlie? - spytał.

Dunn zaprzeczył ruchem głowy. - Nie, jest po prostu ze mną.

- Po co ci weterynarz, Charlie?

- Ponieważ polujemy na zwierzę - wyjaśnił Dunn.

Soloianis zachichotał i upił trochę koniaku.

- Bardzo dowcipne, Charlie. Charlie zawsze miał wielkie poczucie humoru - zwrócił się do Heather. - Wielu pani takich nie znajdzie. Niech się go pani trzyma, pani doktor.

- Zamierzam - odparła.

Kelner podał Dunnowi rachunek.

- W granicach rozsądku - stwierdził Dunn. - Osiemset dwadzieścia dwa dolary. - Wyciągnął portfel.

- Koniak stawiam ja - poinformował Soloianis.

Dunn zaczął odliczać pieniądze.

Heather zrobiła wielkie oczy. - Osiemset dwadzieścia dwa dolary? - wykrztusiła.

- Łącznie z podatkiem - wyjaśnił Dunn, nie przerywając liczenia.

- O nie! Nie wliczyłem podatku staremu przyjacielowi - poprawił Hippo. - Dwadzieścia dwa dolary należy się za posiłek łącznie z napojami i piętnastoma procentami dla kelnera. Osiemset za pakunek.

- Za jaki pakunek? - spytała Heather.

- Już jest w twoim bagażniku, Charlie. Pozwoliłem sobie otworzyć moimi kluczami. Nie gniewasz się za to?

- Ani trochę, Hippo - odparł wesoło Dunn i wysączył ostatnie krople doskonałego Delamain.

- Pomyślałem sobie, Charlie, że będziesz wolał model amerykański. Znalazłem taki, który właśnie przysłano egipskiej armii. No i przypadkiem zgubił się w Aleksandrii.

- Często się zdarza, że jakiś sprzęt ginie. Godne ubolewania. Skończyłaś, Heather?

Z malutkiej filiżanki wypila ostatni łyk słodkiej, mocnej kawy, zabrała torebkę i wstała. Zaraz po niej podniósł się Dunn.

- Dziękuję ci za pomoc, Hippo - powiedział. Obaj mężczyźni uściśnęli sobie ręce.

- Miło się z panią rozmawiało, pani doktor. - Soloianis skłonił się uprzejmie.

- Miło mi było pana poznać - odparła. - Lunch był wspaniały. - Twarz Hippo rozpromieniła się.

- Czekałem, aż ktoś to powie. Charlie, wspaniała dziewczyna! Nic mi o niej nie wspomniałeś, kiedy dzwoniłeś trzy dni temu.

- Wiedziałem, że lubisz niespodzianki. Cześć, Hippo!

Kiedy odjechali, Dunn powiedział Heather, co jest w paczce: lekki półtorakilogramowy noktowizor *Star-Tron*, jaki firma Smith & Wesson opracowała dla Armii USA. Był to model drugiej generacji, który wzmacniał światło sześćdziesiąt tysięcy razy, co pozwalało żołnierzowi widzieć dosłownie wszystko w ciemnościach i to z dużej odległości. Istniała również większa wersja, wzmacniająca światło osiemdziesiąt pięć tysięcy razy, ale miała masę blisko dwudziestu kilo i zbyt wielkie rozmiary.

- Do czego ci to? - dopytywała się.

- Spytaj raczej „dla kogo”. Dla człowieka, który będzie w nocy siedział na zboczach góry Licabetos i pilnował cholerycznej rezydencji Stamosa.

- Tej nocy?

- I następnej, i jeszcze jednej, jeśli zajdzie taka potrzeba. A czy ja wiem, kiedy pojawi się Victor?

- Charlie?

- Słucham.

- Czy sądzisz, że Spalding też będzie miał taki *Star-Tron*?

- Nie sądzę. Wiem to na pewno.

Jechali dalej w milczeniu. Przed trzecią Dunn rozpoczął kolejny rekonesans Kolonaki. Gdy znajdowali się już w pobliżu ulicy, przy której mieszkał Stamos, dał Heather zielony szal i ciemne przeciw-słoneczne okulary.

- Mów mi, co widzisz - poleciał.

Minąwszy rezydencję Stamosa, Dunn nie skręcił w pierwszą przecznicę, lecz pojechał do następnej, by zatoczyć większe koło.

- Trzy dziewczynki wracają ze szkoły... stary człowiek sprząta ulicę... cztery puste samochody, jeden to Cadillac... i znowu ściska mnie w dołku - informowała Heather.

- Ten, co sprząta ulicę. Jakiego jest wzrostu?

- Metr sześćdziesiąt, może parę centymetrów więcej.

- Victor ma ponad sto osiemdziesiąt. Po mojej stronie niewiele...

Poczekaj, poczekaj, o psiakrew!

Był podniecony.

- Co zobaczyłeś? - spytała z niepokojem.

- Cholera jasna, sukinsyn, powinienem był to przewidzieć!

Heather zacisnęła dłoń na torebce. Przez miękką skórę wyczuwała *Berettę*.

- Czy mamy jakiś problem, Charlie? - spytała, bardzo się starając, by nie drżał jej głos.

- Zdecydowanie tak - odparł.

Ernesto Herman Francisco Gomez Melendez miał czterdzieści trzy lata i był zdecydowanie przystojny. Znany babiloniarz i były major nikaraguańskiej armii świętej pamięci generała Somozy.

Był znawcą win, absolwentem amerykańskiej szkoły jednostek specjalnych w Fort Bragg i doskonałym strzelcem z przeróżnej broni. Miał na tyle rozsądku, by wyjechać z Nikaragui na dziewięć miesięcy przed upadkiem dyktatury Somozy i zostać dobrze płatnym najemnikiem.

- Ma jeszcze jedną bardzo poważną wadę - mruknął Dunn, gdy stanęli na czerwonych światłach.

- Pojawia się niespodziewanie - odgadła Heather.

- Trafiałaś w dziesiątkę. Nie podoba mi się, że tu jest. Siedzi w oknie małego eleganckiego baru o dwie przecznice od rezydencji Stamosa nie tylko dlatego, że lubi nadziewane oliwki. Zamierza ukatrupić braciszka George'a.

- Skąd ten wniosek? Jesteś pewny?

- Tylko w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Facet pracował dla połowy dyktatorów i junt na południe od Rio Grande i dla kilku kacyków afrykańskich. Dla gangsterów rządzących w Costa Verde jest idealnym kandydatem do kontraktu na George'a. A poza tym ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Zapaliły się zielone światła. Dunn nacisnął pedał gazu.

- Ale co ma on wspólnego ze Spaldingiem? - zastanawiała się głośno Heather.

- Ze Spaldingiem nic. Mnie przeszkadza. Stanowi dodatkową komplikację w i tak już bardzo skomplikowanej sytuacji. Ernie Melendez musi zniknąć.

Heather zbladła.

Dunn rzucił na nią okiem. - Spokojnie, pani doktor. To Victor zabija ludzi, ja z nimi rozmawiam. Chcę z Melendezem odbyć przyjacielską rozmowę.

Za pięć czwarta Ernesto Melendez nabił piankową fajkę doskonałym tytoniem Dunhilla, rozpałił ją płomykiem ze srebrnej zapalniczki i zaczął z ukontentowaniem pykać, obserwując pojazdy i ludzi na ulicy. Już zaczął wyczuwać klimat sąsiedztwa, poznał też częstotliwość pojawiania się patroli policyjnych.

W najmniejszym stopniu się nie śpieszył. W jego biznesie pośpiech nie był wskazany. Prowadził tylko do komplikacji i nieszczęścia. Poprzedniego dnia poznał pokojówkę z rezydencji Stamosa. Tego wieczoru miał kontynuować poznawanie. W znaczeniu biblijnym, pomyślał i uśmiechnął się łakomie. Po paru spędzonych z nim nocach dziewczyna będzie ochoczo opowiadała, co widzi i słyszy w domu Stamosa.

Można było być pewnym, że wkrótce George Stamos zacznie się piekielnie nudzić w rezydencji, po której chodzi jak lew w klatce, i zechce wyjść. Najprawdopodobniej za kilka dni wyjdzie, a jeśli nawet nie, to po mistrzowsku uwiedziona pokojówka dostarczy Melendezowi wszystkich informacji potrzebnych, by mógł się wślizgnąć nieopstrzeżenie. Nie ma stuprocentowo pewnego systemu ochrony. Wie o tym każdy profesjonalista.

A cóż to za piękna kobieta?!

Płynęła ulicą, miała zachwycające kształty i olśniewającą kaskadę złocistych włosów. Najwyższej klasy zwierzyna. Nawet patrząc na nią przez barowe okno Melendez czuł wzrastające podniecenie.

Przechodziła przez ulicę, wyraźnie zmierzając w stronę baru.

Wspaniale, będzie mógł przyjrzeć się jej z bliska choćby przez parę sekund. To i tak wielkie szczęście, że się zbliżyła. Ernesto Melendez postanowił, że natychmiast po wyeliminowaniu handlarza bronią sprawi sobie równie wspaniałą blondynkę.

Blondynka weszła do baru!

Melendez z trudem przelknął, czując ogarniające go pożądanie. Obrócił głowę i obdarzył kobietę najbardziej czarującym z uśmiechów ze swego repertuaru. Był to piorunujący w jego mniemaniu koktajl zwierzęcego pożądania i męskiej siły.

Był to również błąd.

- Obie łapki na stół, majorze! - usłyszał twardy męski głos za plecami.

Zawahał się, wzruszył ramionami i posłuchał. Wspaniale przez naturę wyposażona blondynka zatrzymała się, patrząc ponad głową Melendeza.

- Dziękuję. Do zobaczenia, pani doktor - usłyszał Melendez zza pleców.

Piękna blondynka wyszła z baru. Melendez nie mógł od niej ode-
rwać wzroku nawet wtedy, gdy już była na ulicy.

- Cudowna! - powiedział, kiwając głową z uznaniem.

- Powtórzę jej pańską opinię - obiecał głos za plecami. - A teraz
niech pan się obróci.

Melendez posłuchał. Zobaczył naprzeciwko siebie mężczyznę
ubranego wyraźnie po amerykańsku. Nigdy w życiu go nie widział.
Ale obecność pistoletu w kieszeni nieprzemakalnego płaszcza nie
budziła najmniejszych wątpliwości.

- Dostrzegam, niestety, że ma pan nade mną lekką przewagę, sir -
odezwał się grzecznie.

- I chcę, by tak pozostało do końca naszej rozmowy.

Melendez tylko się uśmiechnął i dalej pykał z fajki.

- Nazywam się Dunn.

- Miło mi pana poznać, panie Dunn. O jakąż to rozmowę panu
chodzi?

- Cywilizowaną i rozsądną. Odpowiada to panu, majorze?

- Bardzo mi odpowiada - stwierdził major, dochodząc do wniosku,
że jego rozmówcą jest w istocie Amerykanin. Coś mu zaczęło świtać.

- Czy przypadkiem mam zaszczyt rozmawiać z panem Charlesem
Dunmem?

- Zgodnie z życzeniem rodziców mam na imię Charles.

- Niesłychanie się cieszę. Wiele o panu słyszałem, panie Dunn. Co
za miła niespodzianka! Czy mogę zaproponować panu drinka?

Dunn skinął głową.

- Unikałbym tutejszych win - poradził konfidencjonalnym szep-
tem Melendez. - Grecja jest szlachetną i prastarą krainą, lecz tutejsze
napoje alkoholowe nie są na podniebienia dżentelmenów.

Dunn dał znak kelnerowi. Gdy podszedł, zamówił koniak Delama-
in.

Melendez rozpromienił się. Nic dziwnego, że tak utalentowany
człowiek zamawia mało znany, lecz wysoce szlachetny trunk.

- Myślałem, że porzucił pan swój zawód, panie Dunn - powiedział,
gdy kelner się oddalił.

- Porzuciłem. Czy pozwoli pan, że przejdziemy do konkretów? Ja
też wiele o panu wiem, majorze, i zdaję sobie sprawę, że jest pan bar-
dzo zajęty człowiekiem.

- Mam zawsze czas dla Charlesa Dunna.

Dunn wyjął rękę z kieszeni płaszcza.

- Mam nadzieję, że pana nie uraziłem, majorze, ale jestem zawsze
bardzo ostrożny spotykając się z nieznanymi.

- Ja również. I szanuję pańską ostrożność. Teraz porozmawiajmy.
- Melendez głęboko się zastanowił, po co Waszyngton przysłał tu Dunna.

- Zaczęną od zapewnienia pana, majorze, że między nami nie ma żadnego konfliktu interesów. Ani mnie, ani rządu Stanów Zjednoczonych nic nie obchodzi stan zdrowia i los Stamosa.

- Stamosa?

- George'a Stamosa, którego zamierza pan wyeliminować.

Melendez wyjął z ust fajkę i sięgnął po stojącą na stoliku szklaneczkę sherry Amontillado. Uniósł ją, lecz zatrzymał rękę w powietrzu.

- Przepraszam. Zapomniałem się. - Odczekał, aż kelner poda koniak, i dopiero wtedy podniósł szklaneczkę w kierunku swego gościa.

Obaj panowie przez chwilę smakowali trunki.

- Nic mnie nie obchodzi, co pan zrobi Stamosowi - kontynuował Dunn. - Obchodzi mnie natomiast, kiedy. Bo widzi pan, mam pewien interes do załatwienia z człowiekiem, który spodziewa się znaleźć mnie w pobliżu domu Stamosa. Pańska obecność w okolicy mogłaby stworzyć poważne komplikacje.

- Wyznaję, że niezbyt dobrze rozumiem.

- Człowiek, na którego czekam, jest mi bardzo nieprzyjazny. Wymaga to ode mnie olbrzymiej koncentracji uwagi. Obecność trzeciego gracza mogłaby uczynić sytuację... mniej przejrzystą.

Melendez powrócił do fajki.

- Co to za człowiek?

- Jeden z pańskich konkurentów. Ma bardzo brzydki charakter i ucieka się często do przemocy. Zaryzykowałabym twierdzenie, że i pan mógłby znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyby był pan tu jeszcze, kiedy on się pojawi.

Z tonu głosu Dunna trudno było się domyślić, czy ostrzega, czy też grozi. A może jedno i drugie.

- Kiedy on przybywa? - zapytał Melendez.

- Być może już przybył. Lada chwila należy oczekiwać niezwykle nieprzyjemnej konfrontacji, która ściągnie oczywiście uwagę policji. O tak, policja zwaliłaby się hurmem, zadając kłopotliwe pytania wszystkim obcym i cudzoziemcom.

To zabrzmiało już wyraźnie jak groźba.

- Co pan proponuje, panie Dunn?

- Proponuję, aby rozważył pan możliwość trzymania się w pewnej odległości od tej dzielnicy. Nie musi być dalej niż kilometr od domu Petera Stamosa, przez jakieś pięć do sześciu dni. Byłbym jeszcze

bardziej wdzięczny, gdyby zechciał pan powrócić dopiero po tygodniu.

Melendez się zastanawiał. Handlarz bronią nie wyjdzie z domu jeszcze przez wiele dni. Z drugiej strony odkładanie operacji zawsze łączy się ze zwiększonym ryzykiem i może być groźne w skutkach.

- Bardzo chciałbym panu pomóc, panie Dunn, ale dodatkowo tydzień w Atenach, na marginesie mało atrakcyjnych w grudniu, wprowadziłby chaos w moich planach. Mam wiele innych zobowiązań. W styczniu w Afryce...

- Może jednak udałoby się panu zmienić harmonogram - powiedział pełnym perswazji tonem Dunn.

- Ba! Gdyby nie ludzie, którzy na mnie liczą...

- Mógłby im pan powiedzieć, że ma pan problemy zdrowotne. Kto wie, czy takowe się nie pojawią. Niech pan zmieni harmonogram - nalegał Dunn i powtórnie wsunął dłoń do kieszeni płaszcza.

Najprawdopodobniej blefuje, pomyślał Melendez. Ale warto by się upewnić.

- Tym ludziom bardzo by się to podobało - odparł.

- Zdrowie to najważniejsza rzecz - obstawał przy swoim Dunn. - Powinien pan poważnie zatroszczyć się o swoje, majorze. Nikt inny za pana tego nie zrobi.

- Całkowicie się z panem zgadzam. I dbam o swoje zdrowie. Czuję się w tej chwili doskonale.

- Co nie przesądza, że jutro może pan być chory.

Melendez poczuł pot na plecach.

- W Atenach szaleją zarazki - ostrzegł Dunn. - Masa ludzi zapada na zapalenie płuc. Słyszałem, że wczoraj ktoś nawet umarł.

No cóż, cielesny i duchowy podbój pokojówki może potrwać nawet tydzień, rozważał Melendez. Napieranie na nią zbyt ostro mogłoby okazać się błędem. Przyspieszanie jakiegokolwiek fazy operacji byłoby nieprofesjonalne.

- Pięć do sześciu dni? - badał sytuację.

- Najwyżej siedem. Mieszka pan w „Wielkiej Brytanii”?

- W „Królu Jerzym” - odparł i natychmiast tego wyznania pożałował. Choć to nie miało właściwie większego znaczenia. Dunn zawsze by go znalazł, gdyby chciał.

- Więc doskonale - odezwał się Dunn. - Gdy tylko sobie pogadam z tym facetem i wszystko uzgodnimy, zadzwonię do pana do hotelu. Może to nawet będzie jutro lub pojutrze. Jestem niesłychanie wdzięczny za zrozumienie mojej sytuacji.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Dunn dopił koniak i pożegnał się:

- Raz jeszcze dziękuję, majorze. Nikomu oczywiście nie wspomnę o naszym spotkaniu. Nie chciałbym, by miał pan jakiegokolwiek kłopoty z tutejszą policją.

Jeszcze jedna zgrabnie opakowana groźba!

Jeśliby Melendez nie dotrzymał obietnicy, Dunn zawiadomiłby dyskretnie ateńskich stróżów prawa, że w hotelu „Król Jerzy” mieszka uzbrojony morderca, który zamierza zabić brata bogatego i wpływowego obywatela Grecji. To mogłoby skończyć się aresztowaniem lub deportacją - jedno i drugie bardzo niedobre dla reputacji Nikaraguańczyka.

Mierda!

Ukrywając irytację Melendez zaczął podziwiać styl, w jakim podszedł go Dunn. Zwyciężył, ale nie odarł przeciwnika z honoru. Nie wielu Jankesów było podobnie zręcznych.

- Było to... niesłychanie interesujące spotkanie, panie Dunn - wyznał.

- Na imię mam Charlie.

- Do widzenia, Charlie.

Powróciwszy do Mercedesa Dunn wszystko opowiedział Heather. Spodziewał się pochwały. Heather siedziała zachmurzona.

- Wspomniał, że jego następnym etapem jest Afryka? - zapytała, gdy ruszali.

- Tak, ale mógł kłamać. Profesjonaliści tego zawodu często niby to puszczają farbę, a zostawiają fałszywy ślad. To niemal reguła.

- Twanzi jest w Afryce.

- Proszę pochopnie nie wyciągać wniosków, pani doktor. W Afryce jest wiele państw. - Skreślił na jedną z głównych i ruchliwych o tej porze arterii.

- Tak, ale w tej chwili myślę tylko o Twanzi.

- Rozumiem, pani doktor - odparł. - Ale trzeba myśleć racjonalnie.

- Racjonalne myślenie niewiele mi pomaga, Charlie. Cholernie się boję. A może twoja tak zwana rozmowa ze Spaldingiem nie uchroni Alfreda Ndugu? A może mordercą na niego nasyłanym jest ten Nikaraguańczyk?

- Trudno w tej chwili powiedzieć - mruknął Dunn. Nie było sensu niepokoić Heather jeszcze bardziej, mówiąc jej, że podobna myśl i jemu już przyszła do głowy.

Nie pomogłoby to nikomu.

- No, powiedz szczerze, Charlie. Czy jest możliwe, że morderca za-kontraktowany w celu zamordowania mego plemiennego brata siedzi sobie teraz w tamtym barze i popija sherry?

Dunn wiele sekund myślał, nim ułożył właściwą odpowiedź:

- Nie wierzę, że jest to możliwe, ale mieści się w granicach prawdopodobieństwa.

- Musisz coś na to poradzić.

- Po rozmowie z Victorem...

- Po rozmowie z Victorem? Dopiero po?

- Tak musi być. Chyba że chcesz, by Spalding strzelił mi w plecy przed domem Ndugu - odparł spokojnie.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek w cokolwiek ci strzelił - odpowiedziała.

Milczał. Już myślał o zbliżającej się nocy. Okropnie zmarznie, gdy będzie sterczał na zboczu góry i wpatrywał się w ciemności przez *Star-Tron*. Skulony spędzi wiele godzin w całkowitym bezruchu. Mięśnie będzie miał zbolące, kości zeszywniałe, oczy piekące od gapienia się i pełnej koncentracji.

I nic z tego może nie wyniknąć.

A może Spalding właśnie tam na zboczu będzie na niego czatował? Czekala go bardzo długa noc.

Powoli, krok po kroku.

Tylko w ten sposób Spalding mógł zrealizować swój plan.

Załatwienie spraw w Waszyngtonie zajęło mu dzień dłużej, niż przewidywał.

Obecnie miał już wszystko, co było potrzebne. Broń, materiał wybuchowy i konkretne pomysły, jak uderzyć. Oba pomysły bardzo mu się podobały.

Był z siebie zadowolony, gdy wsiadał do samolotu TWA do Rzymu. Załatwił wszystko, co trzeba było załatwić w Dystrykcie Columbia, i leciał zniszczyć Dunna. Nie chcieli mu powiedzieć, gdzie przebywa Dunn, ale pod jego naciskami ustąpili, acz niechętnie. Nie wątpił, że w końcu to uczynią. No bo przecież był najlepszym z najlepszych i potrzebowali go.

Wszystko było gotowe do wykonania kontraktu, który zmieni bieg historii. Zajmie się tym trzynastego lub czternastego stycznia. Teraz jednak zabije Dunna. Bożonarodzeniowy prezent.

Lecąc nad rozszalałym sztormami Północnym Atlantykiem Spalding uśmiechał się śniąc, jak to podcina Dunnowi gardło, a potem tym samym skalpelem tnie w paski jego twarz, brzuch, ręce i krocze. Morze krwi. Spalding równie często myślał o krwi, co o seksie. I jedno, i drugie podniecało go w równym stopniu. Sam nie wiedział, dlaczego.

Oczywiście nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Ci natrętnie dociekliwi głupcy, których CIA zatrudniało jako psychiatrów, zadawali mu w swoim czasie masę pytań podczas wstępnych testów. Kłamał wtedy jak najęty na temat skojarzeń na widok atramentowych plam i, uprzejmie odpowiadając na najbardziej podchwytliwe pytania oraz próby dotarcia do jego prawdziwych myśli, odparł wszystkie bezczelne wysiłki wdarcia się do jego prywatnego świata. Jego uczucia, myśli i sny stanowiły jego osobistą własność.

Uśmiechał się jeszcze po przebudzeniu. Hoża stewardesa o złocestobrazowych włosach, która roznosiła pasażerom tacki ze śniadaniem, zastanawiała się, czy ów uśmiechnięty przystojny mężczyzna nie jest przypadkiem jakimś aktorem w którymś z seriali telewizyjnych. Wskazywały na to pewność siebie, regularność rysów twarzy i pożądlivy samczy wygląd. Doskonale ubrany, z pewnością dobrze mu się powodzi. Może zaprosi ją na kolację? Stewardesa miała akurat dwa wolne dni w Rzymie.

Spalding nie zaprosił stewardesy na kolację. Na lotnisku w Rzymie odebrał walizkę i po osiemdziesięciu minutach siedział już w samolocie lecącym na grecką wyspę Rodos, gdzie turyści byli mile widziani i nawet konieczni, gdyż na nich opierał się lokalny dobrobyt. Formalności paszportowe i celne były sprowadzone do minimum. Nie kazało mu nawet otwierać walizki.

W ten sposób Spalding dostał się do Grecji. Między wyspą a stolicą kraju na ładzie stałym nie było żadnych kontroli i barier policyjnych. W stolicy Spalding rozegra pojedynek z Dunnem. Było błędem odkładanie tego tak długo, ale teraz błąd się naprawi.

Mit Dunna rozwieje się wraz z człowiekiem.

Na placu boju zostanie Spalding, niekwestionowany mistrz, Król Śmierci. Pojedynek między nim a Dunnem będzie miał posmak zmagañ średniowiecznych rycerzy - do ostatniej kropli krwi.

Król Śmierci, a co za tym idzie - szacunek i lęk wszystkich dokoła. Potęga i majątek. Rozmyślał nad tym odjeżdżając taksówką z terminalu do miasta. I doszedł do wniosku, że słusznie należą mu się zaszczyty i chwała. Zasłużył na nie.

Postanowił przerwać chwilowo podróż, wyglądałoby bowiem dziwnie, gdyby pasażer z Rzymu natychmiast po wylądowaniu na Rodos leciał do Aten. Nawet cztery godziny do najbliższego samolotu z Rodos do stolicy to zbyt krótko. Cztery godziny na tej historycznej i przepięknej wyspie? Każdy by się zdziwił. Spalding zatrzymał się w hotelu w pobliżu otoczonego murami miasta, które w czternastym wieku zbudowali krzyżowcy, przespał się cztery godziny, a następnie przeszedł brukowanymi uliczkami wśród domów wzniesionych przez rycerzy zakonu joannitów. Przechadzanie się historyczną ulicą rycerzy wczesnego średniowiecza sprawiało mu wielką przyjemność. Spalding czuł się jednym z nich, przynależał do legendy. Widział siebie w zbroi, jadącego na potężnym czarnym ogierze, w dłoni dzierzył długą kopię. Tak, to właśnie on, budzący postrach Czarny Rycerz - zawsze samotny, zawsze wywołujący lęk. Nie była to jakaś w tej chwili zrodzona fantazja. Spalding grał tę rolę w sierocińcu od siódmego roku życia, kiedy to jego pięści zmuszały do posłuchu innych wychowanków.

Następnego popołudnia poleciał do Aten, absolutnie przekonany, że nikt nie obserwuje wewnętrznych połączeń Olympic Airways. Miał na sobie strój kleryka. Już wielokrotnie korzystał z szat duchownych. Zarejestrował się jako ojciec John Baker z Manchesteru w Anglii.

W grudniu noc zapadała wcześniej. Było już prawie ciemno, kiedy ojciec Baker - w odpowiednio wypchanym księżym surducie, aby sprawiać wrażenie mężczyzny o dwadzieścia kilogramów cięższego - wybrał się na spacer po ulicy, przy której mieszkał Stamos. Nie zbliżył się tym razem do rezydencji, skręcając o jedną przecznicę wcześniej. Podczas dwudziestominutowej wędrówki wybrał punkt obserwacyjny na dzień następny - stosunkowo nową pięciopiętrową kamienicę.

Kiedy wrócił do hotelu „Król Minos” przy ulicy Pireus, temperatura spadła do jedenastu stopni Celsjusza. Było jeszcze zimniej, gdy po kolacji spakował do taniej plastikowej torby *Star-Tron* i częściowo zdemontowany karabin snajperski. Wychodząc z torbą o dziesiątej włożył płaszcz nieprzemakalny z ocieplającym podbiciem.

W ciągu dnia nie mógł obserwować terenu ze zbocza góry Licabettos. Zauważyliby go mieszkańcy i bywalcy restauracji. Ale czerń grudniowej nocy zapewniała bezpieczeństwo. W dzieciństwie, w odróżnieniu do innych dzieci, zawsze czuł się dobrze w mroku. Ciemności są naturalną otoczką Czarnych Rycerzy... wygodną domeną Króla Śmierci.

Spalding wdrapał się dwieście metrów na zbocze góry, znalazł gęstwinę jakichś krzewów i ukucnął, by złożyć karabin. Zabił już pięciu mężczyzn z tego *Weatherby Magnum 470*, wypluwającego potężne pociski z prędkością ośmiuset pięćdziesięciu metrów na sekundę. Jeden pocisk mógł powalić rozwścieczonego słonia i zrobić miazgę z głowy Dunna. Trzeba to załatwić jednym strzałem i musi to być właśnie strzał w głowę. Z tej odległości nie wolno ryzykować - kamizelka kuloodporna mogła zatrzymać pocisk.

Spalding włożył rękawiczki, włączył *Star-Tron* i zaczął przeglądać ulice i domy Kolonaki. Badał dokładnie każdy skrawek okolicy w poszukiwaniu Charlesa Dunna.

Nic. Absolutnie nic.

Było mu niewygodnie, cały zeszywniał. Zastanawiał się, co w tej chwili może robić Dunn, gdzie jest? Co kombinuje? Dunn był fanatykiem planowania w najdrobniejszych szczegółach.

Plan. Zasadzka. Realizacja. Odwrot.

Podstawowe zasady.

Temperatura nadal spadała. Spalding nie pozwalał, by fizyczne niewygody stanowiły przeszkodę podczas przygotowywania planowanej egzekucji, a skoro jej przedmiotem jest Charles Dunn, złe warunki pogodowe czy inne w ogóle muszą przestać mieć znaczenie. Wprost odwrotnie - zrobiło mu się nawet przyjemnie ciepło, gdy wyobraził sobie, jak pocisk roztrzaskuje w pył czaszkę Dunna. Rozgrzany tą perspektywą ze zdwojoną energią kontynuował optyczny rekonesans.

Nic.

Mijały minuty, mięśnie szyi miał już obolałe, uda zdrętwiałe, oczy piekły od wlepiania wzroku w szkła noktowizora.

Siedem minut po północy. Postanowił czuwać do kwadrans po pierwszej. Wszystko przemawiało za tym, że Dunna nigdzie w okolicy nie ma, ale pozostanie dłużej na stanowisku umacniało w Spaldingu własny wizerunek człowieka twardego i zdyscyplinowanego.

O 01.05 Spalding był już pewien, że tej nocy nie zobaczy Dunna. Niemniej pozostawał na miejscu. Była to kwestia dumy i godności osobistej. Powiedział sobie pierwsza piętnaście i doczeka do pierwszej piętnaście. Znudzony obserwowaniem Kolonaki skierował noktowizor na zbocze góry Licabetos. Może zobaczy coś ciekawego i podniecającego w którymś z okien? Większość z nich miała jednak zamknięte okiennice.

O tej porze paliły się tylko nieliczne światła. Czegóż innego można się spodziewać po grudniowej nocy? Spalding wpatrzył się w jedno z okien - starsza kobieta nalewała coś z butelki. Z pewnością alkohol. Skierował noktowizor na inne okno i zobaczył obejmującą się parę. Parę mężczyzn! Spalding z zainteresowaniem patrzył, jak się rozbiegają i dokonują aktu płciowego. Jakby byli w gorączce. Wzruszył ramionami. Widział lepsze popisy homoseksualistów w Berlinie. Niemieccy „artyści” byli doświadczonymi profesjonalistami.

O 01.12 para osunęła się wyczerpana, a Spalding skierował noktowizor na inny dom o dwieście metrów dalej. W oświetlonym oknie nie było nikogo. Zaczął kierować *Star-Tron* na kolejny dom nieco wyżej na zboczu i nagle znieruchomiał wstrzymując jednocześnie oddech.

Spoglądał prosto w drugi *Star-Tron*.

Ktoś go obserwował!

Oczywiście nie mógł rozpoznać sylwetki, ale doskonale wiedział, kto to taki.

Oczywiście Dunn.

Kierowany instynktem samozachowawczym padł na ziemię i przetoczył się w kępę krzaków. Zesztywniał cały, spodziewając się lada

moment uderzenia pocisku. Dunn bez wątpienia także miał snajperską broń i w zasadzie powinien był już strzelać.

Żaden strzał jednak nie padł.

Żadna kula nie przemknęła ze świstem wśród grudniowej nocy.

Spalding pochwycił swój własny karabin, przytknął oko do optycznego nocnego celownika i ułożył palec na spuście. Przejrzał cały odcinek terenu, gdzie poprzednio zauważył *Star-Tron*, i niczego nie znalazł. Ten, kto tam był, musiał zmienić stanowisko obserwacyjne. Musiał ukryć się zupełnie gdzie indziej na zboczach i czatuje teraz na okazję oddania strzału.

A Dunn nigdy nie pudłuje.

Jego precyzja w trafianiu do celu graniczyła z czarami. Podczas nocnych treningów miał dwadzieścia dziewięć trafień w sam środek tarczy na trzydzieści oddanych strzałów. I to z odległości dwustu metrów. Jego wyniki podczas ćwiczeń w terenie były prawie równie dobre.

Spalding uświadomił sobie to wszystko w trzy sekundy. I uświadomił sobie też, że jest w niebezpieczeństwie. Może nie przeżyć następnej minuty.

Gdzie, do cholery, jest Dunn?

Nie miał czasu na rozmyślanie.

Musi znaleźć bezpieczne miejsce, osłonę za jakimś głazem lub żelaznym pancernem, którego nie przebije kula o tak dużej prędkości. Pnie sosen, którymi obrosło wzgórze, nie zatrzymają pocisków karabinowych.

Spalding poczuł przedziwną pustkę w dołku. Oddychał spazmatycznie, słyszał głośnie bicie własnego serca. To nie jest strach, lecz gniew, wmawiał sobie. Należy zachować spokój i natychmiast zaplanować racjonalnie następny ruch, po czym opuścić to miejsce. Każda próba obejścia jakiegokolwiek innego nieznanego przeciwnika i dopadnięcia go od tyłu w nocy i w nieznanym sobie terenie - a cóż dopiero takiego jak Dunn strzelca - byłaby szaleństwem. Z pewnością Dunn od paru już dni penetruje okolicę w dzień i w nocy. To w jego stylu.

Pierwsze zadanie: wycofać się poza zasięg broni Dunna. Następnie samemu wybrać teren konfrontacji. Uczynić to od razu, bo może być za późno. W tego typu pojedynkach nikt nie otrzymuje drugiej szansy. Nagle pojawiły się wątpliwości. A jeśli Dunn wciąga go w pułapkę?

Dlaczego nie strzelił?

To nie było do niego podobne. Dunn nigdy nie marnował okazji. Musi być jakiś powód. Coś bardzo zaskakującego. Dunn jest z pewnością

wściekły, że ktoś go tropi. Może jego plan zemsty zakłada coś bardziej bolesnego niż szybki karabinowy pocisk?

Kto wie, czy nie zamierza Spaldinga pomęczyć przed zastrzeżeniem? Albo okaleczyć i zostawić na całe życie w inwalidzkim wózku?

Spięty i zbulwersowany tymi przerażającymi przypuszczeniami Spalding odczołgał się pięć metrów, chwilę odczekał i odsunął się o następne kilka. Poruszał się zygzakami, zwalniał, przyspieszał, aby utrudnić snajperowi uwzględnienie kierunku i dokładnego położenia celu. Robił dokładnie to, czego Dunn go nauczył. Ziemia była zimna, usiana kamieniami i porośnięta kłującymi i drapiącymi krzakami. Spalding prawie nie czuł ukłuć i zadrapań. Musi się czym prędzej oddalić! Niemniej zajęło mu piętnaście minut znalezienie prowizorycznego schronienia za samochodem zaparkowanym przed niskim domem.

Zdyszany i mokry Spalding nadal nie miał odwagi się podnieść. Wiedział, że jeszcze nie jest bezpieczny. Dunn mógł wdrapać się wyżej na wzgórze, okrążyć Spaldinga i znajdować się teraz nad nim, zamierzając odstrzelić mu pół głowy. Albo czeka wysoko z kuszą i zaraz wyśle mu między oczy dwudziestocentymetrową stalową strzałkę. Może też jeszcze lepiej: siedzi tu gdzieś w pobliżu z garotą z fortepianowej struny lub z ostrym jak brzytwa komandoskim nożem, którym tak łatwo podrzyna się gardło...

Zresztą możliwości Dunna są niewyczerpane. Może chlusnąć Spaldingowi w twarz kwasem, który oślepi go i na całe życie oszpeci.

Dlaczego nie zwykły, precyzyjnie wymierzony cios w kark lub kręgosłup, gwarantujący paraliż rąk i nóg bez szansy wyleczenia?

Spalding dobrze wiedział o tych wszystkich możliwościach, gdyż z każdej w przeszłości korzystał. Nie mógł więc sobie pozwolić na sterzenie za samochodem, podczas kiedy Dunn będzie dokonywał wyboru sposobu uśmiercenia przeciwnika. Trzeba natychmiast zaplanować własną taktykę postępowania. Przejęcie inicjatywy jest pierwszym krokiem do uzyskania kontroli nad sytuacją.

Tej zasady nauczył go Dunn.

Spalding rozejrzał się dokoła i postanowił wycofać się wąską alejką między dwoma domami. Był w połowie drogi, kiedy usłyszał coś przed sobą. Natychmiast przykląkł i przyłożył do oczu noktowizor, poszukując źródła dźwięku.

To nie był Dunn.

To był pies. Wielki labrador; posuwał się wolno i warczał na obcego. Labradora należało uciszyć. Jego warczenie mogło ściągnąć

uwagę Dunna. Spalding wiedział, że jeśli się teraz poruszy, to pies narobi jeszcze większego hałasu. Tkwił więc bez ruchu, zezwalając psu na podejście. Wreszcie błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż i z całym siłą cisnął nim w pierś labradora. Pies padł martwy, wydając przedtem jedno charknięcie. W skulonej pozycji Spalding podszedł, wyciągnął nóż z psiej piersi i dla pewności zadał jeszcze jeden cios. Potem nóż wytarł o sierść i schował. Przez długi czas wsłuchiwał się w nocną ciszę. Nic nie sygnalizowało obecności Dunna.

Stosując nadal metodę kluczenia poszedł dalej. Po dwudziestu minutach dotarł do podnóża góry, gdzie rozebrał karabin i pochował jego części w specjalne wewnętrzne kieszenie płaszcza.

Jeszcze nie był bezpieczny. Dunn mógł gdzieś się kryć. Mógł czaić się wszędzie, mógł zastawić pułapkę.

Trzeba znaleźć bazę operacji Dunna. Znaleźć miejsce, gdzie Dunn czuje się bezpieczny.

Posuwając się bardzo ostrożnie prawie pustymi ulicami, minął siedem skrzyżowań, aż wreszcie znalazł budkę telefoniczną zasłoniętą dwoma samochodami. W Atenach było kilkanaście hoteli, w których mógł zatrzymać się Dunn z tą blondynką. Spaldingowi trudno było wszystkie sprawdzić. Tylko wielka organizacja wywiadowcza mogła to zrobić w ciągu dwudziestu dwóch godzin i dziesięciu minut. Potem już jest Boże Narodzenie, którego Dunn nie ma prawa doczekać.

Spalding wszedł do budki i wykręcił poufny numer, pod którym dyżur trwał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po piętnastu minutach wszedł do recepcji swego hotelu. Nocny recepcjonista był zbyt grzeczny, by o cokolwiek pytać, ale wyraźnie widział, że biedny ksiądz nie czuje się dobrze. Na twarzy zdrowego człowieka w grudniową noc nie perlilby się pot.

Dunn nie posiadał się ze zdumienia.

George Stamos wychodził z domu.

Od pięciu i pół godziny Dunn obserwował rezydencję z dachu czteropiętrowej kamienicy. Lornetką już ze trzydzieści razy przewędrował całe sąsiedztwo, każdą uliczkę i okno, wyszukując prawdopodobnych stanowisk snajpera.

Była czternasta dwadzieścia 24 grudnia.

Dunn był zmęczony, zziębnięty, ale ciekawy.

Dlaczego właśnie teraz handlarz broni opuszcza bezpieczne schronienie w rezydencji-fortecy swego brata?

Nie było czasu na dłuższe spekulacje. Stamos szedł szybkim krokiem w stronę dużego czarnego Cadillaka, podczas gdy dwaj ochroniarze rozglądali się po ulicy. Stamos sam otworzył sobie drzwiczki samochodu. Było jasne, że nie spodziewa się najmniejszego zagrożenia.

Dunn zbiegł po schodach, jak tylko mógł najszybciej, wsiadł do Mercedesa i zapuścił silnik. Chciał znajdować się jak najbliżej limuzyny handlarza broni, gdyż Spalding mógł w każdej chwili przystąpić do akcji.

Od rezydencji Stamosa dzieliły go dwie przecznice, a cholerny Cadillac właśnie ruszał. Dunn włączył się w ruch uliczny. Zaklął, gdy na skrzyżowaniu zatrzymał go natłok pojazdów. Miał nadzieję, że podobne problemy spowolnią też Cadillaka. Zaczął trąbić. Dwie elegancko ubrane kobiety spojrzały wyniośle i kontynuowały swój spacer przez jezdnię mimo czerwonego światła dla pieszych.

Kiedy podjechał do rezydencji, czarnej limuzyny już nigdzie nie było. Czy uda mu się ją dopędzić? Którędy pojechała? Może do śródmieścia, gdzie George Stamos ma jakieś sprawy do załatwienia? Czy sta spekulacja, ale spekulacja oparta na profesjonalnej ocenie sytuacji. Dodał gazu, wyprzedził dwa samochody, jadąc z szybkością zdecydowanie niedozwoloną i niemal wpadł na furgonetkę Olympic Airways.

Zgubił czarnego Cadillaka.

Natomiast Spalding mógł go dopędzić, korzystając z broni przeciwpancernej. Ani kuloodporna szyba, ani stalowe blachy nie powstrzymają rakiety zbudowanej po to, by uśmiercała czołgi. Spalding mógł mieć sześćdziesięciosześcioletnią raketę *M72* używaną przez Amerykanów i Kanadyjczyków albo rosyjski granatnik przeciwpancerny *RPG-7*. Pociski z obu broni przebiłyby karoserię Cadillaka, niczym papierową torebkę, i wypaliłyby doszczętnie całe wnętrze.

Samotny dozór był szaleństwem, powtarzał sobie Dunn, zastanawiając się, co robić dalej. Tego typu inwigilacja wymaga trzech lub nawet czterech pojazdów i tuzina agentów. Dunn nie miał samochodów, agentów i nie miał wyboru. Miał tylko własną głowę i pomysłowość, *Star-Tron* oraz Heather James.

Nagle zobaczył go.

Czarny Cadillac znajdował się nie dalej niż dwadzieścia metrów przed nim, jakby wyrósł spod ziemi.

Pojechał za nim. Po minięciu trzech skrzyżowań Cadillac zatrzymał się przed sporą kamienicą. Dunn pojechał za skrzyżowanie i stanął przy chodniku. W lusterku mógł obserwować wejście do kamienicy.

Kogo George Stamos tu odwiedza?

Musiała to być bardzo ważna sprawa, skoro zdecydował się opuścić swoją kryjówkę. W innym wypadku nie wystawiałby się na niebezpieczeństwo w wigilijne popołudnie.

Siedząc w zaparkowanym Mercedesie Dunn czuł się odsłonięty. Wpatrywanie się w lusterka i rozglądanie się dokoła nie zmniejszały poczucia zagrożenia. Trudno było przewidzieć, jaki rodzaj maskarady wybierze Spalding, albo odgadnąć czas jego ataku. Na pewno wymyśli coś bardzo oryginalnego. Ten sukinyś bił na głowę wszystkich reżyserów filmów szpiegowskich. Jego pomysłowość mogła konkurować tylko z rozmiarami jego szaleństwa.

Dziesięć minut po trzeciej wyszli na ulicę ochroniarze Stamosa. Tym razem jeden z nich otworzył drzwi limuzyny. Następnie ukazał się George Stamos z bardzo zbolałym wyrazem twarzy. Zatrzymał się na chwilę i przyłożył dłoń do policzka. I oto Dunn miał odpowiedź na dręczące go pytanie.

Owym kimś, z kim spotkanie stało się konieczne, był dentysta.

Bólu zęba nie udało się odłożyć. Wigilijne popołudnie czy nie, należało złożyć wizytę dentyście, dentyści bowiem nie odwiedzają pacjentów.

Dunn jechał za limuzyną aż do rezydencji, a następnie powrócił na swój dach i wznowił obserwację. Następnego dnia będzie musiał wybrać inne miejsce. Nie można zbyt długo używać jednego.

O piątej zrobiło się już ciemno. Uzmysłowił sobie, że nie ma prezentu dla Heather. Powinno to być coś pięknego i złotego, żeby pasowało do jej włosów. Coś prostego i klasycznego. I powinno być równie wspaniałe jak ona.

Trafił do sklepu Lalaounisa dziesięć minut przed zamknięciem. W cztery minuty wybrał prezent: rzeźbiona w osiemnastokaratowym złocie broszka. Przyjemnie było podpisywać czek i podróże po sto dolarów każdy.

Gdy wszedł do pokoju, zastał Heather rozpartą wygodnie w fotelu, zatopioną w lekturze ilustrowanego przewodnika po muzeum narodowym. Uzgodnili, że kiedy Spalding przestanie już być zagrożeniem, spędzą cały dzień w tym przybytku skarbów. Dunn z uśmiechem pomyślał o tym dniu. Natychmiast jednak przeskoczył na inny temat.

- Wychodziłaś z pokoju? - spytał.

- Tylko na chwilę. Poszłam na drugą stronę ulicy do księgarni. Wspaniałe są te kolorowe zdjęcia...

Zadzwoił telefon. Wstała, by podnieść słuchawkę. Uśmiech zastrygł na twarzy Dunna.

- Nie dotykaj telefonu! - krzyknął.

- Co? Dlaczego?

- Nie ruszaj się! Broń Boże nie wychylaj się w stronę okna.

Telefon uparcie dzwonił.

- O co chodzi, Charlie?

- Bomba. Nie wpadaj w panikę. Wszystko będzie dobrze.

- Bomba? Gdzie? - Steżwała.

- W telefonie. On nas pilnuje i zdetonuje ją, gdy któreś podniesie słuchawkę. Teraz uważaj! Za pięć sekund otworzę drzwi. Masz wyskoczyć z pokoju tak szybko jak nietoperz umykający z piekła.

Nie czekał na potwierdzenie, lecz zaczął liczyć:

- Raz... dwa... trzy... cztery... Jazda!

Gdy zaczęła biec, Dunn zobaczył odbity w ściennym lustrze jakiś drobny ruch w oknie po przeciwnej stronie ulicy. Rzucił się za Heather i powalił ją na ziemię, wypychając jednocześnie za próg do korytarza. Oboje upadli. Porwał ją i pchnął w prawo poza otwarte drzwi.

I wtedy bomba wybuchła.

Podmuch wybił szyby w oknach, strzaskał lustro, lampy i większość mebli. Kawałki telefonu i stolika, na którym stał, pofrunęły przez pokój, niczym odłamki pocisku artyleryjskiego, niszcząc wszystko po drodze. Na korytarz poleciały kawałki drutu, plastikowych osłon,

metal i drewno niszcząc przeciwległą ścianę. Drzwi od pokoju zostały wyrwane z zawiasów. Przez chwilę kołysały się niepewnie, a potem upadły z hukiem na ziemię, uderzając przedtem Dunna i ostrym kątem trafiając Heather w obojczyk. Krzyknęła z bólu. Wydawało jej się, że słyszy trzask pękającej kości.

Biała chmura pyłu i tynku wypełniała korytarz. Słyszał się krzyki ludzi, lecz Dunn ich nie widział. Odkaszlnął, wypluł jakieś drobiny, zakaszał jeszcze raz i pochylił się nad Heather James. Tylko ona miała teraz znaczenie. Obrócił bezwładne ciało, ostrożnie, bardzo ostrożnie. Jest ranna, ale chyba żyje? Musi żyć!

Nie ruszała się.

- Heather! Heather! - Zaczął prawie wyć, rozpaczliwie.

Powoli otworzyła jedno oko.

Żyła!

Po kilkunastu sekundach otworzyła drugie. Oba były nieco zmatowiałe. Twarz miała obsypaną kruszynami tynku, z przecięcia skóry na czole sączyła się krew. Prawy rękaw jedwabnej bluzki był do połowy odcięty jakby brzytwą. Z trudem łąpała oddech. Wykaszała drobiny białego pyłu i skrzywiła się z bólu.

- Mam chyba złamany obojczyk, Charlie - odezwała się bez specjalnej emocji i jeszcze parę razy zakaszała. Tym razem wyraźnie zobaczył wyraz bólu na jej twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, Heather - wyszeptał.

- Bardzo lubię, kiedy do mnie mówisz Heather. Nie lubię, kiedy mnie nawet żartem nazywasz panią doktor... Dziękuję ci, Charlie...

Zakaszała i zakrzuszyła się. W oczach miała łzy.

- Bardzo mnie boli, Charlie, i nie podoba mi się ten twój cholerny świat.

- Mnie też się nie podoba - odparł.

Wyjął z kieszeni chustkę i zaczął ocierać jej czoło z krwi.

- Chyba zemdleję, Charlie - obwieściła.

Straciła przytomność dziesięć sekund później. Gdy się obudziła, była 6.58 następnego dnia. Znajdowała się w pokoju szpitalnym, prawe ramię i obojczyk miała w gipsie. W stopach łóżka siedziała niewyraźna postać. Rozpoznała Dunna.

- Ciągle boli, Charlie!

- I będzie bolało przez sześć tygodni. Ale martwić się nie należy. Lekarze mówią, że złamanie jest proste. Ze szpitala wyjdiesz za dwa dni.

W pobliżu zaczęły bić dzwony.

- Która godzina? - zapytała słabym głosem.

- Siódma rano dwudziestego piątego grudnia. Wesolych Świąt, kochanie!

Straciła świadomość czasu. Od wybuchu upłynęło dwanaście godzin. Dlatego była taka głodna. Dunn podchodził do niej z czymś żółtym i błyszczącym. Skoncentrowała z trudem wzrok i zobaczyła przepięknie rzeźbioną złotą broszkę.

- Jest śliczna - szepnęła.

- I ty też...

Chciała poruszyć głową, ale to wywoływało ból. Jeszcze nie ustąpiły skutki szoku.

- Dziękuję ci, Charlie.

- Ja ci dziękuję za ciebie. - Pochylił się i złożył na jej ustach delikatny pocałunek. Westchnęła i zamknęła na chwilę oczy.

- Skąd wiedziałeś, że to bomba?

- Nie wiedziałem na pewno. Ale trzy rzeczy wiedziałem. - Podniósł trzy palce. - Że już używał zdalnie detonowanych bomb, ukrytych w aparatach telefonicznych, że wysłaś z pokoju dając mu możliwość jej umieszczenia, że nikt do nas nie mógł dzwonić, ponieważ nikomu nie powiedziałem, gdzie się zatrzymujemy.

Znow ją zabolalo, gdy próbowała skinąć głową. Dopiero teraz zauważyła jego wymięte brudne ubranie. To samo, w jakim zaskoczył go wybuch.

- Byłeś tu całą noc? - spytała.

- Z wyjątkiem godziny w holu spędzonej na kłamaniu policji. Dwóch policjantów pilnuje teraz drzwi.

Sens tych słów dotarł do niej dopiero po paru sekundach.

- Policja uważa, że Spalding może ponownie spróbować?

Skinął głową.

- I ty też tak sądzisz?

Nim zdołał odpowiedzieć, wszedł mundurowy policjant i powiedział, że przybył porucznik Rossides i pragnie zadać kilka pytań. Przed wyjściem z pokoju Dunn raz jeszcze pocałował Heather.

Nie odpowiedział na jej ostatnie pytanie, ale odpowiedziały jego oczy.

Spalding będzie nadal próbował.

O trzynastej 26 grudnia pięć osób opuściło tylnym wejściem Amerykański Szpital w Atenach. Jedną z nich była kobieta o blond włosach, której narzucony na plecy nieprzemakalny płaszcz nie potrafił całkowicie ukryć pokaźnego gipsowego opatrunku, zakrywającego lewe ramię i obojczyk. Drugą osobą był szczupły muskularny mężczyzna o niespokojnych i rozbieganych oczach, z dwoma pistoletami

pod sportową marynarką bez wątpienia amerykańskiego kroju. Pozostała trójka to umundurowani funkcjonariusze policji.

Ponadto na zewnątrz czekało jeszcze dwóch policjantów. Jeden z nich trzymał przy prawym udzie pistolet maszynowy o krótkiej lufie. Policjanci przyglądali się z kamiennymi twarzami, jak Dunn pomaga Heather wejść do Mercedesa. Kiedy na pożegnanie skinął im głową, nie odpowiedzieli. Dunn zapalił silnik i odjechał.

- Przyjaźni to oni nie są - zauważyła Heather.

- Widziałas policjantów przyjaznych wobec ludzi, przez których mają kłopoty?

- Ale my byliśmy ofiarami!

- Policjanci okropnie nie lubią bomb - tłumaczył Dunn. - Bomba oznacza ślepy terror. Bomba oznacza polityczne naciski i wielkie tytuły w gazetach, czego z kolei okropnie nie lubią rządowe agencje turystyki.

- Przecież omal nas nie zabito! - wykrzyknęła Heather. - Należy się nam trochę współczucia z ich strony.

- Współczucia! - Roześmiał się. - Powiedzą: omal ich nie zabito, rzeczywiście przykra sprawa, ale po co dają się zabijać w naszym kraju? Dlaczego my mamy mieć kłopoty i po nich sprzątać? Policjanci dobrze wiedzą, że ktoś musiał mieć niezły powód, żeby nam podłożyć bombę. I ani przez minutę nie uwierzyli w moją historyjkę.

Wstrząsnął nią dreszcz.

- To dlaczego nas puścili? - spytała.

- Bo chcą się nas pozbyć i to jak najszybciej. Jeśli mamy być przez kogoś załatwieni, to niech ten ktoś zrobi to w innym kraju. Dali mi to wyraźnie do zrozumienia.

- Co im powiedziałaś?

- Że odlecimy pojutrze. To ich nieco uspokoiło. - Dunn zerkał przez cały czas we wsteczne lusterko.

- Więc zostawią nas teraz w spokoju?

- Niezupełnie. Będziemy pod ich pełnym nadzorem aż do chwili odlotu. Nawet w tej chwili jedzie za nami samochód pełen policjantów, a w naszym dawnym hotelu porozstawiani są na każdym kroku.

- Bardzo nie lubię, kiedy ktoś za mną chodzi, Charlie. Wtedy, kiedy poszłam do tej księgarni naprzeciwko hotelu, była tam kobieta, która za mną chodziła. Wyglądała na Japonkę albo Chinę.

- Japonka albo Chinka? Tylko tyle zauważyłaś? Na ten kolor skóry i skośne oczy cierpi z pół miliarda kobiet.

- Nie żartuj za mnie, Charlie. Mówię poważnie. Czy to możliwe, że ona naprowadziła na nas Spaldinga?

Dunn skinął głową.

- Wszystko jest możliwe, mógł mieć współpracownika. - Chwilę zastanowił się. - Żeby na nas tak szybko trafić, potrzebował czegoś więcej niż lutu szczęścia. Potrzebował mieć zaplecze w postaci organizacji...

Ale której organizacji? - zadał sobie w duchu pytanie.

Bardzo istotne pytanie! SWR czy fałszywi przyjaciele na wysokich stanowiskach w CIA? I nie chodzi o żadną wtyczkę obcego wywiadu, ale osobę lub sekcję uczestniczącą w jakiejś operacji.

Trudno uwierzyć, że wyciągają z emerytalnych pieleszy spalonego agenta, któremu trzęsą się ręce, i wysyłają w teren w celu upolowania wysoce wykwalifikowanego i młodszego likwidatora? Może Dunna wysłano w teren jako zasłonę dymną? Może Spaldinga nadal łączą jakieś więzy z CIA i jest on w trakcie wykonywania tajnej misji, której nikt nigdy nie powinien skojarzyć z rządem Stanów Zjednoczonych? Może CIA chce, żeby Dunnowi się nie powiodło?

Istniała jeszcze jedna możliwość, nie lepsza od poprzednich. Otóż wtyczka wrogiego wywiadu mogła tak chytrze pokierować sprawą, by CIA wszystkie nadzieje pokładała w Dunnie, ponieważ Dunn nie miał szansy powstrzymać szybkiego i niezawodnego Spaldinga. Najemnik typu Spaldinga mógł służyć dwóm panom - wykonywać zlecenia dla obu krajów i jeszcze innych osób czy organizacji. Jakich innych? Chińczyków? Bogatego w ropę państwa arabskiego?

Wtyczka była na śmierć i życie związana z Rosjanami. Spalding był tylko doraźnym narzędziem.

Spalding nikomu nie oddał się w pakt. Pracował dla każdego, kto płacił. Interesowały go tylko pieniądze. I miał jeszcze jedną obsesję: zabić Charlesa Jeffersona Dunna.

Wszystko to razem stanowiło ponurą łamigłówkę lub, jeśli kto woli, kostkę Rubika skonstruowaną przez szaleńca o zbrodniczych skłonnościach. Dunn przemieszczał i składał w głowie poszczególne elementy rebusu, ale nie wyłoniła się żadna odpowiedź. Był jej blisko, lecz nie potrafił z tego chaosu wychwycić sensu. Zdesperowany potrząsnął głową.

- Coś nie tak, Charlie? - spytała Heather.

- Sam nie wiem. Ale sobie poradzę.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem, który wykluczał dalsze pytania. Heather James nie znosiła tej bariery, która separowała ją od

kochanego człowieka. Poznała go jednak na tyle, że wiedziała, iż od czasu do czasu musi ścierpieć to jego zamykanie się we własnej skorupie. Tkwił w niej właśnie teraz, zabarykadowany i samotny. Toczył wojnę z własnymi myślami. I to była właściwie jego najistotniejsza broń w arsenale, który pozwalał mu przeżyć.

Po paru minutach podjechali pod hotel. Nie ten, w którym wybuchła bomba. Dyrekcja tamtego była zachwycona, kiedy Dunn wyprowadził się poprzedniego wieczoru.

- Mamy teraz znacznie ładniejszy widok - powiedział Dunn, gdy weszli. Idąc wolno przez główny hol Heather spostrzegła dwóch muskularnych mężczyzn zaczytanych w gazetach.

- Ci dwaj to nasza ochrona? - spytała.

- Ci trzej - poprawił Dunn.

Nie zauważyła trzeciego, który stał oparty o ladę recepcji. Było ich jeszcze dwóch na czwartym piętrze w pokoju naprzeciwko ich apartamentu. Zostawili drzwi otwarte i siedzieli na wprost nich. Jeden trzymał na kolanach pistolet maszynowy.

- Bardzo mi się to wszystko nie podoba - stwierdziła Heather.

- Podzielam twoje zdanie - mruknął Dunn.

Gdy zamknęli za sobą drzwi Dunn pomógł jej zdjąć płaszcz. Z troską w oczach patrzył, jak Heather sadowi się w fotelu. Zamknęła oczy. Miał nadzieję, że się zdrzemnie. Niech trochę odsapnie, a wtedy jej powie, co postanowił i jaki planuje następny ruch.

Nie będzie to jej się podobało.

Właściwie nie spała. Drzemała niespokojnie przez dziesięć minut, a potem podniosła głowę i zobaczyła jego spiętą twarz.

- Mogliby przynieść nam tu kawy? - poprosiła.

- Jesteś pewna, że nie pośpisz?

- Jestem pewna.

Dunn przez telefon zamówił duży imbryk kawy i kazał sobie przynieść najnowszy „International Herald Tribune”. Kwadrans później mogli pochłaniać jedno i drugie. Heather zauważyła, że Dunn pomija pierwsze strony, omawiające chaos i światowe kryzysy, przechodząc od razu do działu drobnych ogłoszeń. Czego on tam tak pilnie szuka?

- Jest! - powiedział triumfalnie.

Przeprosił i wyszedł z gazetą do łazienki. Po czterech minutach powrócił zgnębiony.

- Jak się czujesz? - spytał z troską w głosie.

- Nienadzwyczajnie, ale chyba nie jestem tak zgnębiona jak ty. Możesz mi wszystko powiedzieć, Charlie. Nie zemdleję.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- No dobrze, zacznijmy od wierzchołka. Pamiętasz, kiedy ci powiedziałem, że coś mi tu nie pasuje? Coś, co bardziej daje o sobie znać.

Skinęła głową, popijając małymi łydkami kawę.

- Rozmyślałam nad tym już od dłuższego czasu i wreszcie rozwiązałam zagadkę. Już wiem, co nie pasuje bez względu na to, czy dzieję, dodaję, mnożę, czy odejmuję. Ujmując to krótko: nie zabija się muchy strzelając z armaty.

- Kto czy raczej co jest tą armatą?

- Wtyczka. Podwójny agent. Człowiek, który zajmuje wysokie stanowisko w CIA, a jest agentem SWR. Nikt nie wie, kto, od kiedy, jak się wcisnął i w jaki kąt. Sprawa niesłychanie poważna i ściśle tajna. Ten agent jest dużego kalibru armatą. Jest niezwykle wartościową bronią w rękach przeciwnika. Wart jest z pewnością więcej niż

dywizjon bombowców strategicznych lub dywizja piechoty. Nie wiadomo, ilu ludzi już straciło przez niego życie. Może setki, a nawet tysiące. Całe rozbudowane siatki mogły zostać ujawnione, liczne operacje unicestwione. I CIA nigdy się nie dowie, dlaczego taka czy inna misja się nie udała. W dzisiejszym świecie tego typu podwójny agent może kosztować nas utratę całego państwa. Dosłownie całego społeczeństwa któregoś z małych i słabych państw afrykańskich lub południowoamerykańskich. Tak cennego agenta nikt o zdrowych zmysłach nie będzie używał, ryzykując jego ujawnieniem, do organizowania misji mającej na celu wyeliminowanie mało znaczącego afrykańskiego prezydenta.

- Masz na myśli Ndugu?

- Ndugu czy kogoś podobnego. W tym wypadku chodzi o osobistość znacznie ważniejszą. Chodzi o wielką sprawę.

- Ndugu to też wielka sprawa - broniła swego stanowiska Heather. Dunn pokręcił głową.

- Zupełnie inna liga. Kontrakt musi dotyczyć znaczniejszej osobistości o światowym znaczeniu. Chodzi o kogoś wystającego kilka metrów ponad głowy pozostałych. - Po chwili Dunn dodał: - SWR nie wierzy w świętych, więc po co tyle inwestować w zamordowanie świętego Ndugu?

- A ty wierzysz w świętych, Charlie?

- W tej chwili nie ma najmniejszego znaczenia, w co wierzę. Znaczenie ma to, co wiem. A wiem, kto ma być główną ofiarą Victora Spaldinga. Jestem prawie pewien. Musi to być autentyczny światowy autorytet. Musi nią być osoba, która naprawdę się liczy...

- Papież? - odrzuciła.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych? - zaproponowała z rezygnacją.

- Myślałem o tym, ale nie jestem pewien - przyznał Dunn. - Jestem natomiast pewien, że nie chodzi o prezydenta Twanzi. Przykro, że muszę cię rozczarować, Heather. Tak na to liczyłaś...

- I dlatego ociążasz się z wyjazdem do Twanzi? - zapytała po chwili milczenia poświęconej upiciu paru łyków kawy.

- Nie mam najmniejszego zamiaru tam lecieć - odparł.

Zabolał ją obojczyk, gdy odstawiała filiżankę, ale zignorowała ból.

- Kto w takim razie ochroni Alfreda Ndugu przed majorem Melendezem? Tydzień już prawie upłynął. On wkrótce zabije Stamosa i przeniesie się do Afryki. Sam to powiedział, Charlie!

- Stary Hippo ma swoich ludzi w policji. Prześle im wiadomość, że Melendez jest członkiem ekipy o morderczych skłonnościach. Policja przynajmniej przez miesiąc przetrzyma naszego majora, poddając go mało łagodnemu przesłuchaniu. Do tego czasu wyjaśni się wiele spraw. A przede wszystkim, co planuje Spalding.

Dunn palcem postukał w gazetę.

- Barringer informuje, że wczoraj Spaldinga zauważono w Tokio, gdy opuszczał lotnisko. Japońskie służby pilnie go poszukują.

- On jest w Tokio! Myślisz, że chodzi mu o cesarza? - spytała.

Tylko wzruszył ramionami.

- Bardzo mi się to nie podoba, Charlie. Uważam, że nie powinniśmy się rozłączać.

- Ja też tak uważam, Heather. I zaprzestaniemy tej praktyki, kiedy powstrzymam Spaldinga.

Mimo bólu, jaki sprawiał jej każdy ruch, pochyliła się ku niemu.

- Nie ma najmniejszego powodu, dla którego nie miałabym jechać do Tokio - upierała się.

Podsunał jej dłoń z rozstawionymi palcami.

- A ja już na początek dostrzegam ich pięć. Po pierwsze, nie znasz miasta i nie mogłabyś w niczym pomóc. Po drugie, jest wskazane, abyś ze względów zdrowotnych wróciła do Stanów i oddała się pod opiekę własnego lekarza i tak dalej.

- Czuję się świetnie.

- Nie umiesz kłamać. Po trzecie, twój wyjazd do Stanów jest wskazany ze względu na mnie. Martwienie się o ciebie powoduje utratę zdolności pełnej koncentracji. Po czwarte, ten cholerny gips pozwala cię jeszcze łatwiej rozpoznać. Nawet z daleka jesteś widocznym celem.

Wyjął z kieszeni cygaro i zapalniczkę.

- Podaj ten piąty powód - mruknęła.

- Będąc w takim stanie, spowolniłabyś moje ruchy. Instykt mówi mi, że zbliżam się do ostatniego zakrętu przed metą. Potrzebuję zebrać wszystkie siły i biec jak można najszybciej, rozglądając się ponadto, czy gdzieś na drodze nie leży kawałek szczęścia, po które warto byłoby się schylić.

Dziwny wyraz pojawił się na jej twarzy. Dunn odgryzł koniuszek cygara i zapalił je.

- To, co powiem, jest chyba rezultatem wybuchu tej bomby... Musiało pomieszać mi się w głowie. Przed chwilą przyszła mi do głowy okropna myśl... - zaczęła mówić Heather. - Otóż nie miałabym zła-manego obojczyka, nie miałabym tego szumu w głowie, ty nie

miałbyś teraz tylu problemów, gdybyś tej nocy, kiedyś go zobaczył na zboczach góry... - Nie miała odwagi dokończyć. Uczynił to za nią:

- Gdybym owej nocy zabił go, pakując mu kulkę między oczy. Tak, to by znacznie uprościło sytuację. Wrócilibyśmy razem do domu, otrzymałbym worek pieniędzy od wdzięcznego rządu i mielibyśmy zwykowny ślub. Ślicznie wyglądałabyś w białej sukni.

- Daję słowo, że nie o to mi chodziło, Charlie!

- Wszystko w porządku, Heather, nie tłumacz się. Ta sama myśl i mnie przyszła do głowy. Co najmniej czterokrotnie. Jestem bardzo praktycznym człowiekiem. Zrobiłbym to, gdybym mógł. Ale nie mogłem i nie mogę.

Widziała jakąś groźną zawziętość i upór w jego oczach. Zaczął głośno rozmyślać:

- Nie wiem, dlaczego. Czy to zasady moralne, czy zwykły rezultat załamania nerwowego i przeżywanych lęków? Zabijanie samo w sobie nie jest rzeczą trudną. Dzień w dzień tysiące ludzi zabijają. Podczas wojny zabijają setki tysięcy, a zawsze gdzieś toczy się kilka wojen lokalnych. Powstaje pytanie: dlaczego tylu zwykłych ludzi zabija bez zastanowienia i wyrzutów sumienia, a często z wielką dumą, podczas gdy prawdziwy ekspert w dziedzinie zabijania nie może? Sądzisz, że puściły mi nerwy?

- Odzyskałeś rozum.

Nic nie odpowiedział.

Po chwili powiedziała:

- Masz rację. We wszystkim. Jutro polecę do Stanów. Zrób rezerwację.

Kwadrans po pierwszej następnego dnia Heather James odleciała do Nowego Jorku na pokładzie samolotu 747 Olympic Airways.

Pięćdziesiąt minut później Dunn wystartował do Tokio samolotem SAS.

♦ 28 grudnia, 10.40

Lotnisko Narita, olbrzymie, bardzo nowoczesne i odległe od Tokio aż o sześćdziesiąt kilometrów.

Dunn, zeszywniały i zmęczony po długiej podróży, wcale się nie zdziwił, gdy po opuszczeniu strefy kontroli celnej zobaczył Leonarda Fishera. Przewidywał, iż może pojawić się ktoś z miejscowej placówki CIA. Niski, o płowych włosach, niesłychanie energiczny Fisher był starym pracownikiem Firmy i działał tu jako zastępca attache kulturalnego ambasady amerykańskiej, co zapewniało mu immunitet dyplomatyczny.

- Cześć Len, jak idzie? Rodzina w porządku? - spytał przyjaźnie Dunn.

- Od dwóch lat jestem rozwiedziony i doskonale o tym wiesz, Charlie - warknął Fisher.

- Nic nie wiem, nic nie słyszałem, a tłumaczy mnie to, że przez długi czas miałem problemy ze słuchem. Bardzo mi miło, że przyjechałeś na powitanie. Z pewnością ateńskie gliny przekablowały wam numer lotu.

Fisher tylko wzruszył ramionami.

- Mam na zewnątrz wóz. Jedziemy, Charlie.

Zapowiedziany wóz okazał się zielonym Chevroletem. Pracownicy ambasady byli z pewnością zachęceni do popierania amerykańskiego przemysłu samochodowego.

- Poinformowano cię, o co w tym wszystkim chodzi? - spytał Dunn.

- Wiem tylko, że placówka otrzymała polecenie, aby pomóc ci w odszukaniu byłego pracownika CIA o nazwisku Victor Spalding. Opisano nam go jako uzbrojonego i niebezpiecznego osobnika.

- Jeszcze coś, Len?

- Misja ma priorytet Czerwony i wszystko jest oczywiście ściśle tajne.

- Oczywiście - mruknął z przekąsem Dunn.
Niezrażony Fisher ciągnął dalej biurokratycznym żargonem:
- Oczywiście podjęliśmy natychmiast wszystkie nieodzowne kroki i zapewniliśmy sobie współpracę japońskich służb specjalnych.
- No i?
- Z pozytywnymi rezultatami.
- A mianowicie, z jakimi? - spytał zniecierpliwiony Dunn.
- Osobnik, o którego chodzi, został zauważony ubiegłej nocy w pobliżu cesarskiego pałacu i ścigany przez trzy zmotoryzowane jednostki policji. Prawie udało mu się umknąć.
- Macie go? - Dunn był podniecony.
Fisher obliznął wargi i enigmatycznie się uśmiechał.
- My nie mamy. Chwilowo ma go pod opieką szpital. Jest pilnowany. Z tego, co mi wiadomo, podczas pościgu doszło do wypadku.
Wydawało się aż nieprawdopodobne i trąciło ironią, że Spaldinga schwytano w wyniku ulicznej kraksy. Spalding zawsze szczyił się swymi umiejętnościami kierowcy rajdowego, zwłaszcza w sytuacjach, gdy trzeba było szybko umykać. Tak, to bardzo dziwne, pomyślał Dunn, ale dłużej nie miał czasu zastanawiać się nad zbiegami okoliczności i ludzką ułomnością. Musiał skupić uwagę na problemie oczekującej go już niedługo rozmowy ze Spaldingiem.
Gdy tuż po dwunastej podjechali pod szpital Yomura, Fisher zatrzymał samochód trzydzieści metrów przed głównym wejściem do sześciopiętrowego budynku.
- Znajdziesz go na piątym piętrze. Ma irlandzki paszport na nazwisko Eamon O'Brian. Poproś o doktora Takedę - powiedział Fisher.
- Nie pójdziesz ze mną?
Z twarzy Fishera zniknął przyjazny uśmiech.
- To nie byłby dobry pomysł, Charlie... Może kręcić się tu ktoś z prasy... Jest wysoce niewskazane, by w związku z tą sprawą dostało się do gazet moje nazwisko.
Mówił prawdę, czy też ktoś chciał Dunna w coś wpakować?
- Jestem pewien, że dasz sobie radę beze mnie, Charlie - mówił szybko Fisher. - Do zobaczenia!
- Na razie - odparł Dunn.
Fisher zrozumiał: jeśli coś pójdzie Dunnowi nie tak, jak powinno, to szybko ujrzy go z powrotem. Gdy tylko Dunn zatrzasnął za sobą drzwiczki samochodu, Fisher dodał gazu i umknął. Po ośmiu minutach Dunn stał naprzeciwko Japończyka o żywym spojrzeniu, mniej więcej trzydziestoletniego, w białym fartuchu.

- Jestem doktor Takeda.
- Nazywam się Dunn. Chciałbym porozmawiać z pacjentem, którego przed paroma godzinami przywiozła policja. Wypadek samochodowy, nazywa się Eamon O'Brian.
- Nic panu nie mogę pomóc.
- Sprawa jest niezwykle ważna, doktorze. Jeśli pan nie może dać pozwolenia, to...
- W tym przypadku nikt panu nie pomoże. Podczas kolizji nastąpił wybuch i pożar. Pański przyjaciel doznał poparzeń trzeciego stopnia. Na całym ciele. Jeszcze nie miałem podobnego przypadku...
- W jakim jest stanie?
- W żadnym, panie Dunn. Pacjent nie żyje. Zmarł jeszcze przed przyjęciem do sali intensywnej terapii. Przykro mi, panie Dunn.
- Przez pięć sekund Dunn gorączkowo myślał.
- Czy jest pan pewien, że to on nie żyje, doktorze?
- Absolutnie pewien - odparł doktor. - Został uznany za zmarłego po zbadaniu przez dwóch lekarzy naszego szpitala. I zapewniam pana, że zatrudniamy wyłącznie kompetentny personel medyczny.
- Nie chciałem pana urazić i nie o to mi chodziło, doktorze. Czy jest pan absolutnie pewien tożsamości zmarłego pacjenta?
- To już nie moja sprawa, panie Dunn. Ja mogę tylko stwierdzić, że mężczyzna białej rasy wzrostu około stu osiemdziesięciu centymetrów i ważący siedemdziesiąt dziewięć kilogramów, lat trzydzieści pięć lub sześć, zmarł w parę minut potem, jak go do nas przywieziono, czyli przed niespełna trzema godzinami. Jego paszport i inne dokumenty potwierdzają, że był to pan Eamon O'Brian z republiki Irlandii.
- Dokumenty można sfalszować - zauważył Dunn.
- Takeda skinął głową, wyjął z paczki papierosa i zapalił.
- To już jest sprawa policji. Dlaczego pan z nimi nie porozmawia?
- Zaraz to uczynię, ale przedtem chciałbym zobaczyć denata.
- Nic nie stoi na przeszkodzie - zgodził się Takeda. - Jeśli jednak chodzi panu o twarz, to nie ma pan po co się trudzić. Byliście panowie bliskimi przyjaciółmi?
- Nie tak znowu bliskimi.
- Takeda odetchnął. To ułatwiało sprawę, nie będzie żadnych scen.
- Wobec tego nie będę ukrywał. Denat nie ma twarzy. Niech pan idzie ze mną.

Sprawa twarzy nie była tak bardzo istotna, myślał Dunn idąc za doktorem w kierunku szpitalnej kostnicy. Są inne liczne sposoby zidentyfikowania ciała. Najlepsze to użębienie, odciski palców i rentgenowskie zdjęcia kości, o których wiadomo, że niegdyś były złamane.

Doktor Takeda miał rację. Dwie trzecie skóry było zwęglone, w powietrzu wciąż unosił się mdły zapach spalonego ciała. Trup nie miał twarzy. Nie miał też uszu.

Natomiast jedna dłoń była nietknięta. Wpatrując się w miazgę niegdyś ludzkiej głowy, Dunn spostrzegł, że użębienie jest także nietknięte.

Wystarczy trzydzieści sześć godzin, aby się upewnić, czy to są śmiertelne szczątki Victora Spaldinga.

- Identyfikacja musi być absolutna, stuprocentowa - tłumaczył Dunn po dwudziestu minutach tęgiemu mężczyźnie w kraciastym garniturze.

- Nie zamierzam wnikać w nie swoje sprawy - powiedział uprzejmie inspektor Gaifuku - ale chciałbym wiedzieć, jeśli można, kim zmarły mógłby być, gdyby się okazało, że nie jest irlandzkim dżentelmenem o nazwisku, na jakie opiewa jego paszport?

- Najprawdopodobniej nie jest ani Irlandczykiem, ani dżentelmenem, lecz najemnym mordercą.

Inspektor Gaifuku pokiwał głową, nie okazując specjalnego zdziwienia.

- To tłumaczyłoby broń, którą miał przy sobie. Zakładam, że istnieją specjalne powody, dla których wasz rząd okazuje takie zainteresowanie tym mordercą. Powody związane z jego osobą...

Japończyk był zbyt taktowny, by zadać pytanie, jakie to mogą być powody, Dunn zaś był aż nadto profesjonalistą, by odpowiadać na niewyrażone słowami pytanie.

- Tak, nasz rząd jest zainteresowany. I zaniepokojony działalnością tej osoby. - Dunn tyle tylko mógł powiedzieć.

Gaifuku nie nalegał. Był obyty z półprawdami i kłamstwami w sprawach o posmaku politycznym.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - spytał.

- Jeśli nie jest to kłopotliwe, to chciałbym obejrzeć jego ubranie i rzeczy oraz zapoznać się z policyjnym raportem dotyczącym incyden-
tu i samego wypadku.

- Wszystko to mamy na miejscu. Jeśli idzie o ubranie i rzeczy, to niestety wiele strawił pożar. Wynajęty Datsun uległ poważnemu zniszczeniu, kiedy wybuchł zbiornik paliwa, niemniej zebraliśmy,

co było można. Oto one! - Inspektor rozłożył przed Dunnem odnalezione szczątki rzeczy:

Zwęglony irlandzki paszport.

Części rozebranego karabinu wyborowego z lunetą.

Stopione resztki osiemnastokaratowego złotego zegarka marki Rolex.

Pistolet kalibru 0.22 cala z przykręconym tłumikiem.

Pakiet na pół spalonych banknotów - 48.900 jenów i 29 studolarówek.

Pistolet *Magnum* kalibru 0.357 cala.

I wreszcie chirurgiczny skalpel z nierdzewnej stali.

Dunn długo się wszystkiemu przyglądał, potem jeszcze wysłuchał angielskiego przekładu policyjnego raportu.

Gdy podziękował inspektorowi, ten przeprosił:

- Cieszę się, że mogłem panu pomóc. Teraz muszę jednak pana opuścić, gdyż czeka na mnie nasz rzecznik prasowy. Prasa jest zawsze zainteresowana wypadkami spowodowanymi przez pijanych kierowców. Prowadzimy intensywną kampanię antyalkoholową. Będę miał dla prasy nowy przykład braku odpowiedzialności...

Dunn westchnął. - Rozumiem pana. My też borykamy się z tym problemem.

Gaifuku wziął nadpalony paszport i włożył go ostrożnie do plastikowej torebki.

- Sprawdźmy, czy jest fałszywy - oświadczył.

- I bardzo bym prosił o przysłanie specjalisty od daktyloskopii. Szpital zrobi prześwietlenie zębów, ale odciski palców to nie ich specjalność.

- Oczywiście, nie ma problemu - zapewnił inspektor i złożył poże-gnalny ukłon.

Ekspert od daktyloskopii przyjechał o drugiej po południu. Był nieco zdziwiony instrukcjami Dunna, ale zrobił, o co go proszono. Zdjęcia rentgenowskie Dunn otrzymał godzinę później. Łącznie ze zdjęciami odcisków palców znalazły się w poczcie dyplomatycznej, która odleciała wieczorem samolotem do Los Angeles. Przesyłka dotarła do CIA o 16.00 30 grudnia.

Wszystko zostało natychmiast poddane analizie. Zespół wysoko kwalifikowanych mężczyzn i kobiet kilkakrotnie porównywał otrzy-many materiał z posiadanymi danymi, nim ustalił tożsamość osoby, której zdjęcia dotyczyły. Wynik przeprowadzonych testów został po zakodowaniu wysłany jeszcze przed północą do placówki CIA w To-kio. Dzięki różnicy czasu Fisher mógł przekazać Dunnowi interesują-cą go informację o 22.00 tego samego dnia.

Nie było najmniejszych wątpliwości.

Zwłoki należały do Spaldinga.

Misja skończona.

Wysłuchując Fishera Dunn zachował całkowity spokój. Pożegnał zdawkowo kolegę i wrócił do hotelu, by się spakować. Rano następnego dnia siedział już w pierwszej klasie samolotu 747 SP linii Delta lecącego na wschód przez Pacyfik. Przez większą część drogi spał.

Generał Aleksiej Chołkow nie spał. Nie wypadałoby spać o drugiej trzydziści po południu czwartemu najstarszemu rangą oficerowi *Głównowo Razwiedywatielnowo Uprawlenija* - Głównego Zarządu Wywiadowczego, znanego powszechnie jako GRU.

W okna jego gabinetu bił hałaśliwie lodowaty wiatr znad skutej lodem rzeki Moskwy. Wielki gmach Ministerstwa Obrony zajmował spory odcinek nabrzeżnej promenady imienia Maurice'a Thoreza, sekretarza generalnego, a następnie przewodniczącego Francuskiej Partii Komunistycznej, zmarłego w 1964 roku. Ślepo lojalny wobec Kremla Thorez nigdy nie kwestionował polityki i postępowania ludzi rządzących Związkiem Radzieckim.

Siwowłosy Chołkow także był oddanym marksistą (a przynajmniej był nim do 1989 roku), ale do jego obowiązków należało właśnie kwestionowanie i zadawanie pytań, a konkretnie podglądanie, co też robi SWR. Marszałkowie, zawiadujący sztabem generalnym, nie zapomnieli o groźnych poczynaniach i imperialnych ambicjach tak żądnych władzy despotów KGB, jak na przykład Ławrenti Beria.

Tak jak na to wskazywały zmechanizowane armie i brygady rakietowe, marszałkowie wierzyli, że bezpieczeństwo Rosji zależy od liczności aparatu. Nie wolno było dopuścić do tego, by jeden człowiek stanowił o kluczowych zagadnieniach polityki państwa. W Moskwie utrzymywała się delikatna i bardzo złożona równowaga wpływów wojskowych i polityków cywilnych. I system ten funkcjonował. Toteż za wszelką cenę należało go utrzymać. Dlatego liczba agentów, którą Chołkow dysponował, by pilnować SWR, zbliżała się do dziełciuset.

Marszałkowie na stanowisko głównego „kontrolera” SWR wybrali Chołkowa. W tej chwili mocno go trapił raport jednej z tajnych współpracowniczek. Była to porucznik GRU Anna Pieliechina, ładna kobieta, która dodatkowo pełniła rolę fizykoterapeutki. Od pięciu miesięcy „leczyła” pułkownika SWR nazwiskiem Połuczasnij. Żona

pułkownika skarżyła się mniej więcej od pięciu miesięcy, że jej mąż zostaje codziennie w pracy do późna.

- I co wam Połuczanskyj dokładnie powiedział? - wypytywał Chołkow.

- Że jest bardzo ważnym człowiekiem, wykonującym niezmiernie ważną pracę... Że jedna z operacji, którą nadzoruje, jest tak tajna, że nigdzie nie ma o niej ani słowa na piśmie.

- Wierzycie mu?

- Są mężczyźni, którzy się przechwalają i mocno przesadzają, a nawet kłamią, by zaimponować kobiecie. To się zdarza, panie generale - odpowiedziała brunetka. - Myślę, że się nie przechwalał. Był wówczas bardzo odprężony. Właśnie skończyliśmy sesję i on...

- Więc uważacie, że mówił prawdę?

- Tak uważam, generale.

- Oczywiście nie mogliście mu zadać na ten temat żadnego pytania?

- Tak, to byłoby ryzykowne. Natychmiast zamelduję, jeśli powie coś więcej.

Chołkow podziękował i patrzył za dziewczyną, gdy wychodziła.

Co u diabła takiego tajemniczego pitrasi sekcja amerykańska SWR, że nie ma nawet śladu na piśmie?

To musi być jakaś wielka sprawa.

Wielka czy niewielka, Aleksiej Chołkow musi się dowiedzieć i to szybko. To jego obowiązek.

♦ 1 stycznia, 17.40

Zgodnie z amerykańską tradycją większość obywateli Stanów Zjednoczonych miało kaca albo oglądało w telewizji powtórkę któregoś z baseballowych meczów ubiegłorocznych mistrzostw. Albo równocześnie oglądało mecz i leczyło kaca.

Do nie solidarującej się z powyższym zwyczajem mniejszości należała pewna blond pani weterynarz z Falls Church w stanie Wirginia. Z zamkniętymi oczami siedziała w bujanym fotelu swego dziadka, zasłuchana w Elle Fitzgerald. Heather James głową akcentowała takt i zastanawiała się, gdzie też może być Charles Jefferson Dunn. Była inteligentną, mającą powodzenie, bardzo powabną kobietą, która mogła zdobyć względy każdego mężczyzny, ale ona wolała właśnie Charlesa Jeffersona Dunna.

- Szczęśliwego Nowego Roku!

Otworzyła oczy i rozpromieniła się, wysyłając w przestrzeń równie promienny uśmiech.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Charlie! - zdążyła jeszcze powiedzieć, nim wziął ją w ramiona i zamknął usta pocałunkiem.

Kiedy już mogła złapać oddech, zauważyła: - Wyglądasz, jakbyś spał w tym ubraniu.

- Zgadłaś. - Nagle wyprostował się, czujny i niespokojny.

- Gdzie jest ochrona?

- Wczoraj wyjechali. Powiedzieli, że już wszystko w porządku. Gdy zdjął marynarkę, zobaczyła, że nadal nosi oba pistolety.

- Wszystko jest w porządku? Prawda, Charlie?

- Tak, tak...

- Spalding?

Usiadł i opowiedział, co wydarzyło się w Tokio.

- Miał jakąś rodzinę?

- Nie. Ale wielu z tych, których zamordował, miało. Jeśli masz ochotę nad kimś się poużalać, to możesz zacząć od żony Kena Perry'ego i dwójki jego dzieci.

- Jestem zawsze gotowa użalać się nad każdym, Charlie. Z wyjątkiem nas.

Teraz dopiero dostrzegł butelkę koniaku Delamain i dwa kieliszki na niskim stoliku zarzuconym starymi egzemplarzami dzienników „Washington Post” i „New York Times”.

- Czekałam na ciebie, Charlie.

- Nie martwiłaś się?

- Prawie wcale... I obojczyk już mnie tak nie boli. Nalej po koniaczku.

Przeniosła się na kanapkę, a Dunn odkorkował butelkę koniaku Grande Champagne, napełnił do połowy kieliszki i usiadł obok Heather.

- Jak sobie dajesz radę? - spytał.

Z głową opartą o jego ramię zaczęła opowiadać: - Świetnie. Wynajęłam gosposię, przychodzi rano, wychodzi po obiedzie, wpadają znajomi i sąsiedzi z ciastkami i innymi przysmakami...

- Przygotuj im rachunek za wszystko.

- Komu?

- Barringerowi i spółce. Wszystko, co płacisz gospoś, dochody stracone i te, które jeszcze stracisz, nim powrócisz do pracy zawodowej, wszystkie poniesione wydatki, każdego wydanego centa, gdyż doznałaś obrażeń w związku z operacją rządu federalnego.

- Kiedy ja dobrze zarabiam, Charlie. Pięć do sześciu tysięcy dolarów miesięcznie.

- No i dobrze, że tyle zarabiasz. Ale to, o czym mówię, też zarobiłaś. Ryzykowałaś życiem podczas federalnej operacji. Myśl o tym w kategoriach specjalnego dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach. Jesteś wysoce kwalifikowaną specjalistką. Tacy ludzie nie są tani.

- To może wynieść maksimum dziesięć tysięcy dolarów. Nawet sporo. Może za dużo?

Dunn dokończył koniak.

- Oni dużo ci zawdzięczają. Dostali to, czego chcieli. Dlaczego kobiety tak siebie nie doceniają? Czy jesteś aż tak bogata, by subsydiować rząd federalny? Będzie ci potrzebny każdy cent... żeby utrzymać mnie.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem w oczach.

- Znajdę ci jakieś zajęcie. Możesz zostać moim doradcą finansowym albo ochroniarzem.

- I będziesz słuchała moich rad?

- Obiecuję. Więc im powiedz, że może być dziesięć tysięcy dolarów - zgodziła się i westchnęła. - Chyba nigdy nie dowiemy się, kim jest

wybitna osobistość, którą Spalding miał zgładzić. Nie dowiemy się, prawda, Charlie?

Czy jej się zdawało, że Dunn na sekundę jakby zeszywniał?

- Niebezpieczne jest posiadanie tego typu informacji - odparł. - A w ogóle, co cię to obchodzi? Nie masz innych zmartwień?

- Po prostu jestem z natury ciekawa.

- Mam teraz ważne pytanie... - zaczął. - Tak sobie myślę, że dobrze by było, gdybym tu u ciebie został ze dwa tygodnie. Żeby ci pomóc i mieć na ciebie oko. Masz coś przeciwko temu?

- Byłabym wściekła, gdybyś tego nie zrobił.

Płyta się skończyła. Dunn podszedł do odtwarzacza, założył inną płytę i wyszedł do wynajętego samochodu. Wrócił z walizką i następnym pytaniem:

- Gdzie jest gościnny pokój?

- Nie jesteś gościem, tylko kochankiem. Tędy! - Poprowadziła go do pokoju z wielkim staroświeckim mosiężnym łóżem.

- Ja śpię od strony okna - powiedziała, gdy chciał tam rozłożyć swoje rzeczy.

- Przepraszam, ale to wyłącznie z troski o ciebie. Pomyślałem sobie, że z tym obojczykiem, i w ogóle wszystkim, będziesz wołała...

- Tylko obojczyk mam złamany, a jak się wkrótce zorientujesz, owo wspomniane przez ciebie „w ogóle wszystko” to nieprawda, czuję się doskonale. Teraz rozwieś w szafie swoje rzeczy i nie bądź taki cholernie uprzejmy.

Dunn wykonał jej polecenia i niedługo potem aż dwukrotnie stwierdził, że miała rację mówiąc, iż tylko obojczyk ucierpiał. A jeszcze później posilili się zimnym rozbefem i wypili butelkę ciężkiego czerwonego wina Bully Hill Caco Noir 1980. Wreszcie przyszła kolej na słuchanie ulubionego albumu Joan Baez i mozartowskich koncertów na róg. Dunn przeglądał w tym czasie gazety z minionych czterech dni. Czegoś wyraźnie szukał, przerzucając pośpiesznie strony i zatrzymując się tylko na paru. Heather była zdziwiona, że nie interesują go wkładki sportowe, kulturalne czy poświęcone rozrywkom.

Rozmarzona i zasłuchana zerknęła na niego przed dziesiątą, gdy doszło ją głośnie chrząknięcie. Jeśli rzeczywiście szukał w gazetach czegoś konkretnego, to wyraz jego twarzy wskazywał, że wreszcie znalazł.

Pięć minut potem zaparzył jej filiżankę herbaty Red Zinger. Położyli się spać przed jedenastą. Niedostatek snu i zmiana strefy czasowej spowodowały, że Dunn prawie natychmiast usnął. I spał mocno przez następne dwanaście godzin.

Kiedy następnego ranka zszedł o dziewiętej dwadzieścia do kuchni, nie był już tak wyczerpany jak poprzedniego dnia.

Stojąca przy kuchence kobieta w średnim wieku spojrzała ciekawie w jego kierunku.

Przy stole siedziała Heather, kończąc pochrupywanie tostu.

- To jest Charles Dunn, pani Parrish - obwieściła.

- Agent federalny - zdecydowała pani Parrish.

- Skąd to pani wie? - spytał z uśmiechem Dunn.

- Dwa pistolety. A jest pan zbyt dobrze ubrany jak na gangstera. Mówiąc między nami, jest pan znacznie lepiej ubrany od tych agentów federalnych, którzy pilnowali domu. Kawa? Cukier?

Kobieta terkotała jak karabin maszynowy.

- Tak, z cukrem.

- I jest pan od nich przystojniejszy. Prawda, proszę pani, że jest przystojniejszy?

- Zdecydowanie - zgodziła się bez namysłu młoda pani weterynarz. Pochyliła się nad stołem i pocałowała przedmiot rozmowy.

- Pan Dunn ocalił mi życie - poinformowała gosposię.

- Tosty czy drożdżowe bułeczki? - spytała pani Parrish.

- Jedno i drugie.

Gdy skończył, komplementując gosposię za doskonale śniadanie, poszedł na górę po ubrania. Po paru minutach wrócił z całym naręczem.

- Gdzie oddajesz rzeczy do prania?

- Jest pralnia w Falls Church przy MacIvor Road. Mogę ci zawieźć.

- Nie, nie możesz. Musisz tu odpoczywać. Zresztą mam jeszcze inne sprawy do załatwienia. Nie będzie mnie ze dwie godziny. Muszę odwiedzić parę osób i poumawiać się.

- Będziesz mówił o moich pieniądzach?

- I o moich, pani doktor. I o moich! Sporo są mi winni. Więc gdzie dokładnie jest ta pralnia?

Wysłuchał uważnie i delikatnie ją pocałował.

- Zachowujemy się jak stare małżeństwo - zażartowała.

Nie uśmiechnął się nawet.

- Jeszcze jedno. Masz tę pukawkę, którą ci dałem?

- Co takiego?

- *Berette*.?

- Mam.

- Trzymaj pod ręką. Przez cały czas.

Początkowo nie zrozumiała.

- Myślałam, że wszystko skończone, Charlie?

- Nadal pozostaje problem wtyczki.
 - Ale to przecież nie twoja sprawa! Nie mieszaj się do tego - prosiła.
 - Nie będę się mieszał. Chcę tylko podzielić się z nimi pewnymi obserwacjami...
 - Trzymaj się od tego z daleka, Charlie. Zainkasuj pieniądze i wracaj do domu! - błagała.
 - Wrócę przed piątą - obiecał.
- Po minucie usłyszała pomruk silnika. Poczula się nagle słaba.
- To się nie skończyło! To się nie skończyło! - powtarzała półgłosem. Potem poszła na górę po *Berettę*.
- Kiedy to szaleństwo się skończy?

Po oddaniu ubrań do prania i otrzymaniu zapewnienia, że będą gotowe na czwartą po południu, Dunn pojechał do sąsiedniego Arlington. Dzięki informacjom otrzymanym od pracownika stacji benzynowej nie miał trudności ze znalezieniem w centrum handlowym wielkiego sklepu VideoPlus, doskonale zaopatrzonego w telewizory, odtwarzacze kasetowe, odtwarzacze CD, czyste kasety i filmy na kasetach.

Natychmiast podszedł do niego sprzedawca z białym identyfikatorem obwieszającym, że jego posiadacz ma na imię Al. Biła od niego pewność siebie i zapach wody po goleniu Brut. Uśmiechając się szeroko, wyrecytował:

- Najszerszy asortyment w całej północnej Wirginii, przyjacielu! Co tylko najnowszego w świecie cudów wideo, znajdziesz u nas.

- Potrzebna mi jest lekka, wysokiej jakości kamera wideo. Zapasowe baterie i półcalowa taśma.

- Jakże miło mi powitać klienta, który wie, czego chce. I ma pan szczęście, sir! Właśnie rozpoczęła się nasza głośna styczniowa wyprzedaż. Największa wyprzedaż sprzętu wideo w północnej Wirginii - zachwycał się sprzedawca. - Czytał pan nasze obwieszczenia prasowe?

- Nie! I chciałbym zobaczyć kamery. Od razu.

Nabycie kamery i trzech dwugodzinnych czystych kaset zajęło mu sześć minut i kosztowało 861 dolarów. Trzy minuty i dodatkowe 907 dolarów - kupno odpowiedniego odtwarzacza.

- Kamerę zabieram ze sobą, a odtwarzacz proszę wysłać znajomej w Falls Church. Przed godziną piątą - polecił sprzedawcy.

- A może mogłoby być jutro?

Dunn bez słowa położył na ladzie dwie dwudziestodolarówki. W okamgnieniu zniknęły w kieszeni sprzedawcy.

- Powiada pan przed piątą? Nie ma sprawy.

Dunn drukowanymi literami wypisał adres Heather na blankiecie zleceniowym.

- Wie pan co? Mamy specjalną wyprzedaż gier komputerowych. Za pół darmo. Otworzy pan usta ze zdumienia. Najnowsze gry. Aż gały wychodzą na wierzch grającym! Cudowna zabawa!

- Bardzo nie lubię się bawić - rzucił przez ramię Dunn, wychodząc ze sklepu.

Zaniósł zakupiony sprzęt do samochodu i schował do bagażnika. Ujechał z pół kilometra w stronę Waszyngtonu i zatrzymał się przy budce telefonicznej. Miał do odbycia dwie rozmowy.

O 11.15 Stephen Barringer powrócił do swego gabinetu. Był w nieco lepszym niż zazwyczaj humorze. Posiedzenie operacyjnej grupy karaibskiej, w którym uczestniczył, okazało się przynajmniej raz produktywne, a poza tym przestali za nim łączyć ludzie McGhee.

- Pan nie uwierzy w to, co panu powiem! - wykrzyknęła Tess Lipson. Barringer spojrział na sekretarkę, zastanawiając się, dlaczego jest ostatnio taka spięta. Najprawdopodobniej sprawy hormonalne, pomyślał.

- Zobaczmy. Niech pani mówi.

- On tu zadzwonił! Charles Dunn. Nie dalej, jak piętnaście minut temu.

Kiwała triumfująco głową, widząc zdumienie na zwykle opanowanej twarzy przełożonego.

- Charles J. Dunn! - powtórzyła.

Może to nie był Dunn? Może to jakiś kawał?

- Jesteś pewna, że to był on, Tess?

- Powiedział, kim jest, i powiedział, że chce się z panem jutro widzieć. Zadzwoni jeszcze raz jutro rano, żeby się dowiedzieć, o której godzinie i gdzie. Był bardzo grzeczny.

Dunn grzeczny?

- I dodał, że wolałby jutro, jeśli pozwala panu na to rozkład zajęć, ale jeśli ma pan jakieś urwanie głowy, to może być pojutrze - ciągnęła sekretarka. - I jeszcze prosił, żeby pozdrowił pan w jego imieniu dyrektora McGhee.

Dlaczego Dunn dzwonił na otwartej linii? Co on znowu kombinuje?

- Czy zostawił jakiś numer telefonu? - spytał.

- Nie, sir - odparła, oddając mu karteczki z danymi na temat pozostałych telefonów w czasie jego nieobecności. Dziękując sekretarce intensywnie myślał, gdzie też Dunn w tej chwili przebywa.

Dunn przebywał w Dystrykcie Columbia, jadąc właśnie przez West Potomac Park i patrząc na jeszcze dość odległy Lincoln Memorial.

Styczniowy dzień był chłodny. Temperatury wzdłuż Potomaku wahały się wokół piętnastu stopni Celsjusza. I to bardzo dobrze, że nie były wyższe. W cieplejsze dni stolica USA byłaby pełna turystów i autobusów wyładowanych dziećmi w wieku szkolnym. I byłoby praktycznie niemożliwe znaleźć miejsce do parkowania w pobliżu imponującego pomnika z białego marmuru.

Obramowana trzydziestoma sześcioma smukłymi doryckimi kolumnami - z których każda reprezentowała jeden z trzydziestu sześciu stanów federacji w latach prezydentury Lincolna - majestatyczna budowla kojarzyła się Dunnowi z klasyczną grecką świątynią. Czytał gdzieś, że taka właśnie była intencja architekta, który umieścił wewnątrz arcydzieło rzeźbiarza Daniela Frencha - ponad ośmiometrową statwę siedzącego Lincolna, wykonaną z białego marmuru z Georgii.

Dunn zaparkował samochód i wyszedł, zabierając kamerę wideo. Z odległości sześćdziesięciu metrów zaczął robić ujęcia frontonu i terenu przed nim. Następnie powoli obszedł sześćdziesięcioparametrowej długości pomnik, stale się zatrzymując i robiąc dalsze ujęcia podejść i kolumn. Gdy miał już nakręconą całość, powtórzył wszystko raz jeszcze, przemieszczając się w odwrotnym kierunku. Tym razem stał plecami do kolumnady i przesuwał się co parę metrów uwiecznił na taśmie cały teren wokół pomnika.

W ogóle nie wchodził do środka. Skończywszy drugą turę wrócił do samochodu i pojechał na parking odległy o cztery przecznice od Białego Domu. Kupił od obnośnego sprzedawcy emaliowany znaczek ze słowami: Boże, błogosław Amerykę, i wpiął go w klapę płaszcza. W oczach strażników siedziby prezydenckiej powinien teraz uchodzić za patriotę i nieszkodliwego turystę.

Gdy znalazł się w pobliżu Białego Domu, powtórzył to, co robił pod pomnikiem Lincolna, tyle że zużył więcej taśmy, gdyż po trzech stronach prezydenckiej rezydencji stało wiele budynków, z tego kilka dość wysokich. Dunn uwiecznił na taśmie wszystkie wyższe piętra i dachy. Zatrzymywał się często, by zamienić kilka słów z innymi turystami też robiącymi zdjęcia, uśmiechał się, a nawet przyjaźnie pomachał do umundurowanego strażnika przy bramie od strony Pennsylvania Avenue.

Dochodziła już pierwsza, kiedy skończył. Był głodny, ale uznał, że lepiej jest opuścić centrum Waszyngtonu. Wolał nie ryzykować spotkania z kimś, w kim mógłby wzbudzić nadmierną ciekawość jako ten, co kręci się zbyt długo po okolicy z kamerą wideo. Rozsądniej było przejechać do Arlington mostem przy Dwunastej Ulicy i dopiero

tam zjeść mało wypieczonego hamburgera i wypić kubek gęstej zupy małżowej - specjalność Nowej Anglii.

Jeszcze nie całkowicie pozbył się sennaści po zmianie paru stref czasowych. Postanowił jednak nie poddawać się zmęczeniu. Miał plan i harmonogram. Tego popołudnia było jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Po posiłku wypił dwa kubki kawy i pojechał.

Do arlingtonowskiego cmentarza wojskowego miał pięć kilometrów. Cmentarz zajmował sto siedemdziesiąt hektarów. Niezliczone rzędy grobów. Leżeli tu żołnierze, marynarze, lotnicy, generałowie, admirałowie i mężowie stanu. Pochowani tu byli obaj bracia Kennedy. Dunn najpierw zarejestrował na taśmie właśnie ich pomniki, a następnie przeszedł do grobu Nieznanego Żołnierza. I tym razem uwiecznił wszystkie podejścia i okoliczny teren.

Kwadrans po czwartej Heather James usłyszała objeżdżający dom samochód, który zatrzymał się na zapleczu. Jej dłoń odruchowo powędrowała do *Beretty*. Sama się zdziwiła szybkością swojej reakcji, gdyż korzystanie z pistoletów nie należało do jej nawyków. Odbezpieczyła broń i niespokojnie spojrzała w kierunku tylnych drzwi.

Wszedł Dunn, dźwigając naręczę ubrań, tym razem na wieszakach i w cieniutkich plastikowych osłonach używanych powszechnie przez pralnie. Nic w jego zachowaniu i wyrazie twarzy nie sugerowało, że coś go może trapić.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Doskonale.

- Jest coś nowego?

- W saloniku leży spory pakunek. Ludzie, którzy go przywieźli, powiedzieli, że to magnetowid.

- Świetnie. Przepraszę cię na chwilę, żeby to powiesić. - Poszedł z ubraniami na górę. Powrócił po paru minutach i ucałował Heather.

- Więc to dla ciebie, to pudło? - spytała.

- Ja je wysłałem. Prezent na rekonwalescencję. Miałem najpierw zamiar kupić półtora kilograma czekoladek, ale one tuczą.

- A ty coraz gorzej kłamiesz, Charlie.

- Brak mi praktyki - odpowiedział i poszedł do samochodu. Wrócił z kamerą i dwiema kasetami. Położył wszystko na dużym stole i dopiero wtedy zdjął płaszcz i marynarkę.

- Nie otwieraliśmy tego pudła, bo sobie pomyślałam, że to może być jeszcze jedna bomba. Co ty o tym sądzisz?

Dunn spojrzał prosto w jej pełne niepokoju oczy.

- Daję ci słowo, że nie ma powodu, aby ktokolwiek... powtarzam: ktokolwiek nastawał obecnie na któregoś z nas.

- No to dlaczego mam nieustanne uczucie lęku? A ty jeszcze każesz mi nosić pistolet...

- Dla lepszego samopoczucia. Każdy, komu by podłożono bombę w wigilię Bożego Narodzenia, ma podstawy trząść się potem ze strachu.

Podszedł i pogłaskał ją po twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, Heather. Za tydzień, najwyżej dwa, dostaniemy pieniądze i będziemy mogli pojechać sobie gdzieś, gdzie są wspaniałe plaże... może na Barbados?

Świadoma, że Dunn unika rozmowy o tym, co go jeszcze niepokoi, i że chce ją po prostu uspokoić, skinęła bez przekonania. Dunn otworzył przysłany przez VideoPlus karton i zabrał się do podłączenia magnetowidu do telewizora. Parę razy zaglądał do instrukcji obsługi i po dziesięciu minutach wszystko było gotowe. Włączył, sprawdził, działało.

Spojrzał na Heather i dopiero teraz dostrzegł jej podkrążone oczy.

- Odpocznij - poradził.

- Czuję się zupełnie dobrze - zaoponowała, ale po paru minutach poczuła znużenie i poszła na górę. Zasnęła od razu i spała ponad godzinę. Gdy wstała, obmyła twarz i zeszła do saloniku. Dunn tkwił przed ekranem telewizyjnym, na którym przewijały się obrazy bez dźwięku. Obrazy nie były zmontowane i wyraźnie amatorskie.

- Co to jest, Charlie?

- Arlington.

- Nie rozumiem.

- Narodowa nekropolia w Arlington. Widzisz grób Nieznanego Żołnierza?

Ogarnęła spojrzeniem leżącą na stole kamerę wideo i telewizor.

- Ty zrobiłeś to nagranie?

- Ja - odparł krótko.

Ciągle obrazki z cmentarza... ciągle to samo.

- O co tu chodzi, Charlie? Po co ci tyle ujęć z cmentarza?

- Poważna sprawa. Zawodowa.

- Jakie ty możesz mieć poważne zawodowe sprawy na wojskowym cmentarzu?

- Chwilowo to tylko taka niesprecyzowana myśl. Jeśli mi wyjdzie jakiś konkret, to zarobimy kupę pieniędzy. Może będę tam musiał wrócić i nakręcić więcej...

Nim zdążyła zadać dalsze pytania, rozległy się kroki nadchodzącej gosposi. Heather była zaskoczona, że Dunn natychmiast wyłączył telewizor. Dlaczego pani Parrish nie ma wiedzieć, że robił zdjęcia na arlingtonskim cmentarzu?

Po kolacji, kiedy pani Parrish już sobie poszła, oboje powrócili do saloniku. Dunn wydawał się mówić szczerze, kiedy jej przedtem powiedział, że nie ma powodu, by ktoś na nich nastawał. Choć uwierzyła mu, czuła nadal gnębiący ją niepokój.

Dunn powrócił do swego magnetowidu.

- Nie przeszkadza ci, że sobie obejrzę? - spytał, wkładając kasetę.

Zaprzeczyła ruchem głowy i po chwili miała możliwość oglądania ze wszystkich stron monumentalnego pomnika Lincolna, a potem, przez paręnaście minut, parkowego obszaru wokół pomnika. Następnie przyszła kolej na Biały Dom i budynki oraz ich dachy wokół prezydenckiego pałacu. Brakowało zaledwie pięciu minut do dziesiątej, kiedy Dunn wyłączył magnetowid i ziewnął.

- Kiedy polecimy na Barbados, Charlie? - spytała.

- Za parę tygodni. Powiedzmy siedemnastego lub osiemnastego lutego, żeby już być pewnym. Jutro przyniosę foldery z biura podróży. - Powtórnie ziewnął. - Zmiana stref czasowych zupełnie mnie dobiła.

Powolutku wstała.

- Ja też jestem zmęczona - obwieściła i ruszyła w stronę schodów. Była już o krok od niego, kiedy się obróciła i powiedziała:

- Ufam ci, Charlie. Zielonego pojęcia nie mam, co ty kombinujesz, ale mam do ciebie zaufanie.

- Robię to, co zawsze - odparł. - To, co trzeba...

Gdy się już położyli, myślała nadal o jego tajemniczym przedsięwzięciu. Pytanie zadała dopiero po zgaszeniu światła:

- Charlie?

- Słucham?

- Czy na Barbados też mam nosić ze sobą *Berettę*?

- Ależ skąd! - obruszył się.

- To dobrze - mruknęła i niemal natychmiast zapadła w głęboki sen.

♦ 3 stycznia, 15.05

- Czego chciał? - spytał dyrektor CIA.

- Pieniądzy - odparł Barringer. - Mówi, że mu jesteście winni dwieście tysięcy dolarów. Resztę jego honorarium.

McGhee kiwnął głową. Wiedział doskonale, ile CIA obiecała Dunnowi. McGhee lubił wszystko wiedzieć. Każdy strzęp informacji dawał dyrektorowi do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego poczucie większej pewności siebie. Teraz zerknął na dyrektora, żeby zobaczyć jego reakcję.

- Znam wysokość ustalonego honorarium - odparł szybko generał Hartley. - Co mu pan powiedział?

- Że przekażę to żądanie... odpowiednim czynnikiem. I pozwoliłem sobie uświadomić mu, że formalnie nie wykonał zleconej mu misji, bo smutny koniec Spaldinga nastąpił w katastrofie samochodowej, podczas gdy Dunn znajdował się w odległości półtora tysiąca kilometrów od miejsca wypadku. Wspomniałem, że zdaniem naszych prawników kontrakt wygasł z chwilą śmierci Spaldinga.

- Był wściekły? - spytał Hartley.

- Przyjął to zupełnie spokojnie. Byłem nawet zdziwiony.

- No cóż, dostał zaliczkę w wysokości dwustu tysięcy. To wcale nieźle za miesiąc pracy - zauważył Hartley.

- W istocie. Dunn zażądał jeszcze dziesięć tysięcy dla doktor Heather James w celu pokrycia kosztów leczenia i uszczerbku w dochodach.

Dyrektor CIA bębnił palcami po blacie biurka.

- I co pan uważa? - spytał.

- Zapłacić.

McGhee zaaprobował tę sugestię energicznym ruchem głowy.

- Myślałem, że nie lubi pan Dunna? - zdziwił się dyrektor.

- Lubienie nie ma z tym nic wspólnego - odparł McGhee. - Ona ma do tego prawo, a poza tym jest to ekonomicznie korzystne.

- Byłby pan łaskaw powiedzieć po ludzku - zażądał generał.
- Jest znacznie tańsze, niż cena, jaką musielibyśmy zapłacić, gdyby dowiedziała się o całej sprawie prasa.
- Sądzi pan, że doktor James poszłaby z tym do prasy?
- Zrobiłby to Dunn, generale.
- Jest do tego zdolny - zgodził się Barringer. - I do paru innych rzeczy.

- Na przykład jakich? - zaciekawilo to Hartleya.
- Wolę się nawet nie domyślać - odparł Barringer. - I dlatego proponuję natychmiast wypłacić kobiecie te pieniądze. Kiedy Dunn oniej mówił, miał bardzo dziwny wyraz twarzy, który sugerował... głębsze uczucie dla pani doktor.

Jeszcze jedna informacja do rejestru McGhee.

- Zgoda - powiedział krótko generał. - Wyślijcie jej dziesięć tysięcy przez którąś z naszych firm. Za usługi konsultacyjne i analizy.

Hartley spojrział na zegarek, dając tym sygnał obu zastępcom, że mogą już iść. Barringer i McGhee wstali.

- Jest jeszcze sprawa dwustu tysięcy Dunna - przypomniał z obojętności Barringer. - Powiedział, że zadzwoni siódmego, żeby się dowiedzieć, kiedy może odebrać pieniądze. Do tego czasu potrzebna mi będzie pańska decyzja, generale.

- Chce pan przez to powiedzieć, że pańscy doradcy prawni mogą się mylić? - spytał lodowatym tonem Hartley.

- Nie, generale, sugeruję tylko, że mogłoby to być, używając słów dyrektora McGhee, ekonomicznie korzystne, by utrzymać dobre stosunki z Dunnem.

- Boi się go pan?

- Nie. Tylko wybiegam w przyszłość. Może przyjdzie czas, że będziemy chcieli znów skorzystać z usług Dunna.

Nie był to temat, którym generał chciałby się zajmować. Choć świątoszkowata atmosfera z czasów afery Iran-Contras szybko się ulatniała, w każdej chwili mogły zrodzić się problemy z Kongresem czy prasą na temat tajnych operacji finansowanych przez CIA. Hartley reprezentował nową generację przebiegłej generacji, która potrafiła ułożyć sobie życie zarówno z politykami, jak i prasą.

- Bardzo w to wątpię - odparł Barringerowi. - Ale w wolnej chwili o tym pomyślę.

Wyraz twarzy generała nie pozwalał się domyślić, czy jest to zwlekanie, czy zasygnalizowanie, że nie chce o niczym wiedzieć. I nie chce mieć nic wspólnego z tak kontrowersyjnymi, a więc potencjalnie niebezpiecznymi sprawami.

- Dobry jest, co? - odezwał się w pół minuty później McGhee idąc z Barringerem korytarzem.

- Bardzo zdolny administrator - odparł z odruchową dwuznacznością Barringer. Nie miał zamiaru plotkować na temat dyrektora CIA. Zwłaszcza nie z dyrektorem do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego.

- A tak przy okazji, gdzie zatrzymał się Dunn? - spytał McGhee.

- Nie powiedział mi. Ale go chyba nie szukasz? Dunn mógłby się bardzo zdenerwować.

- Niby dlaczego, skoro, jak powiedziałeś, jest w doskonałym humorze - podkpiwał sobie McGhee.

- A jest. Odprężony... w dobrym nastroju. Pamiętaj, że w dalszym ciągu obowiązuje dyrektywa generała: masz się trzymać od niego z daleka.

- Czyżby miała jeszcze zastosowanie po śmierci Spaldinga?

- Ma zastosowanie, póki nie otrzymasz na piśmie jej anulowania. Zostaw Charlie'ego Dunna w spokoju!

Dunn siedział rozmarzony na ławeczce w sali wielkiego budynku na skrzyżowaniu Constitution Avenue i Szóstej Ulicy. Setki osób wypełniały sale Narodowej Galerii Sztuki, ale Dunn ich nie zauważał. Był sam na sam z obrazami El Greco. Ich ekspozycja była doskonała - wspaniałe obrazy umieszczono w sporej od siebie odległości i doskonale oświetlono. Lepiej nie można było sobie życzyć.

Jeśli więc idzie o prezentację arcydzieł świętej pamięci Domenikosa Theotokopouloza - geniusza znanego światu jako El Greco - efekt osiągnięto wspaniały. Miejsce do rozmyślań i planowania było też dobre, aż za dobre. Kto wie, czy nieco gorsze rozwieszenie obrazów nie pomogłoby koncentracji. Jednakże w ciągu dziesięciu minut Dunn uporał się z tą niedogodnością.

Blisko dwie godziny spędził z malarstwem El Greco, po czym przeniósł się do muzeum lotnictwa i przestrzeni kosmicznej w Instytucie Smithsona o parę przecznic dalej.

To miejsce także figurowało w jego planach.

W ostatnim akcie.

Czwartego stycznia lało przez cały dzień. Dunnowi to nie przeszkadzało. Poprosił gosponię, by nie wchodziła do saloniku, bo ma pilną pracę do wykonania. Zamknął drzwi i zaczął przeglądać nagrane przez siebie kasety.

Parokrotnie je przewijał i zaczynał od początku.

Setki razy zatrzymywał magnetowid, aby dokładniej obejrzeć wybraną klatkę, cofał taśmę, przyspieszał, zwalniał i przez cały czas robił notatki na żółtych kartkach, których kilka bloczków kupił poprzedniego dnia w sklepie papierniczym, w drodze do Galerii Narodowej.

Przerwę, i to bardzo krótką, zrobił tylko na lunch. Upewniwszy się, że gosposia zajęta jest na piętrze, poszedł do kuchni, przygotował sobie dwie kanapki z plastrami zimnego kurczaka, zaparzył kubek kolumbijskiej kawy i wrócił z tym wszystkim do saloniku. Zamknął znowu drzwi na klucz i, pojadając kanapki, zaczął raz jeszcze przeglądać nagrane przez siebie taśmy. Skończył o wpół do piątej. Na drobne kawałki podarł wszystkie notatki i następne trzy czyste strony bloku, po czym spalił je w dużej popielnicze. Rozgniótł popiół, wyspał do miski klozetowej i spuścił wodę.

Czynności te zajęły mu dziesięć minut. Opuścił dom za dwadzieścia piąta. Dochodziła szósta, gdy wrócił. Niósł plastikową torbę ze sklepu alkoholowego „Przybytek Bene” z życzeniami Wesołych Świąt.

- Chyba w deszcz nie wychodziłeś wyłącznie po alkohol? - spytała Heather.

- Oczywiście, że nie.

Zdjął płaszcz i wypróżnił torbę. Dwie butelki Bordeaux 78, Bernkasteler 79 i butelka słodowej whisky Glenfiddich. Ustawił wszystko na kuchennym stole, po czym z kieszeni wyjął kopertę.

- Będziemy musieli, niestety, przesiadać się w Miami. Nie ma bezpośrednich lotów z Waszyngtonu.

- Lotów dokąd? - spytała Heather.

- Na Barbados. Przecież już ci mówiłem, że tam lecimy - odparł z udawanym oburzeniem i podał jej kopertę. Otworzyła ją i znalazła folder Eastern Airways z dwoma biletami pierwszej klasy na lot 17 lutego na Barbados wraz z pokwitowaniem pięćsetdolarowego zadatku na dwutygodniowy pobyt w „Coral Reef Club”.

- Bardzo miły hotel. Dobra plaża i jedna z najlepszych kuchni na wyspie. Będzie cię się podobało - zapewnił Dunn.

- Charlie, więc mówiłeś poważnie! - wykrzyknęła uradowana Heather.

- Oczywiście, że poważnie. Przecież ja nigdy ci nie kłamię. Może nie wszystko zawsze mówię...

- Właśnie miałam zamiar powiedzieć, że jesteś niemożliwy, ale w obliczu tego wydarzenia przyznaję, że jesteś zdecydowanie możliwy i całkiem do przyjęcia. Chociaż czasami bywasz wręcz nieprawdopodobny

i to mnie martwi, bo ktoś może chcieć cię zabić.

- Chyba mogłaś przekonać się o jednym, Heather: jestem niezniszczalny. I wiesz co, nie mów o zabijaniu, nie chcę o tym słyszeć. Rozmawiajmy o poważniejszych rzeczach. Na przykład o seksie i co będzie na kolację.

- Pierwszy temat chętnie podejmę, ale jeśli chodzi o drugi, to odśylałam cię do pani Parrish.

Dunn zabrał się do otwierania butelki whisky.

- Nie omieszkam. Gdzieś ty znalazła tę szacowną niewiastę? Dobre kucharki są rzadkością.

- Jeden z tych agentów ochrony zadzwonił do biura pośrednictwa pracy. Zrobił to w dniu, kiedy wróciłam z Japonii. I miał wielkie szczęście. Powiedziano mu, że akurat jest kobieta z kwalifikacjami, która musiała opuścić dom, gdzie była zatrudniona.. Kiedy się dowiedziała, że jestem w gipsie...

- Natychmiast się zjawiała - dokończył Dunn.

- Zgadłeś

- To nie było trudne. Cóż innego mogła zrobić ta miła przyjazna niewiasta?

- Tak, jest miła i przyjazna. Do mojej whisky proszę trochę więcej wody.

Dunn dolał. Oboje spełnili w milczeniu toast, wznosząc wysoko grube szklance. Heather upiła łyżek i zobaczyła ironiczny błysk w oczach Dunna.

- Charlie!

- Tak?

- Ty sądzisz, że ona...?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem.

Heather James nie mogła uwierzyć, że jej gosposia jest agentem CIA.

- I nie masz nic przeciwko temu?

- Takie jest życie, moja droga. Jak to mówią, ryby muszą pływać, a ptaki śpiewać. Moi dawni koleżkowie też muszą robić swoje.

- I nic w związku z tym nie zrobisz?

Dokończył drinka.

- Absolutnie nic. Przynajmniej będę dobrze jadł, póki ona tu jest... A oto właśnie idzie pani Parrish! Jakie dziś menu?

- Krem z krabów, miecznik i sałatka z cykori - obwieściła gosposia od progu. - A na deser niespodzianka. Zabierzcie państwo ze sobą whisky, jeśli jeszcze nie skończyliście. Kolacja podana.

Dunn roześmiał się. - Uwielbiam niespodzianki.

Kolacja była doskonała i Dunn pogratulował pani Parrish, gdy o ósmej dziesiątej zbierała się do wyjścia.

- Czy moglibyśmy dostać przepis na szarlotkę? - spytał.

- Nie rozdaję moich przepisów - odparła. - Dobranoc, pani doktor.

Gdy pani Parrish wyszła, Dunn chrząknął z rozbawieniem i powiedział, że pani Parrish jest fantastyczna.

Zarówno chrząknięcie, jak i te słowa wyraźnie zarejestrowała taśma, którą następnego ranka przesłuchiwała Emily Axt z kontrwywiadu CIA.

- Powiedział, że jest fantastyczna - meldowała swemu szefowi, dyrektorowi McGhee. - I wcale mu nie przeszkadza, że przez dwanaście godzin dziennie mamy swego agenta w ich mieszkaniu.

- Problemy? - spytał McGhee.

- Mikrofony w salonie i sypialni są głuche.

- Sypialnię rozumiem. Intymność i tak dalej. Ale dlaczego w salonie? - zastanawiał się na głos McGhee.

- Myśli pan, że je wyłączył?

- Raczej rozgniół obcasem. Albo sprzedał. Pan Dunn ma przewrotne poczucie humoru. Z tego, co o nim wiem, jest również arogancki i niegrzeczny.

- Spotkał pan go kiedy? - zaciekała się pani Axt.

- Nie. Ale niedługo to naprawię. Proszę kontynuować inwigilację.

Wracając do swego pokoju Emily Axt zastanawiała się, po co właściwie McGhee każe śledzić Dunna i Heather James. Szef kontrwywiadu CIA był logicznym i racjonalnym człowiekiem, a najracjonalniejszym działaniem wydawało się w chwili obecnej wyłuskiwanie wtyczki. Dalsze śledzenie Dunna i James nie miało sensu.

Chyba że McGhee sądził, iż Heather James ma jakiś związek z wtyczką.

Sobota piątego stycznia była chłodna i ponura. Prawie wszyscy mieszkańcy Dystryktu Columbia i okolic wypoczywali. Ale Dunn nie wypoczywał. Kwadrans po dziesiątej wyszedł z domu z kamerą wideo, wsiadł do samochodu i przez Alexandrię, i most Woodrowa Wilsona pojechał na lotnisko Rose Valley. Odszukał niewielkie biuro usług helikopterowych, gdzie czekał na niego piegowaty mężczyzna o nazwisku Dallas Galio.

Galio miał na sobie kombinezon lotniczy i po czterdziestu minutach, i zainkasowaniu ośmiu pięćdziesięci dolarowych banknotów, siedział już za sterami śmigłowca *Bell*, z Dunnem u boku. Zgodnie z życzeniem Dunna Galio poleciał w kierunku rozległej bazy Sił Powietrznych Andrews. Był to wielki kompleks, gdzie lądowały nie tylko samoloty wojskowe, ale i specjalne maszyny federalne, między innymi prezydenckie.

Galio okrążył bazę, podczas gdy Dunn patrzył w dół przez silną lornetkę. Następnie polecił pilotowi lecieć ponad drogą o rozdzielonych pasmach ruchu, prowadzącą z lotniska wojskowego do centrum Waszyngtonu, a sam rejestrował trasę na taśmie wideo. Nie było to tak ekscytujące, jak misje wykonywane przez Galio podczas wojny w Zatoce, gdzie pilotował śmigłowiec szturmowy, ale zapewniało chleb z masłem.

Z kolei Dunn wskazał potężny budynek siedemset metrów poniżej i palcem zakreślił kółko. Galio nie odważyłby się przelecieć nad budynkiem, gdyż była to zakazana strefa powietrzna, ale nie miał nic przeciwko obleceni jej dokoła. Dunn wytłumaczył, że szuka odpowiednich warunków na umiejscowienie niektórych scen przyszłego filmu z Richardem Pryorem - szalonej komedii o czarnym prezydencie. Do takiego filmu należało opracować sekwencje zawierające Białe Domy i poruszanie się prezydenta w najbliższej okolicy.

Wreszcie Dunn zakreślił jeszcze większe koło. Tym razem chodziło o dachy budynków w promieniu siedmiuset metrów od prezydenckiej

siedziby. Kiedy nakręcił wszystko, poklepał pilota w ramię i wskazał ponownie kierunek na bazę Andrews. Tym razem wracali inną drogą i Dunn rejestrował każdy jej metr. Gdy dolecieli do Andrews, Dunn podniósł kciuk informując, że ma już wszystko, czego potrzebował. Po sześciu minutach opuścili kabinę helikoptera na lotnisku w Rose Valley.

Dunn podziękował pilotowi, ten podrapał się w głowę i zniecierpliwiony zapytał:

- Jaki właściwie jest ten Richard Pryor? Tak naprawdę.

- W życiu go nie widziałem - odparł Dunn.

Wrócił do Waszyngtonu. Na ulicach centrum miasta wyjątkowo nie było korków. Skręcił w elegancką Connecticut Avenue Northwest, zaledwie o parę minut od wiaduktu nad parkiem Rock Creek. Tuż za nim znajdowała się ambasada. Była to dzielnica Kalorama, sąsiedztwo zadbanych trawników przed domami i dużych rezydencji. Budynek ambasady wykonany z cegły należał do największych.

Dunn dwukrotnie objechał go bardzo wolno, zerkając na sąsiadujące domy... ich mury i ogrodzenia... na ochronę zapewnioną przez sekcję dyplomatyczną policji, zajmującej się dozorem budynków urzędowych. Budynek ambasady nie był podobny do pobliskich rezydencji. Przypominał raczej sąsiadujące z nim bloki mieszkalne. Dunn rozpoznał flagę: jaskrawoczerwona z większą żółtą gwiazdą i czterema małymi. Dobrze znał tę flagę, podobnie jak broń piechoty, rakiety i czolgi państwa, które reprezentowała.

Zatrzymał samochód i utrwalił na taśmie ulicę i bok rezydencji. Przejechał kilkadziesiąt metrów, skąd miał dobre ujęcie drugiego boku. W żadnym miejscu nie zatrzymywał się zbyt długo, gdyż istniało ryzyko, że jakiś nadgorliwy ochroniarz zapisze numer rejestracyjny jego samochodu. Wówczas Dunn musiałby przeczekać parę dni i wrócić innym samochodem z innymi tablicami.

Na lunch pojechał do małej greckiej restauracji. Do Falls Church wrócił o drugiej trzydzieści. Gosposi nie było.

- Nie podoba mi się, że jesteś sama - powiedział do Heather.

- Nie rozumiem, dlaczego się tym niepokoisz, Charlie - odparła. - Przecież sam powiedziałaś, że już nikt nie chce nam zrobić krzywdy. - Ale ze szlafroka wyjęła nagle *Berettę* i pochwaliła się:

- Szybka reakcja, co?

- Fatalna. Chcesz obejrzeć równie fatalne ujęcia?

Włożył kasetę do magnetowidu, ale nim włączył aparaturę, sprawdził salonik, czy nie założono nowego podsłuchu.

- Sprawdzaleś przecież wczoraj, Charlie!

- I sprawdzę ponownie jutro. Droga pani Parrish, czy jak tam się naprawdę nazywa, mogła podrzucić kilka świeżutkich elektronicznych pluskiew.

Przez pięćdziesiąt pięć minut patrzyli na nakręcony przez Dunna materiał, aż wreszcie Heather odezwała się:

- Masz lekkiego bzika na temat Białego Domu.

- Każdy Amerykanin-patriota ma na ten temat bzika - odparł. - I niby dlaczego nie. Ja też mógłbym być prezydentem. Mam wspaniałe uzębienie, a ty doskonale się ubierasz.

- Masz naprawdę bzika, Charlie.

- To nie przeszkadza w polityce.

Na ekranie telewizora pojawiły się ujęcia budynku ambasady.

- Znam ten budynek! - wykrzyknęła podniecona Heather. - I znam tę flagę! Komunistyczne Chiny!

- ChRL - poprawił.

- Że co?

- Chińska Republika Ludowa. Oni tak się nazywają.

- Przed ośmioma miesiącami byłam tam na przyjęciu.

Na ekranie pojawiły się kolejne ujęcia ambasady.

- Charlie, powinnam ci jeszcze coś powiedzieć - odezwała się nagle Heather po pół minucie. - Otóż kiedy przed godziną wysłałam na krótki spacer... tylko do skrzynki pocztowej z listem do papy, chyba znów ją widziałam. Tę Azjatkę, która tak mi się przyglądała w księgarni w Atenach.

- Jesteś pewna, że to ta sama?

- Na dziewięćdziesiąt pięć procent. Siedziała w brunatnym Buicku i pilnowała naszego domu.

- Cholera! - zaklął Dunn pod nosem.

- Czy ona pracuje dla CIA, czy dla kogoś innego?

- Dam głowę, że dla kogoś innego. Dobrze, sprawdzę to. Może też z nią porozmawiam.

- Może to przyjaciółka Spaldinga - podsunęła Heather.

- Nie sądzę, by on miał jakiegokolwiek przyjaciółki czy przyjaciół.

Ale będę ostrożny - zapewnił ją Dunn.

Ekran zrobił się szary. Dunn przewinął kasetę, by raz jeszcze ją puścić. W połowie tej drugiej tury wielkie niebieskie oczy Heather zamknęły się i dziewczyna zasnęła. Gdy Dunn skończył oglądanie, wyłączył magnetowid i podszedł do frontowego okna. Żadnego brunatnego Buicka nie było.

O dziewiątej dziesięć następnego ranka Heather James usłyszała jakiś hałas. Musiał być głośny, skoro ją obudził. Przez kilka chwil było

jej bardzo ciepło, bardzo przyjemnie i radośnie. Jakże to dobrze przebywać z człowiekiem, który ją kocha, no i jest wspaniały w łóżku.

Gdzie on jest?

Powinien być koło niej w łóżku. Ale go nie ma.

Usłyszała ponownie hałas. Na dole ktoś był, na tyłach domu. Nie namyślając się wiele wstała cichutko i z nocnego stolika wzięła *Beretę*. Boso na palcach zeszła na dół.

Odgłos z kuchni poinformował ją, gdzie znajduje się intruz. Czy jest uzbrojony? Odrzucając lęki pchnęła drzwi i z wyciągniętą w obu dłoniach bronią wpadła do kuchni.

- Wszystkiego najlepszego, droga solenizantko! - powitał ją Dunn.

Kuchnię wypełniał aromat świeżo zaparzonej kawy i zapach boczku. Na wielkiej ciężkiej patelni złocił się puszysty omlet - Charlie przygotował niedzielne śniadanie.

- Dziękuję, ale to nie są moje urodziny - poinformowała go.

- Oczywiście, że są - zaprzeczył jej wesoło. - Siadaj do stołu.

Gdy skończyli jeść, przeszli do saloniku, gdzie zagłębili się w lekturę niedzielnej prasy. Siedzieli obok siebie na kanapie do pięć po jedenastej, a przez cały czas towarzyszył im Jean-Pierre Rampai i zespół kameralnej muzyki barokowej wykonujący utwory Bacha.

Pięć po jedenastej Dunn nagle wstał.

- Ponieważ to niedziela, nie będziemy oglądali żadnych twoich nagrań - oświadczyła.

- Oczywiście, że nie. Pobiegam.

Tego dnia przebiegł dwa kilometry, następnego trzy. W środę doszedł już prawie do czterech. W latach spędzonych w Vermont Dunn bardzo dużo biegał i nie zapominał o tym również w tygodniach poprzedzających wyprawę do Londynu. Biegał, by być sprawnym fizycznie, ale i dlatego, że podczas biegu potrafił się skoncentrować i analizować różne sprawy.

Każdego dnia rano biegał, a po południu spędzał godzinę na pobliskiej strzelnicy. Korzystał z pistoletów kalibru 0.22 cala. Cztery magazynki z lewej ręki i cztery z prawej. I jeszcze raz to samo. Chciał mieć obie ręce jednakowo sprawne.

Poświęcał olbrzymie ilości czasu na analizę sytuacji i co najmniej dwie godziny dziennie na studiowanie swoich nagrań na kasetach wideo, by wyciągnąć ze wszystkiego bezbłędny wniosek. Wiedział, że w tych ujęciach znajduje się klucz. Musi go szybko znaleźć, bo będzie za późno.

Podczas sobotniego, prawie pięciokilometrowego biegu, uznał, że trafił na właściwe rozwiązanie. Mimo iż sto razy analizował wszystkie

elementy wchodzące w grę, wiedział, że podejmuje ryzyko. Ale było to ryzyko w granicach rozsądku. Musi uczynić ten ruch. O godzinie 22.40 obwieścił Heather:

- Muszę wyjść.

Nie zadawała żadnych pytań. Od wielu godzin wydawał się bardziej spięty. I teraz musiał iść i zrobić to, co powinien.

- Nie czekaj na mnie - powiedział.

Nim zdołała odpowiedzieć, pocałował ją i wyszedł w mroczną noc.

- Niech się pan nie rusza - zabrzmiał jakiś głos.

Martin McGhee był naprawdę przerażony. Nie tylko dlatego, że został wyrwany ze snu o drugiej w nocy w zupełnych ciemnościach, ale poczuł ponadto między oczami dotyk zimnego metalu. Pistolet. Jeszcze nikt nigdy nie przykładał mu pistoletu do głowy.

Aż trudno było w to uwierzyć. Takie rzeczy nie zdarzają się przecież w luksusowych rezydencjach przy nieustannie patrolowanych przez policję ulicach szacownej dzielnicy Georgetown! I nie powinny się wydarzać szefom potężnej CIA.

Zaledwie przed dziesięcioma sekundami McGhee smacznie spał. Nigdy nic mu się nie śniło i nie miewał koszmarów. Teraz usiłował opanować paraliżujący go strach. Musi odzyskać panowanie nad sobą. Jeśli ktoś szuka jakiejś informacji, to jej nie dostanie.

- Nic nie powiem - odezwał się pełnym napięcia głosem.

- Ale ja powiem. Przyszedłem z panem porozmawiać, a nie zabić pana.

Rozbłysła malutka latarka i na parę sekund oświetliła twarz, którą McGhee natychmiast rozpoznał.

- Dunn!

- Charles Jefferson - uzupełnił Dunn i podał swój numer identyfikacyjny CIA.

- Nie ujdzie ci to na sucho, Dunn!

- Właśnie uszło. Teraz niech się pan rozluźni, weźmie głęboki oddech i słucha. Sprawa jest bardzo poważna.

Lufa pistoletu już nie opierała się o czoło McGhee. Wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Dostrzegł zarysy skierowanego ku sobie pistoletu z tłumikiem.

- Może pan usiąść, jeśli pan chce - zaproponował Dunn. - Może pan zapalić. Byle nie próbował pan gmerać koło żadnych przycisków alarmowych. Niech panu nawet nie przychodzi do głowy taka myśl.

- Nie palę - odparł McGhee i usiadł ze sztywną godnością. - Jeśli panu chodzi o pańskie pieniądze, to szuka pan ich u niewłaściwej

osoby. Miał pan w tej sprawie dzwonić do Barringera. Już przed wieloma dniami.

- Byłem bardzo zajęty. Ale nie o tym chcę mówić. Jest sprawa znacznie pilniejsza. Victor Spalding.

- Jaki sens rozmawiać o nieboszczyku?

- Wprawdzie jest pan gadem, panie McGhee, ale zbyt inteligentnym gadem, żeby dać się nabrać na taka historyjkę jak wypadek samochodowy w tak wygodnej chwili.

Szef kontrwywiadu CIA nastawił uszu, ale odpowiedział z ironią:

- Czyżby nie przekonywały pana odciski palców i uzębienia? Można zmajstrować szczękę, ale nie odciski palców.

- Ma pan na myśli te palce?

Latarka oświetliła na chwilę prawą rękę Dunna.

- Co pan znowu opowiada?

- Zdjęcia odcisków palców, jakie otrzymał pan z Tokio, były moje, a nie trupa.

- Może pan tego dowieść?

- Zaprzysiężone oświadczenia dwóch świadków, którzy przy tym byli. Jeden to lekarz szpitalny, a drugi to inspektor japońskiej policji, który kierował dochodzeniem w sprawie wypadku. To były moje odciski.

- Chryste! - wyrwało się z ust McGhee.

- Święci nic panu nie pomogą i cudu nie sprawią - odparł Dunn. - To nie były zwłoki Victora Spaldinga. Zrobiono pana na szaro.

McGhee milczał usiłując przetrwać to, co usłyszał, i zastanowić się, co dalej.

- I co? Nie podziękuję mi pan? - spytał Dunn. - Właśnie odwalilem za pana robotę. Osoba w pańskim biurze, która sprawdzała odciski i powiedziała, że należą do Spaldinga, kłamała. Jest obcym agentem. Pańską poszukiwaną wtyczką.

- Zajmę się tym... Czy mogę zobaczyć te zaprzysiężone oświadczenia?

Dunn rzucił na łóżko kopertę.

- Fotokopie. Oryginały, oczywiście, zatrzymuję.

- Czy to wszystko, panie Dunn? Jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

- Tak. Po co to zrobił? Spalding przygotowuje się do wykonania specjalnego kontraktu... wkrótce... tu.

- Kto jest obiektem?

- Wu Fang Teh.

Nowy premier Chińskiej Republiki Ludowej składał pierwszą wizytę w Stanach Zjednoczonych. Piętnastego miał podpisać w Białym

Domu historyczny traktat „o przyjaźni i wzajemnej pomocy”. Komentatorzy i telewizyjni mędrcy spekulowali na temat traktatowych paragrafów, mówiących o ewentualnej pomocy wojskowej.

- Skąd pan wie, że chodzi o Wu? - spytał McGhee.

- Podpowiedziały mi głowa i instynkt. Wu jest jednym z czwórki najważniejszych na świecie mężów stanu. I jednym z tych, których Moskwa widziałaby chętnie w trumnie. Moskwa steruje Spaldingiem i pańską wtyczką.

- To ostatnie podpowiada panu głowa czy instynkt? - spytał ironicznie McGhee.

- Niech pan sobie nie pokpiwa, panie McGhee. Ta głowa i ten instynkt ze stosu siana wyluskały panu wtyczkę.

Wysoki funkcjonariusz zmienił temat:

- W jaki sposób Spalding zbliży się do Wu? Ochrona będzie wręcz nieprawdopodobna. Amerykańska i chińska.

- Nieprawdopodobne ochrony są specjalnością Spaldinga. Wu jest nadzwyczajnym celem. Spalding znajdzie więc nadzwyczajny sposób podejścia. Prawdopodobnie podczas którejś ze standardowych lokalnych wycieczek, zazwyczaj organizowanych dla ważnych osobistości.

McGhee prychnął lekceważąco.

- Panie Dunn, to są przypuszczenia. Proszę o fakty. Niech pan mówi, co pan wie na pewno.

- Wiem wszystko o wyszkoleniu Spaldinga, o sposobie jego myślenia i stylu działania, jest artystą wielkiej sceny. Wybierze coś wielkiego. Biały Dom.

- Bzdura! Nigdy nie dostanie się do środka.

- Nie będzie musiał. Zrobi to z zewnątrz. Moim zdaniem zaatakuje helikopter wiozący Wu z bazy lotniczej Andrews. Będzie chciał zestrzelić go na ziemię przed Białym Domem. Przy kamerach telewizyjnych, na oczach całego świata, szczątki Wu spadną u stóp prezydenta.

- Czysta spekulacja.

- Spekulacja oparta na racjonalnych przesłankach i pełnej analizie sytuacji. W tej dziedzinie ja jestem profesorem, nie pan, panie McGhee.

Zapadła cisza.

Trwała długo, chyba około minuty.

- Nie ma wiele czasu - nalegał Dunn. - Wu ląduje w Andrews o wpół do czwartej. Ma pan około jedenastu godzin.

- Zadzwońię do pana z samego rana - powiedział chłodno McGhee.

- Doskonale. Wie pan, gdzie mnie znaleźć. A propos, dziękuję za panią Parrish. Świetnie gotuje.

- W pańskich ustach zabrzmiało to niemal obscenicznie.

- Taka była moja intencja - odparł Dunn i rozplynął się w mroku.

W drodze powrotnej do Falls Church Dunn zastanawiał się, czy dobrze pokierował rozmową. Czy McGhee mu uwierzył? No cóż, Dunn zrobił, co mógł. Teraz kolej na McGhee. Czy zareaguje na ostrzeżenie? Chyba tak. I chyba wszystko skończy się dobrze. O ile wtyczką nie jest sam McGhee.

O trzy przecznice od Białego Domu znajduje się dwunastopiętrowy, doskonale utrzymany gmach - Axelrod Building. Choć od lat nie zapewnia już adresu świadczącego o statusie lokatora i nie konkuruje z nowoczesnymi wieżowcami, jest nadal szacowną siedzibą licznych małych firm prawniczych, biur rachunkowych, fotografów, redakcji biuletynów, gabinetów stomatologicznych oraz wielu stowarzyszeń handlowców i naukowców. Przytuliły się tam również dwie fundacje.

Jedną z nich jest Międzynarodowa Fundacja Astronomii, która przed dwoma miesiącami wprowadziła się do niewielkiego biura na dziesiątym piętrze. To bardzo skromne akademickie przedsięwzięcie zatrudniało jednego starszawego pracownika. Człowiek ten chodził pochylony, miał bieluteńkie włosy i, jeśli wierzyć jego grubym szkłom, był chyba na pół ślepy. Nie cieszył się też najlepszym zdrowiem. Doktor Ira Chamberlain był pewno emerytowanym profesorem, jak sądzili ci wszyscy, którzy go widywali. A widywali rzadko, całe bowiem tygodnie domniemany profesor nie pojawiał się, najprawdopodobniej chorując.

13 stycznia o 14.05 doktor Chamberlain jednak pojawił się w holu budynku. Jak zwykle w jednej ręce trzymał laskę, a w drugiej zniszczoną czarną teczkę. Umundurowany windziarz ucieszył się na widok powracającego po dłuższej nieobecności profesora i przytrzymał mu drzwi windy.

Chamberlain podziękował, wymawiając słowa z florydzkim akcentem.

- Miło pana znów widzieć - odparł windziarz i zawiózł profesora na dziesiąte piętro.

Po niespełna minucie Chamberlain wczłapał z korytarza do pokoju 1107, dobrze zamknął za sobą drzwi i pozbierał z podłogi rozrzucone biuletyny astronomiczne i inne naukowe periodyki, które listonosz zawsze wrzucał przez wąską szczelinę. Odłożył wszystko na półkę, gdzie leżał już stos kilkudziesięciu podobnych czasopism.

Biuro było skromnie wyposażone. Nic oprócz wieszaka na płaszcz, sfatygowanego sosnowego biurka i trzech krzeseł, starego komputera na metalowym stoliku na kółkach pod oknem, dużego globusa tuż pod oknem na drugim stoliku i mapy niebios na ścianie.

Doktor Chamberlain umieścił płaszcz na wieszaku, otworzył szafę w ścianie i wyjął ponad metrowej wysokości trójnog, który rozstawił przy oknie. Następnie wrócił do ścienniej szafy po lunetę. Wydawał się wyższy, gdy odkręcał końcówkę lunety. Kiedy skończył, w ogóle już nie przypominał przygarbionego starego profesora, a luneta też wydawała się inna.

Mężczyzna, który nie był już doktorem Iry Chamberlainem, przymocował „lunetę” do jeszcze jednego przedmiotu wyjętego z szafy i oto miał w rękę broń doskonale znaną żołnierzom amerykańskiej piechoty: przeciwnocny pocisk raketowy naprowadzany na emisję ciepła. Został skradziony z magazynów wojskowych. Spalding z rozmysłem wybrał amerykańską raketę. Jeszcze bardziej skompromituje to rząd Stanów Zjednoczonych, gdy wyjdzie na jaw, z jakiej broni zginął chiński premier.

I nawet nie będą szukali jego - Spaldinga.

Kto by węszył za zmarłym?

Spalding otworzył teczkę, wyjął z niej odbiornik radiowy ze skanem częstotliwości i ustawił go na odbiór kontrolera w wieży kontroli ruchu powietrznego bazy Sił Powietrznych Andrews. Chińska maszyna z oficjalną delegacją wyprzedzała o dwie minuty przewidziany czas, znajdując się o tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Waszyngtonu.

- Przewidziany czas lądowania: 15.28.

Wynikało z tego, że helikopter znajdzie się nad lądowiskiem Białego Domu pięć do sześciu minut przed czwartą po południu.

I w chwilę później nie będzie już ani premiera Wu Fang Teh, ani doktora Iry Chamberlaina. Pozostanie natomiast Victor Spalding, najbogatszy i najskuteczniejszy likwidator, jakiego znał świat.

Teraz należało jeszcze usunąć wszelkie ślady w biurze. W tym celu Victor Spalding przyniósł dwie ścierki. Zaczął pucować wszystkie powierzchnie, na których mógł zostawić ślady palców. Nie może pozostać nic, co prowadziłoby do Victora Spaldinga. Zwłaszcza starannie wytarł rure, w której mieścił się pocisk raketowy.

14.57. Chiński pilot nawiązał łączność z bazą Andrews.

Maszyna najwyraźniej zwolniła, gdyż nowy przewidziany czas lądowania wrócił do planowanego: 15.30.

Spalding słyszał całą korespondencję łącznie z instrukcjami kontroli ruchu dla chińskiego pilota, władającego zupełnie dobrze angielskim. Wysłuchał też poleceń wydawanych załodze helikoptera mającego lecieć z chińską delegacją z bazy Andrews do Białego Domu.

Za kwadrans czwarta Spalding umocował wyrzutnię na stojącym przy oknie trójnogu. Chociaż była przystosowana do odpalania z ramienia, Spalding uważał, że będzie precyzyjniejsza na mocnej podstawie. Po jej umocowaniu Spalding z zamkniętej skrzyni w szafie wyjął smukłą raketę i wsunął ją do rury. Z szuflady biurka wyjął też lornetkę, za którą zapłacił 630 dolarów, i zaczął obserwować niebo nad Białym Domem.

Było jeszcze puste.

Podsunał sobie krzesło, aby siedzieć tuż za wyrzutnią prawie dotykającą ramy okiennej. Jest! Malutka kropeczka na jasnym niebie waszyngtońskiego popołudnia. Prędkość zbliżania: około 150 kilometrów na godzinę. Zbyt wolno i zbyt nisko jak na odrzutowiec. Tak, to musiał być śmigłowiec!

Nadchodziła chwila, na którą tak długo czekał.

- Król Śmierci! - Spalding wypowiedział te dwa słowa na głos, podnosząc do góry rozsuwaną szybę okienną. Do pokoju wpadła fala zimnego powietrza. Najwyżej osiem stopni Celsjusza. Na Spaldingu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nawet nie drgnął. Był wniebowzięty: za kilka minut zmieni bieg historii.

Usiadł na krześle i spokojnie powrócił do obserwacji nieba przez lornetkę.

Helikopter był już znacznie bliżej. Mniej więcej kilometr od Białego Domu. Czyli w zasięgu rakiety. Ale Spalding postanowił zaczekać, aż maszyna podejdzie jeszcze bliżej. Najprawdopodobniej zdąży wysłać tylko jeden pocisk. Musi bezbłędnie trafić za pierwszym razem.

Cóż to znowu?

Drugi śmigłowiec... trzeci... i jeszcze jeden! Czwarty... piąty... szósty!

Sześć helikopterów! Co się dzieje?

Przyglądał im się uważnie i rozpoznawał kształty. Trzy to standardowe transportowe śmigłowce *Seastallion*, z których wykorzystano do przewożenia ważnych osobistości Białego Domu. Pozostałe to maszyny szturmowe *Apache*! Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Helikoptery uzbrojone w trzydziestomilimetrowe działko o- szybkostrzelności ponad 600 strzałów na minutę oraz rakiety przeciwpancerne *Hellfire*.

Co one robią nad centrum Dystryktu Columbia?

I pytanie jeszcze ważniejsze: w której z maszyn leci ten cholerny Chińczyk?

Spalding obracał skanerem radioodbiornika w poszukiwaniu częstotliwości, na której rozmawiali piloci helikopterów. Odbiornik ją wychwycił, gdy maszyny były już blisko.

- Kropla Jeden do Kropli Dwa. Kropla Jeden do Kropli Dwa. Widzicie coś?

- Na razie nic... Chyba nie...

- Jest, jest, jest! Kropla Trzy do Kapitana! Jest sukinsyn! Na lewo... Szary budynek... Przedostatnie piętro... Widzicie go? Słońce odbija się od celownika...

Do rozmowy włączył się nowy głos:

- Bierzcie go!

Ten bydlak Dunn!!!

- Kapitan do wszystkich Kropel! Szary budynek na zachód od Orlego Gniazda. Wchodzę do akcji.

Beznadziejna sytuacja. Dwa śmigłowce szturmowe zostały z trzema pasażerskimi. Pięć maszyn w luźnym szyku. Ich rozgrzane silniki i gorące spaliny zmyłą głowicę termolokacyjną rakiety. Szósty helikopter, bojowy, zmierzał prosto ku Axelrod Building.

Skąd Dunn się domyślił, że on, Spalding, żyje?

Jak odkrył plan?

Nie czas na takie pytania. *Apache* znajdował się w odległości pięciuset metrów i odległość ta malała z zastraszającą prędkością. Za dziesięć sekund działko plunie ogniem.

Victor Spalding zerwał się i rzucił w kierunku drzwi.

Potem popędził, jakby go sam diabeł gonił.

- Prezydent był bardzo zadowolony. Powiedział, że niesłuchanie skutecznie wywiązaliśmy się z obowiązków. I że była to nadzwyczajna akcja - obwieścił Hartley następnego poranka Barringerowi i McGheemu. - Osobiście zadzwonił do mnie niespełna dziesięć minut temu. - Dyrektora CIA rozsadzała radosna дума. McGhee odruchowo spojrział na zegarek z kalendarzem. Była dziewiąta pięćdziesiąt osiem czternastego stycznia. Warte zapamiętania.

- To powinno nam pomóc przy zatwierdzaniu budżetu - pomyślał głośno Barringer.

- Właśnie to mi powiedział. „Bill - powiedział - słyszałem, że macie jakieś problemy z Kongresem w związku z waszym budżetem, tak? Więc ci powiem, że już ich nie macie. Daję ci moje słowo”. Tak mi powiedział, panowie! Wspaniale, co?

McGhee i Barringer - którzy przetrwali co najmniej trzech prezydentów beztrąsko kłamiących i niedotrzymujących najsolenniejszych obietnic - przytaknęli z całą powagą.

- No i ten wasz kontraktowiec rzeczywiście doskonale się spisał. Mielicie co do niego rację - pogratulował Hartley.

- Dziękujemy za pochwałę, panie generale, ale w rzeczywistości, to on miał rację. Myśmy się zagubili.

- Zgoda, zgoda, ale zebraliśmy dość pochwał, by obdzielić wszystkich.

- Warto by go teraz obdzielić pieniędzmi - wtrącił Barringer.

- Zarobił na swoje honorarium i jeszcze dziesięć razy tyle.

- Uważacie, że zarobił na całe honorarium? - Hartley spytał podchwytliwie McGhee.

- Trzeba mu dać całe pieniądze i niech sobie wraca do Vermont - odparł szef kontrwywiadu CIA.

- Spalding nadal gdzieś sobie hasa - przypomniał Hartley.

- Długo już nie pohasa - oświadczył McGhee. - Rozgląda się za nim policja całego kraju, a FBI postawiło na nogi połowę swoich agentów, by zabezpieczyć porty morskie i lotnicze.

Na wspomnienie FBI generał Hartley nie mógł powstrzymać się od lekkiego uśmiechu. Generał był doskonałym żołnierzem, ale i wspaniałym świeżo upieczonym biurokratą. Bezpieczeństwo wewnętrzne kraju - łącznie z uniemożliwianiem mordercom wykonywania ich zawodu - leżało w kompetencjach FBI. Zażenowanie rywalizującej instytucji, w związku z wydarzeniami poprzedniego dnia, sprawiło mu nieklamana satysfakcję.

- Zapłaćcie Dunnowi - zdecydował Hartley.

- Zaraz każę przygotować zlecenie przelewu - powiedział Barringer. Wstał i wyszedł.

- No a teraz pańska wtyczka - zaczął generał.

- Duży postęp. Już chyba wiem, kto to jest - odpowiedział McGhee.

- Kim on jest?

McGhee przecząco pokręcił głową.

- To ona. W moim zespole, niestety. Programistka komputerowa. Bardzo wysoko notowana przez SWR.

Hartley skinął głową na tę pochlebną opinię o wtyczce. Oceniając ją tak wysoko McGhee tylko przestrzegał Pierwszej Zasady Przetwarzania: chroń wyobrażenie o sobie i swój tyłek. Im lepszy schwytyany przeciwnik, tym większa chwala dla chwytającego.

- Opracowała kod otwierający wszystko. Tak jak hotelowy klucz uniwersalny do wszystkich drzwi. Emily Axt miała dostęp dosłownie do wszystkiego. Oczywiście, nie wiemy, czy jest prawdziwą Emily Axt. Rosjanie przed parunastu laty mogli podstawić nam agentkę, wtedy kiedy prawdziwa Emily Axt odbywała kolejno dwie podróże do Wiednia.

- Radziłbym panu dowiedzieć się wszystkiego, czego pan jeszcze nie wie - powiedział sarkastycznie generał Hartley.

- Ależ oczywiście - odparł McGhee. - Ale będzie z tym sporo pracy.

- Pańska kolejka, żeby trochę popracować - zażartował generał. - Dunn swoją robotę skończył i mam nadzieję, że w tej chwili odpoczywa sobie z dobrym cygarem...

Dunn akurat nie palił cygara, tylko strzelał. Wcześniej rano przebiegł pięć kilometrów, a teraz spędzał czas na strzelnicy. Z każdej ręki wystrzelał dwukrotnie więcej magazynków niż zazwyczaj. Następnie zaczął strzelać z obu rąk jednocześnie. Kierownik strzelnicy przyglądał się z nieklamany podziwem. Dunn robił to po raz pierwszy.

Poranek 15 stycznia był rześki i bezchmurny. Do dziewiątej dziesięć Dunn był już po biegu, prysznicu i po śniadaniu. Właśnie wkładał talerze do zlewu, kiedy rozległ się dzwonek do wejściowych drzwi.

- Otworzę! - zawołał do Heather, wyciągając jeden z swoich pistoletów. Podszedł do frontowego okna i wyjrzał. Przy chodniku stała popielata furgonetka, a pod drzwiami wejściowymi mężczyzna o karnacji Latynosa. Chociaż był co najmniej o dziesięć centymetrów niższy od Spaldinga, Dunn odbezpieczył broń przed otwarciem drzwi.

- Doktor H. James?

- Tak się nazywam - skłamał beztrzesko. - A pan?

- Przesyłka z firmy Ajax - odparł posłaniec i wyciągnął dłoń z jasnobrązową kopertą. Ponieważ była zbyt cienka, by mogła zawierać bombę, Dunn nie miał oporów przed jej przyjęciem.

- Musi pan najpierw podpisać - zaprotestował posłaniec.

- A niby dlaczego?

- Rany boskie, takie są w firmie przepisy. Tu! - odparł wyraźnie obruszony mężczyzna i podsunął bloczek pokwitowań z tanim długopisem.

Dunn podpisał się jako doktor Heather James, odebrał kopertę, posłaniec odjechał. Dunn obejrzał długopis, który zatrzymał, i uśmiechnął się pod nosem. Podobnie jak popielata furgonetka, tak i długopis był anonimowy.

- Kto to? - spytała po chwili Heather.

- Nie wiem. Nie przedstawił się. - Oddał jej kopertę.

Heather ją otworzyła i zaczęła się gapić w prostokątny kawałek papieru.

- Charlie! To jest czek na dziesięć tysięcy dolarów.

- Dobry stary Ajax!

- Nigdy o nim nie słyszałam. Kto to jest?

Dunn zapalił cygaro.

- To nie on, a firma, która była ci winna dziesięć tysięcy. Przy-
najmniej nie zwlekają. - Wypuścił parę kółek dymu.

- To od Barringera? A co on ma wspólnego z tym Ajaxem? Teraz
dopiero widzę, że wystawcą jest spółka Ajax.

- Ma bardzo dużo wspólnego, ale co to cię obchodzi, jeśli czek jest
dobry.

- A jest dobry? Ma pokrycie? - spytała.

- Możesz być tego absolutnie pewna.

- No to od razu złożę go w banku. Tak czy inaczej miałam iść do
banku, bo potrzebuję gotówki. Podrzucisz mnie? Oczywiście, jeśli nie
jesteś zajęty...

- Jestem wolny jak ptak do jedenastej. O jedenastej mam zarezer-
wowaną strzelnicę.

W pół drogi do banku zadała nurtujące ją pytanie:

- Co się właściwie dzieje, Charlie? Spalding wziął nogi za pas, nikt
nie może zrobić nam krzywdy, więc po co ten pistolet, kiedy otwie-
rasz frontowe drzwi? Życie upływa w spokoju, za miesiąc lecimy na
Barbados, więc po co ten trening na strzelnicy? O co tutaj chodzi,
Charlie?

- O Spaldinga. Na pewno opracował plan awaryjny dobrania się
do chińskiego premiera.

- Co ty opowiadasz? Spalding jest zapewne parę tysięcy kilome-
trów stąd.

Dunn zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, jest bardzo blisko. Niemal czuję jego zapach.

Heather nie wiedziała, co o tym myśleć. Dunn ma rację czy obse-
sję?

- Charlie, nie mów takich rzeczy. Powstrzymałeś go, przepędziłeś.
Jesteś zwycięzcą tego szalonego pojedynku.

- Heather, ja po prostu wiem, że on ma plan awaryjny. To nie mo-
ja fantazja. Taka jest procedura, która mówi, że jeśli ci się nie udaje
za pierwszym razem, wycofujesz się na bezpieczną pozycję i uderzasz
po raz wtóry. I za tym drugim razem uderzasz zupełnie inną metodą,
z innej strony, aby zaskoczenie było całkowite. Kluczem jest zasko-
czenie. I wyobraźnia.

- Wszystko rozumiem, ale zostaw to, Charlie - prosiła. - Podziel się
przypuszczeniami z policją i pozwól im działać.

- Zrobiłem to. Powiedziałem policji, powiedziałem McGhee, ale je-
stem pewien, że po moim odejściu stukali się znacząco w głowę.
Owszem, byli bardzo grzeczni i powiedzieli, że ochrona premiera
będzie wzmocniona, ale mi nie uwierzyli.

Jeszcze nigdy w jego głosie nie słyszała nuty takiej troski.

- Spalding musi uderzyć. Po prostu musi. Dla pieniędzy, dla podtrzymania reputacji w kołach zainteresowanych wynajmowaniem morderców. I jeszcze z jednego powodu będzie próbował kolejny raz: jest psychicznie chory i uważa, że musi mi pokazać, że jest ode mnie lepszy. On zupełnie zwariował. Boże drogi, o mnie też mogą tak powiedzieć, że zwariowałem, kiedy takie rzeczy mówię...

- Z pewnością nie, Charlie. Nie jesteś wariatem, wiem to, ale nie jesteś również Bogiem. Nie możesz być jednocześnie wszędzie i nie możesz wszystkiego wiedzieć.

- Właśnie! - podchwycił temat. - Spalding może uderzyć w jednym z wielu miejsc. Myślę o tym od chwili, gdy zwał z tego wynajętego biura. Które miejsce wybierze?

- Na pewno nie Krajowy Bank Wirginii, Charlie, to już za najbliższym skrzyżowaniem.

Dwa pytania nieustannie powracały, jakby nagrane na myślową taśmę: gdzie Spalding uderzy, kiedy?

I pomysł będzie zupełnie oryginalny, nowy.

Całkowicie nowy.

Nie z powietrza, a od dołu.

Bomba? Mina? Zdalna detonacja? Najprawdopodobniej wszystko od dawna jest przygotowane. Od tygodni. Tak, bomba albo mina, z góry przygotowane na wypadek niepowodzenia zamachu raketowego.

Ale gdzie?

Chiński premier złożył już oficjalne wizyty przy grobie Nieznanego Żołnierza na cmentarzu arlingtonskim oraz w mauzoleum Lincolna. Poranne wiadomości radiowe zawierały informację o otworzeniu przez niego wystawy starożytnych chińskich rękopisów w Galerii Freer. To był jego ostatni dzień w Waszyngtonie. Spalding musi uderzyć w ciągu najbliższych sześciu, najwyżej siedmiu godzin.

Gdzie on umieścił tę cholerną bombę? Dunn już był pewien, że w grę wchodzi tylko bomba.

Zdegustowany i zniercierpliwiony powolnością własnego procesu myślowego włączył radio. Wysłuchał ostatnich trzydziestu sekund ballady Kena Rogersa, a następnie kretyńskiej reklamy na temat nowego środka przeczyszczającego. Reklama właśnie się kończyła, kiedy Heather wyszła z banku. Wsiadła do wozu i wtedy zaczął się dziennik.

- Szybko, prawda? Jeden z kasjerów zlitował się nade mną i załatwił poza kolejką. No, bo biedna kobieta w gipsie...

Dunn ruszył w powrotną drogę do domu.

- Mam połowę rozwiązania i wiem, jak to zrobi. To będzie na pewno bomba.

Skinęła głową. Dunna nic nie powstrzyma od działania, pomyślała.

- Ale co stanowi drugą połowę, Charlie?

- Jeśli będę wiedział gdzie, to mam też odpowiedź kiedy.

- Izraelski gabinet obradować będzie ponownie jutro - mówił wartko spiker CBS. - W Waszyngtonie trwają przygotowania do podpisania w dniu dzisiejszym traktatu chińsko-amerykańskiego. Premier Wu Fang Teh spodziewany jest w Białym Domu już za dwadzieścia minut. Historyczny dokument podpisany będzie w piętnaście minut później w obecności przywódców Kongresu...

- Jest! Mam go! - wykrzyknął Dunn.

- Co jest i co masz, Charlie?

- Na pewno to zrobi! Spalding chce go załatwić z jedyne miejsce, do którego może bezpiecznie wrócić, ponieważ nikt o zdrowych zmysłach nie podejrzewa, że może wrócić: Axelrod Building. Z widokiem na Białym Dom. Mam sukinsyna!

O ile oczywiście zdąży dotrzeć na czas, przebijając się przez przedpołudniowy ruch uliczny. Dunn gwałtownie skręcił na stację benzynową, wyskoczył z wozu i zaczął wrzucać monety do najbliższego automatu telefonicznego.

- Sekretariat dyrektora McGhee - usłyszał.

- Mówi Emily Axt. Czym mogę panu służyć, panie Dunn?

- Dyrektora nie ma. Ale jest jego zastępczyni. Chce pan z nią rozmawiać?

- Szybko!

Po dziesięciu sekundach usłyszał opanowany nieznanym głosem.

- Mówi Emily Axt. Czym mogę panu służyć, panie Dunn?

- Chodzi o Spaldinga. Jest w Axelrod Building. Zamierza zdalnie zdetonować bombę. Niech pani zawiadomi policję. Ja tam jadę. - Rzucił słuchawkę i pobiegł do wozu.

Liczyła się teraz każda minuta. Prowadził szybko i pewnie, mając nadzieję, że nie zatrzyma go żaden zbyt przejęty swoimi obowiązkami policjant.

Godzina 10.12... Zostało siedemnaście minut do przewidzianego przybycia chińskiego premiera do Białego Domu. Będzie jechał opancerzoną limuzyną, ale to nic mu nie pomoże. Spalding użyje potężnego ładunku, zdolnego zniszczyć czołg.

Na obrzeżach Waszyngtonu ruch był znacznie większy. Dunn zacięcie walczył o wolną przestrzeń, zmieniał pasy jezdni i w pewnej

chwili wyskoczył przed dwóch zaskoczonych kierowców, aby wpaść pierwszy na most. Inni kierowcy klęli i trąbili, ale on na nic nie zwracał uwagi. Wjechał na pas ruchu w przeciwnym kierunku i omal nie spowodował czołowego zderzenia. Dociskał pedał gazu do podłogi i parł dalej.

Może policja zdążyła już na miejsce.

Powinni byli zdążyć, ale nie chciał ryzykować.

Godzina 10.21... pozostało osiem minut.

Gdy zjechał z mostu, napotkał na jeszcze większy ruch. Walczył o każdy metr. Wreszcie utknął w korku cztery przecznice od cholernego Axelrod Building. Cenne sekundy decydujące o życiu lub śmierci mijają bezlitośnie.

Nie mógł dłużej czekać.

- Bierz kierownicę - polecił Heather i wyskoczył z wozu. Ciężko dysząc pobiegł w kierunku domu, w którym czyhał Spalding. On nie mógł być gdzie indziej, musiał tam być. Odtrącając zaskoczonych przechodniów i przemykając się między samochodami dopadł wreszcie Axelrod Building. Wtargnął do holu i rzucił okiem na ścienny zegar.

10.27.

Zostały mu dwie minuty.

Nie było widać żadnego policjanta. Może Spaldinga tu nie ma. A jeśli jest, to w biurze fundacji czy na dachu?

Jeśli źle odgadnie, chiński premier zginie.

Stojący na dachu Axelrod Building mężczyzna w mundurze policjanta Dystryktu Columbia patrzył w kierunku Białego Domu. Mimo ciepłego policyjnego płaszcza i czapki, spod której wystawały proste ciemne włosy, mężczyzna czuł przenikliwe zimno.

Ale było to lepsze, niż wczorajszy dwugodzinny pobyt w kanałach kanalizacyjnych. Tyle czasu potrzebował, by przenieść ładunek wybuchowy z miejsca, w którym go ukrył, do studzienki. Wiedząc dobrze, że ochrona sprawdzi podobne miejsca dzień przed zapowiedzianą wizytą cholernego Chińczyka, Victor Spalding odczekał, aż Wu Fang Teh złoży pierwszą ceremonialną wizytę prezydentowi, i umieścił bombę w nocy poprzedzającej uroczyste podpisanie traktatu.

Spojrzał na zegarek.

Jeszcze minuta.

I po jej upływie wszyscy się dowiedzą, kto jest najlepszym z najlepszych.

Zdalny detonator leżał tuż obok, na dachowym parapecie. Spalding podniósł do oczu lornetkę i spojrzał w Pennsylvania Avenue. Kawalkada się zbliżała.

Najpierw jechało dziesięć policyjnych motocykli eskorty, potem trzy samochody amerykańskiej ochrony i dwa osobistej ochrony premiera. Za nimi posuwały się cztery samochody z dyplomatami chińskimi i wreszcie długi czarny Cadillac stanowiący cel Spaldinga, który obserwował poprzedniego dnia kolumnę wozów przed Galerią Freer. Dobrze wiedział, który wóz musi wysadzić w powietrze.

Pozostały sekundy. Spalding poczuł owo tak dobrze mu znane uczucie kontrolowanego podniecenia. To będzie jego największy sukces. Uśmiechał się, wyciągając dłoń w kierunku pilota. Za dwanaście sekund jego wyczyn przejdzie do historii.

W tym samym momencie na dachu pojawił się Dunn z dwoma pistoletami w wyciągniętych dłoniach. I oba pistolety wystrzeliły

jednocześnie. Spalding rzucił lornetkę i prawą ręką chwycił za policyjny rewolwer kalibru 0.38 cala w kaburze.

- Nie dotykaj! - ostrzegł Dunn.

Przykucnął w strzeleckiej pozycji mierząc z obu francuskich pistoletów w twarz Spaldinga. Jeśliby teraz nacisnął spusty, krwawe resztki głowy Spaldinga poleciałyby na ulicę. Spalding zamarł, tylko jego oczy ciskały błyskawice nienawiści.

- Łapki do góry, Victor! Wysoko!

Spalding posłuchał.

- Uspokój się, Victor. Chcę z tobą porozmawiać. Od paru tygodni czekam na taką okazję.

- Pieprzę. Ciebie i twoje rozmowy.

- A ja ci radzę, skup się i słuchaj. To jest bardzo ważne.

- Odpieprz się!

- No dobrze, wobec tego od razu przechodzimy do rzeczy - powiedział Dunn i przestrzelił obie podniesione do góry dłonie. Spalding zaczął wyć z bólu. Kierowany zwierzęcą nienawiścią zrobił krok w stronę Dunna.

- Stój! - rozkazał Dunn.

Spalding zamarł nadal jęcząc. Z przebitych na wylot dłoni lała się krew.

- Teraz, kiedy już jesteś gotów słuchać, powiem ci krótko, co mam do powiedzenia. Masz zaprzestać zabijania, Victorze! Zgarnąłeś już sporo pieniędzy, więc nie powinieneś mieć kłopotów. Moim zdaniem w średnim wieku zmiana zawodu wyjdzie ci tylko na zdrowie.

Spalding z trudem łapał powietrze i jęczał.

- Zrobisz to, co proponuję, jeśli chcesz jeszcze trochę żyć. I tak minie rok, nim będziesz mógł sam zawiązać sobie sznurowadła. Pod warunkiem, że przedtem znajdziesz dobrego chirurga - ciągnął Dunn.

- Możesz założyć pizzerię w Bangkoku albo otworzyć dom publiczny w Manili. I masz nie zaglądać na zachodnią półkulę. To jest rozkaz! Zachodnia półkula należy do mnie.

Dunn pomyślał o Heather James i Ndugu.

- Afryka też jest dla ciebie zakazana - dodał. - Jeśli tam cię znajdę, to zrobię z ciebie padlinę dla psów. I nie kombinuj, mój miły. Chyba rozstrzygnęliśmy ostatecznie, kto jest najlepszy?

Spalding chwiał się porażony bólem.

- Idź lepiej od razu do doktora. I pośpiesz się, lada chwila pojawi się tu policja.

Spaldingowi udało się dotrzeć do windy. Sam nie wiedział jak. Łokciem nacisnął guzik, żeby sprowadzić kabinę. Obie dłonie -

paraliżował przeraźliwy ból. Przysięgał sobie, że Dunn za to zapłaci. Bez względu na to, ile czasu zajmie mu rekonwalescencja, wróci i zabije Dunna. A jeśli nie będzie mógł zrobić tego sam, wynajmie kogoś do załatwienia Dunna i tej jego kobiety. Oboje zostaną poćwiartowani na kawałki.

Heather James podjechała pod Axelrod Building i stwierdziła, że nie ma gdzie zaparkować wozu. Zgasiła motor i wyszła na ulicę. Skrzywiła się, gdyż zabołał ją obojczyk. Niespodziewanie zobaczyła Spaldinga. Miał na sobie mundur policjanta i czarną perukę na blond włosach, ale to był z pewnością Spalding.

Nagle od ściany oderwała się Azjatka. Heather poznała w niej kobietę z Aten. Azjatka niosła bukiet kwiatów. Spalding też ją zobaczył. Jego zmasakrowana ręka powędrowała odruchowo do kabury.

Azjatka skierowała bukiet ku Spaldingowi. Po ułamku sekundy pęk kwiatów eksplodował w obłoku płatków. Ukryta w nim dubeltówka o obciętych lufach wypluła dwa ładunki śrutu numer osiem z odległości pięciu metrów. Twarz i gardło Spaldinga zmieniły się w krwawą masę. Spalding obrócił się jak nakrecony bąk, upadł i po trzech sekundach skonał.

Przechodnie zaczęli krzyczeć, rozległy się syreny nadjeżdżających wozów policyjnych. Nie stropiło to Azjatki. Wyjęła z resztek bukietu dubeltówkę, załadowała obie lufy i wycelowała w trupa. Na wszelki wypadek. W tym momencie Dunn wyszedł z budynku.

- To ona, Charlie! - wydusiła z siebie Heather.

- Wiem - odparł spokojnie. - Najwyższy czas, abyś ją poznała. Heather James, to jest moja przyjaciółka Teresa Kamiya. Niedgdyś pracowała w Firmie. Jest teraz prywatnym detektywem. A przy okazji, ona nie jest Chinką. Przed pięćdziesięciu laty jej dziadkowie emigrowali z Japonii do Stanów Zjednoczonych.

- Dalej nic nie rozumiem - powiedziała Heather.

- Charlie wynajął mnie jako wsparcie, pani doktor. Nie miałam intencji przestraszyć pani. A i teraz nie zabiłabym go, gdyby nie sięgnął po broń. Rozpoznał mnie.

- Działałaś w samoobronie, Terry - uspokoił ją Dunn.

Heather James spojrzała prosto w oczy swego kochanka.

- Czy teraz to już naprawdę koniec, Charlie? - spytała. - Możesz przysiąc?

Skinął głową. - Mogę.

Po policzkach Heather zaczęły spływać łzy.

O dziesiątej trzydzieści rano osiemnastego stycznia prowadzona przez umundurowanego szofera limuzyna Cadillac zatrzymała się przed muzeum lotnictwa i przestrzeni kosmicznej na rogu Siódmej Ulicy i Alei Niepodległości. W bagażniku znajdowały się trzy nowiutkie walizki.

- Pięć minut - zapowiedział Dunn szoferowi.

- Tak jest, sir.

Szofer wyszedł na chodnik i otworzył szeroko drzwiczki limuzyny, z której kolejno wyszli Dunn, Heather James i Teresa Kamiya. Wszyscy troje weszli do budynku i Dunn zatrzymał się w holu, by z zacun-kiem spojrzeć na pierwszą amerykańską kapsułę kosmiczną i na ma-leńki jednosilnikowy „Spirit of St. Louis”, na którym Lindbergh do-kołał pierwszego przelotu przez Atlantyk.

- W maju 1927 roku - przypomniał towarzyszącym mu kobietom. - Miał facet odwagę.

- Mojemu facetowi też jej nie brak - mruknęła uśmiechnięta He-ather pełnym miłości głosem. Ale przestała się uśmiechać, gdy zobaczyła zbliżającego się Barringera w towarzystwie brunetki i trzech mężczyzn. Jeden z mężczyzn trzymał czarną plastikową teczkę.

- Dzień dobry, drogi Stephen - powitał Barringera Dunn.

- Dzień dobry. Wybrałeś przedziwne miejsce, Charlie, na spotka-nie w interesach - poskarżył się zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

- Absurdalne i śmieszne - dodał McGhee.

McGhee i Barringer spostrzegli w tym momencie Teresę Kamiya i trzymaną przez nią bukiet w zielonej bibulce.

- To jest całkowicie zbędne - zaprotestował Barringer.

- Niby co jest zbędne? - spytał Dunn.

- Czy w tym bukiecie jest obrzyn?

- Naprawdę chcesz wiedzieć, Stephen?

McGhee wydawał się lekko rozbawiony.

- Dalibyście spokój, moi państwo, gramy przecież w jednej drużynie powiedział. Przepraszam za niedopatrzenie. - Doktor James... Pan Dunn... Panna Kamiya, to moja zastępczyni, Emily Axt. - Co powiedziaławszy McGhee dwukrotnie zakasłał i spojrział w ziemię.

- Ja w tej sprawie odegrałam znikomą rolę - oświadczyła skromnie Emily Axt, podając dłoń Dunnowi. - I do tej chwili nie wiem, dlaczego policja nie dotarła wcześniej na miejsce. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, nieprawdaż?

- Nic się nie skończyło, póki nie zobaczę moich pieniędzy - odparł Dunn. - Dokładnie trzydzieści jeden tysięcy dziewięćset pięć dolarów za poniesione wydatki i drugie dwieście tysięcy honorarium. - Obrócił się do doktor James. - Z tego pięć tysięcy będzie dla wielorybów.

- Dziękuję ci w imieniu wielorybów, Charlie. - Heather uśmiechnęła się promiennie.

Dunn obrócił się do Barringera:

- Nadszedł czas regulowania należności, Stephen.

Barringer dał znak ochroniarzom. Podeszli z czarną teczką. Bukiet skłonił się w kierunku mężczyzny w popielatym garniturze, który ścisnął ją pod pachą.

- Czy ona musi? - zaprotestował Barringer.

- Nie lubisz kwiatów? - spytał Dunn, odbierając ciężką teczkę z rąk ochroniarza.

- Tu jest pełno turystów, Charlie. Te kwiaty mogłyby komuś wyrządzić krzywdę.

- Gardenie jeszcze nikomu nigdy nie zaszkodziły.

Następnie McGhee stwierdził, że on i jego ludzie muszą już iść.

- Niech pan się dobrze bawi na Barbadosie - powiedział na pożegnanie.

Nie mógł się oprzeć przyjemności poinformowania Dunna, że o tym wie.

- Następnie jedziemy do Afryki - zawiadomił go Dunn. - Może mógłby mi pan oddać przysługę?

- Ja ci ją oddam - zgłosił się na ochotnika Barringer.

- W ateńskim więzieniu siedzi jegomość nazwiskiem Melendez. Ja, to znaczy my, czulibyśmy się znacznie lepiej, gdybyśmy wiedzieli, że pozostanie tam jeszcze przez kilka miesięcy.

- Dobrze, pozostanie - obiecał Barringer.

McGhee, pani Emily Axt i obaj agenci ochrony odeszli w chwilę potem.

- To ona, prawda? - spytał Dunn.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparł Barringer.

- McGhee specjalnie ją przyprowadził, by myślała, że ma do niej zaufanie - powiedział Dunn do Heather James. - Teraz będzie ją fałszerował fałszywymi informacjami tak długo, póki Moskwa zechce je kupować. A następnie, jeśli nie zawiedzie jej szczęście, zostanie na kogoś wymieniona.

- A jeśli szczęście ją zawiedzie?

- Czy nadal jest stosowana metoda przejechania przez samochód, Stephen? - spytał Dunn. - Czy też w tym roku modne są wylewy do mózgu?

Barringer zignorował pytanie.

- Jeśli cię to interesuje, Charlie, otrzymałem właśnie wiadomość, że w zeszłym tygodniu Moskwa odesłała Londynowi Sida Lamba - poinformował. - Willoughby prosił, abyśmy ci podziękowali w jego imieniu.

- Masz jeszcze coś ważnego i smrodliwego?

- Może i mam. Jest wiadomość, że szef SWR dostał zawału serca, podobno rozległego, i już mianowano jego następcę.

- Zawały serca zawsze odgrywały dużą rolę - odparł weselo Dunn. - Dlatego idę na emeryturę.

- Odwaliłeś wspaniałą robotę, Charlie. Dyrektor jest pod wielkim wrażeniem. Kazał mi powiedzieć, że prezydent także nie mógł wyjść z podziwu.

Odkodowanie zawołowanej propozycji zajęło Dunnowi pięć sekund.

- Niezła próba, Stephen. Ale nie, dziękuję.

- Chyba dobrze nie rozumiesz...

- Rozumiem doskonale. Zdecydowanie nie.

- Chodzi o narodowy interes, Charlie. Robi się znowu gorąco. Teren wymaga opieki. Obaj ludzie, których wyszkoliłeś... Już ich nie ma. Lada dzień Firma może potrzebować kogoś z twoimi talentami.

- On mi ofiarowuje moją dawną pracę - powiedział Dunn do Heather.

Ścisnęła go za ramię.

- Myśmy przestali świadczyć te usługi - odparła.

Barringer udawał, że tego nie słyszy.

- A jeśli idzie o pieniądze, to chyba moglibyśmy podwyższyć do czterdziestu...

- Ona ci już wyraźnie powiedziała, Stephen. Koniec z zabijaniem. Definitywnie. Jeśli chcesz wiedzieć, to większą satysfakcję sprawiło mi udaremnianie Spaldingowi wykonania kontraktu, niż wykonywanie ich w przeszłości samemu.

Heather James podniosła zdrową rękę i pokazała zegarek, sygnalizując zniecierpliwienie.

Barringer entuzjastycznie zareagował na wypowiedź Dunna.

- To wspaniały pomysł, Charlie. Nigdy nie zatrudnialiśmy eksperta od zapobiegania morderstwom politycznym. To jest zupełnie rewelacyjna idea. Kongres będzie piał z zachwytu.

- On cię chce oszukać - ostrzegła blondynka.

- Proszę mi nie przerywać - warknął Barringer. - Bardzo ważna i trudna robota. I chyba więcej warta niż czterdzieści tysięcy. Chyba udałoby mi się wyciągnąć dla ciebie do czterdziestu pięciu. Oczywiście musielibyśmy sięgnąć do czarnego funduszu, ale w tym wypadku nikt by nie oponował. Co powiesz, Charlie?

- Charlie! - zaapelowała Heather.

- Prosiłem panią, żeby mi nie przerywać - przypomniał ze złością Barringer.

- A niby dlaczego nie mam panu przerywać? - wybuchnęła Heather. - Nie jestem pana podwładną. Pan pracuje dla mnie, bo ja jestem płatniczką podatków! W tej chwili wściekłą płatniczką. Byłam okłamywana, strzelano do mnie, szpiegowano i omal nie zabiła mnie bomba. Mam złamany obojczyk i fatalną opinię o funkcjonariuszach federalnych, którzy faszeryją mikrofonami sypialnie uczciwych obywateli...

- Ma dziewczyna temperament, co? - wyraził swój podziw Dunn.

- Bardzo przepraszam panią doktor - mruknął z sarkazmem Barringer i powrócił do rozmowy z Dunnem. - Mógłbyś ocalać ludziom życie, Charlie. Bardzo szlachetne zajęcie, prawie to samo co profilaktyka medyczna.

- Porozmawiam o tym z moim weterynarzem - zgodził się Dunn.

- I pomyśl o tym z finansowego punktu widzenia - poradził Barringer. - Pieniądze, które dostałeś, nie starczą ci na całe życie. Może założysz rodzinę, o którą trzeba będzie zadbać. A poza tym umarłbyś z nudów nic nie robiąc.

Heather coś powiedziała, czego dyrektor Barringer nie dosłyszał. Dunn się uśmiechnął.

- Ja widzę twoją pracę jako w pewnym sensie stałą gotowość - ciągnął Barringer. - Możesz sobie mieszkać, gdzie chcesz, a w razie potrzeby cię wezwiemy.

- Może inaczej: my wezwiemy, kiedy będziemy potrzebowali - odparł Dunn.

Heather James znowu coś powiedziała w języku, którego Barringer nie rozumiał.

- To było w języku Noro, Stephen. W języku braci krwi doktor James. Nie mówisz w Noro?

Barringer milczał.

- To nie jest trudny język. Doktor James udziela mi lekcji. Do widzenia, Stephen.

- Chwileczkę. Co ona w tym języku powiedziała?

- Za pierwszym razem czy za drugim?

- Chcę usłyszeć jedno i drugie.

- Za pierwszym razem powiedziała coś, co w pewnym sensie mogło się odnosić do twojego pochodzenia.

Barringer zazgrzytał zębami.

- A za drugim razem powiedziała „chodźmy stąd”.

Doktor Heather James zdrową ręką ujęła Charlesa Jeffersona Dunna pod ramię i oboje odeszli.

KONIEC